

PROF. ADAM GIEREK
POLITYKA KLIMATYCZNA UE

PROF. PIOTR KIMLA
NATO BEZ USA?

TOMASZ MIŁKOWSKI
TEATR TELEWIZJI CZEKA RESET

JACEK PAŁKIEWICZ
ŚLADAMI MARCA POŁO



RANKING DYPLOMATÓW I DYPLOMATOŁKÓW

KIM PiS OBSADZIŁO AMBASADY



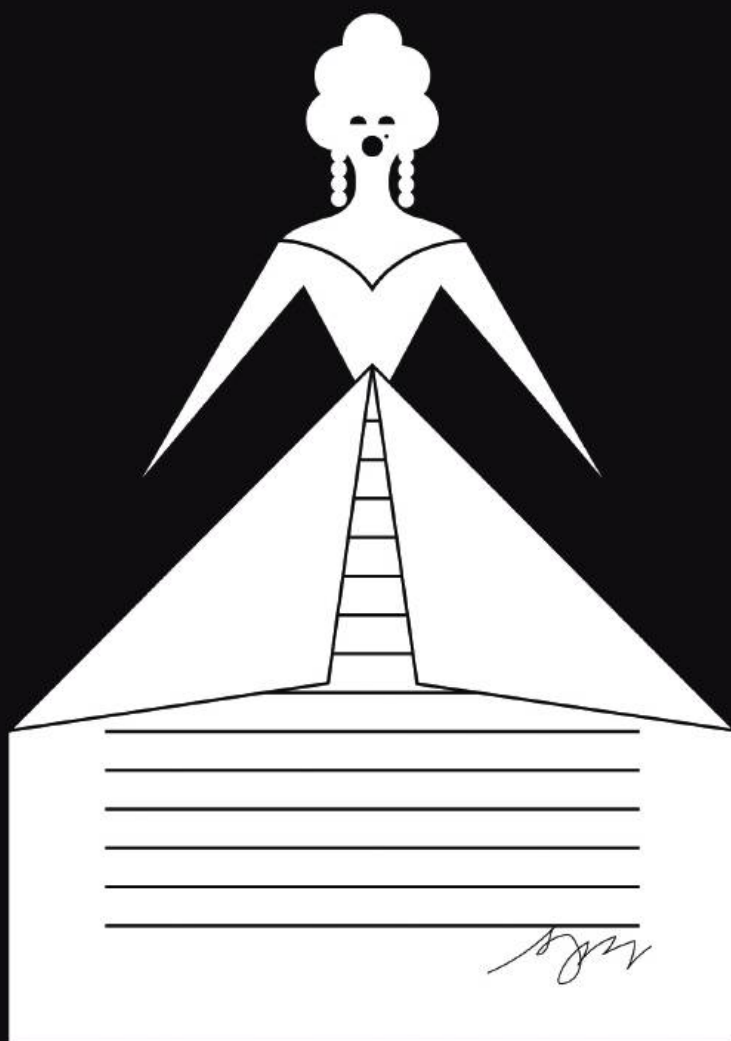
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

||||| C A P I T O L



Człowiek z papieru

Antyopera na kredyt

reż. Jakub Skrzywanek

Twórcy odwołując się do „Opery za trzy grosze” Bertolta Brechta oraz fantazując o nigdy niedokończonym trzecim filmie Andrzeja Wajdy z cyklu „Człowiek...”, zapraszają na Galę, wspaniałą Galę pełną blichtru, splendoru, blasku i sztucznych cyrkonii. Skoro nadeszła era spektakli muzycznych – i my nie możemy być gorsi! Rozrywko, teraz „Teatr, który się wtrąca” pokaże swoje pazury!

premiera na 44. Przeglądzie Piosenki Aktorskiej
we Wrocławiu: 16.03.2024

premiera warszawska: 23 marca 2024, Teatr Powszechny
kolejne pokazy w Warszawie: 24, 26 i 27 marca,
24, 25 i 26 maja 2024



www.powszechny.com



Rozciąć węzeł gordyjski

Czy będzie wojna? To pytanie słyszę najczęściej od czytelników martwiących się coraz gorszymi wiadomościami z Ukrainy. Politycy straszą, że po ewentualnej klęsce naszego sąsiada czeka nas niechybnie wojna z Rosją. Nie sądzę, by ten scenariusz był realny. Tym bardziej że skoro NATO nie dopuści do upadku Ukrainy, to w najgorszym wariantcie grozi jej utrata już zajętych ziem. Tak otwarcie o obecnej sytuacji mówią politycy największych pozaeuropejskich krajów. Oczywiście im dalej od tego frontu, tym zainteresowanie mniejsze. Uwaga skupia się na innych, jeszcze bardziej krwawych wojnach.

Świat z każdym rokiem staje się mniej bezpieczny. A na pytanie, czy będzie wojna, odpowiedź jest oczywista: ta wojna już jest. I dlatego strach jest zrozumiały. Bo przecież większość z nas widzi, że Polska, będąca członkiem NATO, zaangażowała się we wspieranie Ukrainy na maksa. Często ponad nasze zasoby i realne możliwości. Tym gorzej jest więc odbierane w Polsce zachowanie Zelenkiego i jego otoczenia. Nie traktuje się w ten sposób kraju, który od początku wojny tak bardzo pomagał. I społeczeństwa, które spontanicznie i serdecznie przyjęło miliony uchodźców do swoich domów. Ukraińscy politycy nie chcą przyjąć do wiadomości, że Polska też ma swoje interesy gospodarcze, które dla nas muszą być priorytetem. Gdyby władze Ukrainy nie traktowały Polski jako kraju, który ma wyłącznie dawać, nie byłoby takiego

kryzysu na granicy i tylu protestów rolników. Konflikty się zdarzają, ale dojrzałe państwa potrafią je rozwiązywać drogą negocjacji. Podejście do Polski jak do kontrahenta, który ma robić to, co mu się powie, jest przeciwnie skuteczne. Niczego Ukrainie nie daje, a w Polakach narasta niechęć do tak niewdzięcznego sojusznika.

Rozumiem tragedię, która dotknęła Ukrainę. Śmierć tysięcy ludzi i ogromniszczeń. Obrona suwerenności jest celem, który trzeba wspierać. Ale czy bezwarunkowo? I za wszelką cenę? NATO wesprze w tym roku Ukrainę ogromną ilością broni i amunicji. Ale to nie wystarczy. Bo nie ma tam wystarczającej liczby żołnierzy. I co z tym zrobimy? Czy NATO wyśle swoje wojska? Czy Polska będzie w tym uczestniczyć? Na te pytania trzeba będzie odpowiedzieć w ciągu najbliższych miesięcy. Wiadomo, że po stronie Ukrainy walczą żołnierze ochotnicy z krajów NATO. Jednak setki tysięcy młodych Ukraińców w wieku poborowym wybrało życie w innych państwach i nie mają zamiaru wracać do ojczyzny. Czy w tej zapętlonej sytuacji są jakieś szanse na pokój? A przynajmniej na rozejm? Moim zdaniem muszą być, bo każde inne rozwiązanie będzie gorsze.

Polacy nie chcą brać bezpośredniego udziału w wojnie. I z tym muszą się liczyć politycy. Zamiast ciągle mówić o wojnie, zacznijmy więcej myśleć o jej zakończeniu. Jak rozciąć ten piekielny węzeł gordyjski, zanim nas udusi.



sklep.tygodnikprzeglad.pl

Tyle ciekawych artykułów,
tak mało wolnego czasu...

**E-PRENUMERATA
PRZEGLĄDU**

Możesz czytać już w weekend

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Dyplomacja po PiS**
MSZ jako fabryka synekur
- 14 Niech będzie potępiony**
Kompromitacja abp. Andrzeja Dzięgi
- 20 Ktoś tu podłożył świnię**
Co dalej z wieprzowiną
- 54 Protokół chiński,**
czyli kto usłyszy głos zza szyby
– rozmowa z Głorią Kurnik

MEDIA

- 17 Prasa czyni wolnym**
Jak uratować lokalne gazety

ZAGRANICA

- 24 Mesjasz Trump i królestwo boże**
Chrześcijańscy nacjonaści idą po wszystko
- 28 Jazda w nieznane**
Zmierzch produkcji aut w Europie

OPINIE

- 32 Piotr Kimla**
NATO bez USA?
- 34 Adam Gierek**
Polityka klimatyczna Unii Europejskiej

HISTORIA

- 36 Zagłada Huty Pieniackiej**
Zbrodnia ukraińskich nacjonalistów

KULTURA

- 40 Nowe prawo autorskie**
Artyści idą po tantiemy
- 44 Teatr Telewizji czeka reset**
Trudny powrót do lat świetności
- 46 Dziurawe kapsułki pamięci**
Kultura w oczach Andrzeja Dobosza
- 48 Myśl leci, ja rysuję**
– rozmowa z Edwardem Dwurnikiem
- 53 Culturalia**
- 66 LemPress**
Wystawa projektów typograficznych

ZWIERZĘTA

- 56 Na ryby**
Bug i jego starorzecza

OBSERWACJE

- 59 Tropem Marca Polo**
Podróże Jacka Pałkiewicza

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Rozciąć węzeł gordyjski
- 13 Jan Widacki**
Populizm penalny
- 23 Stanisław Filipowicz**
Za ciasne buty, za duży kapelusz
- 31 Roman Kurkiewicz**
Już nawet nie czujemy, jak śmierdzi wojna
- 39 Tomasz Jastrun**
Lewe biodro
- 43 Wojciech Kuczok**
OK, boomer
- 47 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Zabsy

24 ZAGRANICA



MESJASZ TRUMP I KRÓLESTWO BOŻE

Chrześcijańscy nacjonaści idą po wszystko



56 ZWIERZĘTA

NA RYBY

Bug i jego starorzecza



59 OBSERWACJE

TROPEM MARCA POLO

Podróże Jacka Pałkiewicza

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. RAFAŁ OLEKSIEWICZ/REPORTER, ANNA ABAKO/EAST NEWS,
TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 986a1c80d0



f Kto stoi za tragedią Tomasza Komendy

Winni tragedii Tomasza Komendy są ci, którzy kategorycznie domagali się jego skazania, choć z całą pewnością mieli dostęp do akt sprawy. Należy tu wymienić chociażby ówczesnego ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego i osoby mu podległe. Moim zdaniem zawinił także cały system, w którym często bardziej liczą się statystyki skazywalności niż wnikliwe zbadanie sprawy.

Aleksander Gustaw Peszel

Każdy argument niepotwierdzający jednoznacznie winy oskarżonego/ej powinien działać na jego/jej korzyść. Tu doszło do zdumiewających zaniedbań ze strony zarówno śledczych, jak i całego wymiaru w tym wypadku niesprawiedliwości. Niestety, nadal nie wiemy, ile skazanych, a niewinnych osób jest w podobnej sytuacji.

Maciej Lechita



f Tomasz Komenda jak Jolanta Brzeska

1 marca minęła 13. rocznica zamordowania Jolanty Brzeskiej, działaczki społecznej, która zorganizowała Warszawskie Stowarzyszenie Lokatorów przeciw tzw. reprivatyzacji w Warszawie i bezprawnemu wyrzucaniu ludzi na bruk przez „czyścicieli mieszkań”. Proces w sprawie tego morderstwa był podobny do procesu Tomasza Komendy. Policja prowadziła postępowanie w kierunku samobójstwa, zaniedbała zbadanie śladów, prokuratura rozmywała to śledztwo. Tomasz Komenda przynajmniej ocalał życie – na krótko. Jolanta Brzeska według policji i prokuratury dokonała samospalenia w Lesie Kabackim. Nikt nie został ukarany, sprawców



nie wykryto. Obie te śmierci pójdą na marne? Obawiam się, że tak, a nasz system sprawiedliwości sam się nie naprawi.

Ewa Wesółowska

f Kara za prawdę

Tak działają mocarstwa. Im większe, tym więcej im wolno. A największemu wolno nawet decydować, kogo można napaść, używając spreparowanych dowodów – i zostanie całkowicie rozgrzeszone. Wolno mu więc w zasadzie wszystko, póki jest największe. Ja tego nie oceniam. Opisuję to, co widzę obecnie, porównując z dość głębokim tłem historycznym. Od ocen mamy w Polsce rzeszę specjalistów. Szkoda tylko, że zazwyczaj ich oceny nie różnią się prawie niczym.

Michał Błaszczak



f Fiasko Goralenvolku

Z prac naukowych poświęconych tematyce Goralenvolku można się dowiedzieć, że plan ten poniósł całkowitą porażkę. Większość Podhalan dochowała wierności Polsce bądź zachowała bierność. Kolaboracja była marginesem. Do Waffen-SS zgłosiło się ok. 300 Podhalan, z których miążdząca większość zdezerterowała, a pozostali nieliczni trafili do ogólnej SS. Zresztą z recenzji z pokazów przedpremierowych „Białej odwagi” wynika, że jak na standardy polskich produkcji osadzonych w realiach historycznych, film ten nie tyle ukazuje różne postawy Podhalan, ile potwierdza, iż Goralenvolk to był margines lokalnej społeczności.

Marcin Aleksander Libor



ZDJĘCIE TYGODNIA



Zamieszki pod Sejmem
podczas protestu rolników.
Warszawa, 6 marca 2024 r.

Starciami z policją zakończył się w Warszawie protest rolników przeciwko Zielonemu Ładowi i napływowi żywności ukraińskiej. Ranni i poturbowani zostali policjanci i demonstranci. W proteście brali udział postawie PiS i Konfederacji. Agresywną postawę nakreślali zaś związkowcy Solidarności pod wodzą Piotra Dudy.

Od 14 marca kierowcy, którzy będą prowadzili auto w stanie nietrzeźwości (ponad 1,5 promila alkoholu) lub po pijanemu spowodują wypadek, **stracą pojazd**. A jeśli nie są jego właścicielami, zapłacą równowartość. W 2023 r. policja zatrzymała 93 tys. kierowców będących pod wpływem alkoholu.

Agnieszka Holland otrzymała Złotego Orła za osiągnięcia życia i została nagrodzona za najlepszy film – „Zieloną granicę”. **Magdalena Cielecka** otrzymała Orła za najlepszą rolę kobiecą („Lęk”), **Eryk Kulm jr** – za najlepszą główną rolę męską („Filip”), a **Paweł Maślona** za reżyserię filmu „Kos”.

O 80% zwiększyło się w latach 1990-2017 zużycie pestycydów na świecie. W Polsce w ciągu ostatnich lat ich sprzedaż została potrojona. Co roku dochodzi do ok. 385 mln przypadków zatrucia pestycydami (Atlas Pestycydów 2024).

Przed wybuchem wojny 180 gospodarstw na Ukrainie miało powierzchnię ponad 10 tys. ha, a ponad 3,6 tys. gospodarstw dysponowało ziemią o powierzchni od 1 tys. do 10 tys. ha. W Polsce średnie gospodarstwo ma 11 ha.

7,8 mln samochodów kradnie się co roku na świecie (Interpol).

Marcin Hożała rzucony przez PiS na budowę CPK jest też kibicem piłkarskim. I fanem Roberta Lewandowskiego. **Agencja tego piłkarza, Stor9, dostała 250 tys. zł za promocję CPK.** Sensu w tym jednak nie ma.

W Polsce przybywa pracowników spoza Europy. Największe grupy pochodzą z **Indii (46 tys.), Nepalu (35,3 tys.), Filipin (29,2 tys.), Uzbekistanu (28 tys.), Bangladeszu (27,9 tys.), Turcji (25,9 tys.) i Kolumbii (12 tys.).**

Kto uczy religii w szkołach? **29 tys. katechetów**, wśród których 17,3 tys. to osoby świeckie.

Program Michała Rachonia w TV Republika ogląda 38 tys. widzów. Bolesny upadek po wygonieniu go z TVP Info. A i kasa skromniutka.

„Bezpiecznego kredytu 2%” udzielono 3044 obywatelom Ukrainy, 492 osobom z Białorusi i 46 z Indii.

Facebook ma 3,03 mld aktywnych użytkowników. TikTok – 1,2 mld, a X (dawniej Twitter) – 666 mln.

W 2022 r. sprowadzono do Unii Europejskiej ponad **pół miliona samochodów produkcji chińskiej**. Już co piąty elektryk w Europie pochodzi z Chin.

W Warszawie jest 17 teatrów miejskich, na które w 2023 r. miasto przekazało 130 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Sutryk też z MBA

Jacek Sutryk, bardziej celebryta niż gospodarz pięknego Wrocławia, nie jest takim prezydentem, na jakiego mieszkańcy czekali. Może to tylko plotki złych ludzi, ale ciągle do Sutryka coś się przylepia. Ostatnio głośno o jego silnych związkach ze sławnym na całą Polskę Collegium Tumanum (pardon, Humanum). Dzięki ujawnionej przez „Newsweek” masowej produkcji fałszywych dyplomów MBA. Wśród tych, którzy dyplom otrzymali, jest także Sutryk (czerwiec 2020 r.). Rektor tej niby-uczelni Paweł C. to według prokuratury szef grupy przestępczej. Wśród kontaktujących się z nim polityków i celebrytów widzimy właśnie Sutryka. Wspólne konferencje, spotkania, przemówienia do absolwentów. Czyżby wiedza o patologicznych zachowaniach rektora CH była tajemnicą tylko dla prezydenta Wrocławia?



Mniej PiS w Hajnówce

Aż chce się powiedzieć: nareszcie. Kilka tygodni przed wyborami samorządowymi z rady powiatu hajnowskiego ubył radny PiS. Bogusław Szczepan Łabędzki. Pracownik białostockiego oddziału IPN. Rada powiatu uznała, że niezgodnie z prawem sprawował mandat w miejscu, w którym od dawna nie zamieszkuje, bo Hajnówkę zamienił na Białystok. Łabędzki to katecheta, który w 2016 r. zorganizował prawosławnym mieszkańcom Hajnówki marsz ku czci Romualda Rajsa „Burego”. Tego, którego oddział wymordował w 1946 r. prawosławnych cywilów. Spalono pięć wsi, w tym Zaleszany, i zamordowano ponad 70 osób, także kobiety i dzieci. Były radny Łabędzki wielokrotnie usprawiedliwiał tych morderców.



Sądy biskupie coraz łaskawsze

Z worka grzechów Jacka Kurskiego tygodnik „Nie” wyciągnął ciekawy wątek obyczajowy. Romansowo-kościelny. Kurski to nie tylko cynik, który dla kariery sprzedawał kit ciemnemu ludowi. W wolnych chwilach pasjonuje się ślubami kościelnymi. Wie, co zrobić, żeby mieć drugi ślub kościelny. Na początek trzeba przekonać sąd biskupi, żeby pierwszą próbę małżeńską odpuścił. Politykowi z PiS, partii zawodowych katolików, biskupi nie mogli odmówić – nie wypadało. Huczny drugi ślub kościelny Kurskiego tak spopularyzował kościelne rozwody, że padł rekord. W 2023 r. na 197 spraw zapadło 175 decyzji. Aż 146 o unieważnieniu małżeństwa. Przyszła nowa moda?



Amnezja Gaca

Zapowiadała się smakowita lektura. Tytuł tekstu „Reklamy dla swoich” („Do Rzeczy”) był frapujący. Może ktoś po ośmiu latach dojenia NBP, spółek skarbu państwa, ministerstw i urzędów policzył, ile nas ta ich łaskawość kosztowała? Nic z tego. Ani słowa o kasie, która warto płynęła do Tomasza Sakiewicza i jego mediów. Nic o milionach dla braci Karnowskich. Stracającej misji pisania o forsie dla nieprawicowych mediów podjął się Karol Gac. Poszperał w latach 2007-2015. I wyglupił się. Napisał, że „Gazeta Wyborcza” w ciągu pięciu lat dostała 5,9 mln zł. Toż tyle PiS dawało swoim organom kwartalnie. Podobnie było z reklamami w „Polityce”. Gac nie podał kwot. I słusznie. Chyba nawet on musi wiedzieć, jak ogromna była ta różnica. Skończyła się pisowska hucpa reklamowa, z której popierający władzę korzystali bez umiaru. U Gaca nie ma ani słowa o reklamach dla „swoich”. Gdzie te miliony się ulotniły?





PYTANIE TYGODNIA

Czy protesty rolników wpłyną na wynik wyborów samorządowych?

PROF. ROBERT ALBERSKI,

politolog, UWr

Trudno rozstrzygnąć, ponieważ wybory samorządowe to taki turniej rozgrywany na ponad 2,5 tys. boisk równocześnie i pewnie będzie tak, że w niektórych miejscach protesty rolników będą miały znaczenie, a w innych nie. Natomiast sprawa jest o tyle złożona, że trudno jasno zdefiniować odpowiedzialność za sytuację, przeciwko której protestują rolnicy. Duża część winy leży po stronie poprzedniego rządu, który zaniechał różnych działań, jednak to do obecnego kierowane są pretensje i żądania. Pytanie, komu wyborcy przypiszą winę. Nie spodziewałbym się jednak, by protesty rolników były elementem decydującym, ponieważ mamy kilka politycznie palących kwestii, chociażby spór o aborcję. Każda będzie miała jakiś wpływ na wyniki. Więcej o decyzjach wyborców będzie można powiedzieć dopiero po przeprowadzeniu badań w okresie powyborczym.

PROF. JACEK WÓDZ,

socjolog, Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej

Protesty rolników nie odegrają zasadniczej roli. Po pierwsze, dlatego że uzmysławiają części wyborców złożoność problemu. Po drugie, było wiele naiwności w podejściu uniijnych przywódców do problemu Ukrainy. Od początku starano się zapomnieć, że jej wejście w obieg polityczny i gospodarczy Europy będzie trudne, bo to kraj o znaczącym rolnictwie. Takie wprowadzenie musi

być przemyślane, szczególnie gdy europejskie rolnictwo przeżywa kryzys. Same protesty rolników na pewno zmuszą do refleksji. Protesty w Warszawie widzę jako akcję polityczną. Zwłaszcza gdy widać tam osoby przygotowane do walk ulicznych. To nie są reprezentanci rolników, a jedynie ludzie, którzy jadą zrobić rozróbę.

DR HAB. RAFAŁ CHWEDORUK,

politolog, UW

Skala wpływu w tego typu sytuacjach jest bardzo różna. W tym wypadku będziemy mieli do czynienia raczej z czynnikiem ilościowym aniżeli jakościowym. Producenci rolni są grupą bardzo rozproszoną, różnorodną i ostatecznie niezbyt liczną. Czynnikiem utrudniającym zdyskontowanie polityczne jest niemal homogeniczność polskich elit, jeśli chodzi o politykę wobec władz Ukrainy. Paradoksalnie to elektorat jest w tej materii bardziej zniuansowany. Spór związany z ochroną rynku będzie miał znaczenie w trójkącie PSL, PiS, Konfederacja. Ludowcy zawsze byli bliscy środowiskom wiejskim i producentom rolnym. PiS, które poniosło duże straty na wsi, będzie próbowało odwrócić ten trend. Nie bacząc na to, że idzie to kompletnie wbrew jego polityce wobec Ukrainy w czasach, gdy było u władzy. Natomiast dla Konfederacji wybory samorządowe mogą się okazać kwestią być albo nie być, szczególnie jeśli chodzi o poziom sejmików, ale dla niej sytuacja jest wygodna – najlepsze notowania partia ta miała w apogeum pierwszych konfliktów zbożowych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Dyplomacja po PiS

PiS przerobiło MSZ na fabrykę synekur, ciepłych posad dla swoich

Robert Walenciak,
Piotr Janicki

Tak amatorskiego korpusu ambasadorów nie ma żaden inny kraj europejski. Zawodowi dyplomaci kierują mniej niż połową ze 103 polskich ambasad i przedstawicielstw. A konkretnie – 45. Przyjęta za rządów PiS ustawa o służbie zagranicznej nie stawia przed szefami placówek żadnych wymagań. Ambasadorem może być każdy, bez względu na kompetencje, wiek, wykształcenie, znajomość języków obcych (można nie znać żadnego) czy posiadanie obywatelstwa innego państwa.

Polska była zarazem, co również jest ewenementem na skalę światową, de facto pozbawiona własnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Może teraz Radosław Sikorski przywróci mu rangę, ale w czasach PiS

To nie są żadne konfabulacje. Już krótka lektura protokołów z posiedzeń sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, opiniującej kandydatów na ambasadorów, przyprawia o ciarki. Weźmy posiedzenia z roku 2023.

Ambasadorowie ostatniego rzutu

„Jak państwo doszli do tej kandydatury?“, pytał 8 marca ub.r. poseł Krystian Kamiński z Konfederacji, gdy omawiano osobę Macieja Chmieleńskiego, przyszłego ambasadora w Australii. „Pan kandydat nie ma żadnego doświadczenia dyplomatycznego. Z notki biograficznej wynika, że nie ma dosłownie żadnego – podkreślał Kamiński – nie wspominając o zainteresowaniu Australią. Główne projekty badawcze, które mamy wypisane, to m.in. »Niemiecka myśl polityczno-prawna indywidualistycznego anarchizmu i liberalizmu«, »Filozofia prawa Immanuela

„To jest najbardziej kontrowersyjny pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych, jakiego dane nam było znać – mówił o nim Władysław Teofil Bartoszewski, wtedy poseł, dziś wiceminister. – Jest on skonfliktowany z całą masą pracowników, a w tej chwili również z byłymi pracownikami o randze ambasadorów. Posiada on opinię osoby nieprzyjemnej, ofensywnej, agresywnej i niekulturalnej, o czym mówią nie tylko dwie osoby, pan ambasador i pani ambasador, z którymi są sprawy w sądzie, ale również ci, z którymi takich spraw nie ma. Liczba pracowników służby zagranicznej, która wypowiada się negatywnie o kandydacie, idzie w dziesiątki“.

Na te słowa Bartoszewski usłyszał taką odpowiedź: „Nie da się dobrze zarządzać i podejmować decyzji, biorąc pod uwagę opinie różnych państwa z MSZ i szacownych ambasadorów, takich czy owakich. Podobnie doprowadziłem do ostatecznego rozwiązania kwestii moralnej i etycznej, czyli pozbyłem się z szeregów służby zagranicznej osób, które były uwiłkane w donoszenie, które były konfidentami Służby Bezpieczeństwa i innych służb. Tak, ja za to odpowiadamy i biorę za to odpowiedzialność. Dziękuję państwu bardzo“.

I tak wysłaliśmy na ambasadora człowieka o mentalności kaprała. A teraz zagadka: na stanowisko ambasadora w jakim kraju jedzie pani, którą wiceminister Wawrzyk przedstawił w ten sposób: „Z wykształcenia jest germanistką. Życie zawodowe związała z dziennikarstwem, zarządzaniem biznesem i pracą w administracji państwowej. Studia magisterskie na UW ukończyła w 1997 r. Po studiach rozpoczęła pracę w redakcji zagranicznej Polskiej Agencji

Przyjęta w czasach rządów PiS ustawa o służbie zagranicznej nie stawia przed szefami placówek żadnych wymagań. Ambasadorem może być każdy.

MSZ stało się jedynie fasadą. Sprawy europejskie i Polonii przeszły do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Politykę bezpieczeństwa prowadziło Ministerstwo Obrony Narodowej i w mniejszym stopniu Kancelaria Prezydenta RP. Politykę wschodnią – służby specjalne. Domeną prezydenta były kontakty z USA i ONZ. Co zostawało? Przykro to pisać, ale MSZ z czasów PiS kojarzyć się nam będzie z wojenkami z Unią Europejską i z aferą wizową. No i z gromadą ludzi, którym załatwiono wyjazdy na zagraniczne placówki.

Kanta«... Raczej nie wskazują one na kogoś, kto pretenduje do bycia polskim ambasadorem. Najbliżej tematu polityki zagranicznej kandydat wydaje się poprzez fakt bycia z tej samej uczelni i napisania kilku wspólnych książek z obecnym ministrem spraw zagranicznych, panem Rauem“.

Innym przesłuchiwanym tego dnia kandydatem, na ambasadora w Czarnogórze, był Andrzej Papierz, szara eminencja MSZ, który w kwestiach personalnych rządził ministerstwem w czasach Waszczykowskiego i Czaputowicza.



Za poziom polskiej służby dyplomatycznej odpowiadają minister Zbigniew Rau oraz wiceministrowie Piotr Wawrzyk i Paweł Jabłoński. Nz. podczas narady ambasadorów 19 czerwca 2023 r.

Prasowej. Kandydatka zna biegle język niemiecki i angielski, ponadto podczas studiów nauczyła się języka szwedzkiego i rosyjskiego, a od roku uczy się portugalskiego. Ukończyła podyplomowe studia służby zagranicznej w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W 2001 r. założyła i wydawała lokalny dziennik »Gazeta Południa«, który ukazywał się na terenie powiatu piaseczyńskiego. W 2006 r. współzакładała z mężem ogólnopolski portal Salon24. (...) Przez wiele lat była zaangażowana społecznie, była wolontariuszem Fundacji Świętego Mikołaja przy projekcie »Mama w pracy«. Powołała do życia Fundację Warszawskie Szpitale Polowe, która upamiętniała pracę służby zdrowia w Powstaniu Warszawskim. W latach 2021-2022 pełniła funkcję sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta RP, gdzie

odpowiadała za dialog społeczny, pomoc humanitarną oraz uczestniczyła w kształtowaniu polityki międzynarodowej prezydenta. Przewodniczyła delegacji państwowej w Ukrainie, której celem była pomoc humanitarna dla mieszkańców”.

Takim życiorysem może się pochwalić Bogna Janke, a kierowano ją na stanowisko ambasadora w... Brazylii.

Ubolewał więc w Sejmie poseł Władysław Teofil Bartoszewski: „Muszę powiedzieć, że nie ma pani absolutnie żadnego doświadczenia w sprawach zagranicznych – ani w centrali MSZ, ani na placówkach. (...) Brazylia jest jednym z najbardziej zaludnionych państw na świecie, o czym pani wspominała, ale językiem obowiązującym jest język portugalski. Językiem angielskim posługuje się tam ok. 5% ludzi, a językiem

niemieckim – który, zakładam, że zna pani biegle jako germanistka – posługują się niecałe 2 mln ludzi. Z władzami Brazylii nie porozumie się pani rudymmentarnym portugalskim, a w innych językach będzie z tym bardzo trudno. To nie jest poważne traktowanie tak dużego państwa”.

W patriotycznym uniesieniu

Innymi słowy, PiS przerobiło MSZ, czy raczej fasadę, która z niego została, na fabrykę synekur, ciepłych posad dla swoich. Podlewając to, zgodnie z tradycją tej formacji, patriotycznym sosem. Ten sos to wyrzucanie falami dawnych pracowników. Tłumaczono, że obcina się PRL-owskie ogony, likwiduje sitwy, pozbywa „geremkowców”. A najwyższym stadium patriotycznego czynu było wyrzucenie z MSZ absolwentów MGIMO, czyli moskiewskiej szkoły stosunków międzynarodowych, znanej na całym świecie i – o zgrozo – bardzo cenionej. Minister Rau w 2022 r. usunął z MSZ 35 ostatnich jej absolwentów i bardzo tym się chwalił. Że takich podejrzaných ludzi, wyszkolonych w Moskwie, się pozbył.

Wyrzuceni poszli do sądu i regularnie zaczęli wygrywać, mimo że MSZ do walki z nimi wynajęło bardzo drogą kancelarię prawną. I praktycznie całą grupą wrócili do ministerstwa. Na dawne stanowiska, z prawem dostępu do informacji tajnych, gdyż – co bardzo symptomatyczne – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego tego prawa im nigdy nie cofnęła. Ba, jeden ze zwolnionych przez Raua absolwentów przeszedł do Agencji Wywiadu, gdzie przyjęto go bez szemrania.

Przy okazji objawiła się jeszcze jedna przypadłość PiS – wielkie zapowiedzi, które kończą się targami o stołki. Teoretycznie o nominacjach ambasadorskich miał wspólnie decydować konwent, czyli reprezentanci prezydenta, premiera i MSZ. W ten sposób, argumentowano, zostaną wyeliminowani kandydaci przypadkowi, których trudno bronić. Wyszło dokładnie na odwrót. Trzech przedstawicieli pisowskiej władzy, zamiast się dogadać, klinczowało się ►

Ministrowie spraw zagranicznych w rządzie Zjednoczonej Prawicy

- **Witold Waszczykowski** – 785 dni, od 16 listopada 2015 r. do 9 stycznia 2018 r.
- **Jacek Czaputowicz** – 960 dni, od 9 stycznia 2018 r. do 26 sierpnia 2020 r.
- **Zbigniew Rau** – 1188 dni, od 26 sierpnia 2020 r. do 27 listopada 2023 r.
- **Szymon Szyński vel Sęk** – 16 dni, od 27 listopada 2023 r. do 13 grudnia 2023 r.

► wzajemnie. I dziś mamy kilkanaście nieobsadzonych ambasad.

Można zresztą odnieść wrażenie, że i tak najważniejsze decyzje zapadały ponad nimi. Opowiadał jeden z pracowników MSZ, że miał obiecać przez ministra Raua stanowisko ambasadora w ważnym kraju, pefen prestiż. Tylko jeszcze trzeba było trochę poczekać. W międzyczasie bardzo podpadł on rządzącym, więc wściekły minister zakomunikował mu: „Z ambasadą pan się żegna, teraz może być co najwyżej Instytut Polski”. Innymi słowy, wyjeżdżało się za zasługi, a nie w wyniku świadomej polityki państwa.

Ambasadorowie IV RP

Dopychano zatem MSZ ludźmi z zewnątrz. I różne były tego dopychania kryteria. W efekcie polskich ambasadorów można podzielić na kilka kategorii.

1. Liczną grupę, około jednej piątej korpusu polskich ambasadorów, stanowią byli politycy oraz wyżsi urzędnicy Kancelarii Prezydenta i KPRM. Są wśród nich:

a) ci, którzy zawdzięczają powołania wyłącznie afiliacji politycznej (np. były minister zdrowia Konstanty Radziwiłł na Litwie, Anna Maria Anders we Włoszech, Jarosław Guzy na

2. Druga grupa to „pospolite ruszenie”: politycy mniejszego kalibru, urzędnicy, samorządowcy, biznesmeni... Umiejętnie wykorzystali za rządów PiS koniunkturę polityczną i uzyskali stanowiska ambasadorskie. Są wśród nich były wiceprezydent Lubina Mirosław Gojdz (Kenia), Joanna Tarnawska (Nigeria), Krzysztof Grzelczyk (Macedonia Północna), Jan Pawelec (Angola), Janusz Janke (Katar), a także przedstawiciele biznesu – Jan Emeryk Rościszewski (PKO BP) we Francji i Antoni Fałkowski (Orlen) w Danii.

3. Ludzie nauki. Fenomenem polskiej dyplomacji czasów PiS była (i pozostaje) znacząca, kilkunastoprocentowa obecność naukowców w korpusie ambasadorów. Dla prawie wszystkich stanowisko ambasadorskie było debiutem w zawodzie dyplomaty. Niektórzy zajmowali się naukowo krajami obecnej akredytacji (jak Anna Sroka w Hiszpanii czy Monika Michaliszyn na Łotwie), część ze stosunkami międzynarodowymi, politycznymi czy gospodarczymi nie miała wcześniej nic wspólnego (jak literaturoznawca Piotr Wilczek – ambasador w Wielkiej Brytanii, czy etnolog Antonina Śniadecka-Kotarska – ambasador w Peru). Jeszcze inni zapisali się w historii polskiej dyplomacji jako gorliwi funkcyjona-

królika”, czyli ludzie, których kariera dyplomatyczna jest związana wyłącznie z koneksjami towarzyskimi. Za typowego przedstawiciela tej grupy uważa się Macieja Chmieleńskiego – ambasadora w Australii, prywatnie kolegę Zbigniewa Raua z Uniwersytetu Łódzkiego.

6. Zawodowcy. Równie różnorodnie prezentuje się grupa ambasadorów, którzy przed wyjazdem na misję pracowali w MSZ. Różnorodnie, bo jedni zajmowali przed wyjazdem wysokie stanowiska, drudzy – raczej średnie. Jedni spisali tak, że aż wykręca, drudzy – troszeczkę. Nie ma powodów, aby powątpiewać w profesjonalizm większości, zapewne osiągnęliby szczyty dyplomatyczne także pod innymi niż PiS rządami, może tylko trochę później. Ich pech polega na tym, że były szef MSZ Zbigniew Rau przypiął każdemu polityczną metkę, oświadczając w Sejmie, że „ambasadorowie są politycznymi nominatami”. Tym samym dał swojemu następcy Radosławowi Sikorskiemu podstawę do odwołania ich wszystkich. Bo czy nowy rząd może mieć zaufanie do nominatów poprzednio rządzącej partii?

A propos spisienia, trzeba uczciwie przyznać, że niektórzy spośród zawodowych dyplomatów, dzisiejszych ambasadorów, bardzo w swoim czasie postarali się wzbudzić nieufność obecnego ministra. Już nie chodzi o to, że zajmując kierownicze stanowiska w MSZ, firmowali i wspierali antyunijną politykę rządów PiS czy inicjowali lub

Polskich ambasadorów można podzielić na kilka grup: byli politycy oraz wyżsi urzędnicy, pospolite ruszenie, ludzie nauki, propagandyści z mediów prawicowych, „osobiści przyjaciele królika”, zawodowcy.

Ukrainie, Adam Kwiatkowski w Watykanie, Sebastian Kęciek na Węgrzech, Rafał Siemianowski w Belgii),

b) eksperci, ale z bardzo jednoznacznego nadania politycznego (np. Jakub Kumoch w Chinach, Paweł Woźny w Kolumbii, Paweł Czerwiński w Chorwacji, Krzysztof Szczerski w ONZ, Paweł Soloch w Rumunii, Witold Dzielski w Kanadzie). Niektórzy tacy polityczni nominaci potwierdzili swoją fachowość (jak Marek Magierowski w USA czy były wiceminister obrony Tomasz Szatkowski, przedstawiciel przy NATO); byłoby zatem ze szkodą dla polskiej dyplomacji rezygnować z ich usług.

riusze rządzącej partii, np. Arkady Rzegocki (obecnie ambasador w Irlandii), dokonujący ostatnich przed utratą władzy przez PiS czystek wśród urzędników MSZ.

4. Propagandyści. Nazywani są tak w MSZ, ponieważ swój wzlot na dyplomatyczne szczyty zawdzięczają pełnej oddania PiS aktywności w mediach prawicowych. Reprezentantami tej kategorii są Bogna Janke (Brazylia), Piotr Skwieciński (Armenia), Krzysztof Karwowski (Maroko) czy Artur Dmochowski (Tajlandia).

5. Osobną kategorię stanowią ambasadorowie, których w MSZ określa się jako „osobistych przyjaciół

przeprowadzali kolejne fale czystek w resorcie. Że dawali temu twarz. Niejednokrotnie pozwalali sobie jednak na wypowiedzi i zachowania wręcz niesmacznie krytyczne wobec rządów i polityków PO-PSL, co niezbyt licuje z apartyjną, wyważoną i propaństwową postawą, której wymaga się od zawodowych dyplomatów. Ale też dzięki takim politycznym deklaracjom lub związkom towarzysko-partijnym wystrzeliły kariery dyplomatyczne dzisiejszych ambasadorów w Portugalii, Jordanii, Gruzji, Uzbekistanie, Azerbejdżanie, Serbii, Czarnogórze, Grecji, Bośni, Słowenii,

Szwajcarii, Luksemburgu czy na Cyprze.

Swoją grupę miał w MSZ wspomniany Andrzej Papierz i pozatłatwiał jej członkom nominacje ambasadorskie, których w normalnych układach raczej by się nie doczekali.

Ambasadorowie, których brakuje

Jakie więc z tej klasyfikacji można wyciągnąć wnioski? Chociażby taki, że wymiana ok. 60 ambasadorów, o czym rozpisują się media, nie jest żadną opcją atomową.

Na początku lutego nieobsadzonych pozostawało 18 stanowisk ambasadorów (na 103). Kilkunastu szefów placówek dawno już przekroczyło wiek emerytalny i powinni zakończyć karierę. Kolejnych ponad 20 ambasadorów piastuje stanowiska po pięć, sześć, a nawet więcej lat, choć niepisana zasada są kadencje czteroletnie. Aby zapewnić sterowalność i skuteczność polskiej dyplomacji, minister Sikorski powinien na cito obsadzić zaufanymi ambasadorami co najmniej 80-90 placówek.

Problem Sikorskiego i Polski polega na tym, że tylu zawodowych dyplomatów z odpowiednimi umiejętnościami, właściwie przygotowanych, raczej w wieku nieemerytalnym, po prostu nie ma.

Wrócmy zatem do sytuacji z lat 90. XX w. To wtedy mieliśmy tzw. zaciąg Geremka (z nadzieją, że większość z tych, którzy przyszli do MSZ, znajdzie tu swoje miejsce). Szło to opornie, Władysław Bartoszewski narzekał głośno, że nie ma kogo za granicę wysyłać, że ma dyplomatołków.

Coś w tym musiało być. Opowiadał jeden z dyplomatów, były ambasador, który do MSZ przyszedł już w wieku dojrzałym, że mimo iż wcześniej zawodowo zajmował się sprawami zagranicznymi, bywał w polskich ambasadach, i tak czuł, że w wielu przypadkach brakuje mu umiejętności, które nabyłby,



Do Czarnogóry na ambasadora pojechał Andrzej Papierz – najbardziej kontrowersyjny pracownik MSZ. Nz. na spotkaniu z okazji Dnia Służby Zagranicznej 15 listopada 2019 r.

pracując w resorcie od początku. Że cała masa rzeczy, które dla zawodowego dyplomaty, znającego pracę w centrali i na placówkach, byłyby czymś naturalnym, jemu była obca.

W Europie, w starych dyplomacjach, to wiedzą.

Jak to robią na Zachodzie

W dyplomacjach krajów europejskich, a w państwach Unii szczególnie, regułą jest, że najwyższe, ambasadorskie stanowiska powierza się dyplomatom zawodowym (zasada merytokracji i służby cywilnej). Uważa się, że ambasador, obok oczywistych kompetencji twardych, powinien mieć sprawdzone długoletnią praktyką zawodową predyspozycje osobowościowe i psychologiczne oraz co najmniej kilkunastoletnie doświadczenie dyplomatyczne. Nominacje spoza korpusu dyplomatów zawodowych są rzadkością; szefowie państw i rządów unikają

upychania partyjnych przyjaciół na misjach dyplomatycznych. Gdy przed kilkoma laty prezydent Francji Emmanuel Macron mianował na stanowisko szefa jednej z placówek swojego przyjaciela, pisarza Philippe'a Bessona, zaprotostowały związki zawodowe z Quai d'Orsay i Rada Stanu (w systemie prawnym Francji Rada Stanu opiniuje wszystkie akty prawne władz wykonawczych) anulowała prezydencki dekret o mianowaniu Bessona. Nie bez powodu francuscy dyplomaci i tamtejsze MSZ mają tak wysokie notowania w świecie.

Tymczasem w Polsce jako uzasadnienie mianowań na stanowiska ambasadorskie osób spoza korpusu dyplomatycznego przywołuje się przykład Stanów Zjednoczonych, gdzie prezydentowi zdarza się powierzyć misję ambasadora szczególnie hojnemu darczyńcy z kampanii wyborczej. Owszem, zdarza się, ale nie tak znowu często. USA mają 194 ambasad i przedstawicielstwa dyplomatyczne.

Ambasadorowie inni niż zawodowi dyplomaci kierują pracami 73 placówek, czyli stanowią około jednej trzeciej amerykańskiego korpusu ambasadorów.

Wyjaśnijmy też od razu, co w systemie amerykańskim oznacza ambasador inny niż zawodowy dyplomata. Aby zostać zaliczonym do kategorii zawodowych (*career*) dyplomatów, należy bezpośrednio przed objęciem stanowiska ambasadora być etatowym pracownikiem Departamentu Stanu. Przykładowo ambasador USA w Polsce Mark Brzezinski, który wcześniej był ambasadorem w Szwecji i całe życie związał ze sprawami międzynarodowymi, nie został zaliczony do zawodowych dyplomatów, ponieważ przed przyjazdem do Polski pracował jako dyrektor wykonawczy Arctic Executive Steering Committee. Formalnie nie jest *career* dyplomata, nawet ambasador USA w Chinach Nicholas Burns, który przepracował ▶

► w Departamencie Stanu 25 lat, był ambasadorem w Grecji, przedstawicielem przy NATO, podsekretarzem stanu, ale przed objęciem misji w Pekinie pracował w sektorze prywatnym. Jeśli przyrzeć się uważniej biografii amerykańskich ambasadorów, okaże się, że zaledwie kilkanaście procent nie może się wykazać imponującym dorobkiem w sferze stosunków międzynarodowych.

Dodajmy, że amerykański ambasador, jeśli nawet jest amatorem w tym zawodzie, obudowany jest profesjonalnym składem placówki

Istnieją stanowiska wiceministrów (obecnie to aż siedem osób – najwięcej w historii polskiego MSZ), których kompetencje nachodzą na kompetencje dyrektorów departamentów (generalnie struktura stanowisk w MSZ jest niesłychanie rozdęta – w sumie ponad 100 osób zajmuje stanowiska kierownicze, plus kilkudziesięciu naczelników);

b) Departament Strategii, który powinien zajmować się programowaniem polityki (w tym opracowaniem zadań kierunkowych), od lat nie pełni swojej funkcji;

MSZ z czasów PiS kojarzyć się nam będzie z wojenkami z Unią Europejską i z aferą wizową.

dyplomatycznej, a jako zastępcę ma etatowego pracownika Departamentu Stanu. Tymczasem zestaw ambasadorów reprezentujących interesy Polski za granicą, a i skład całego polskiego korpusu dyplomatycznego, przypomina pospolite ruszenie polityczne, zebrane na chybił trafił. Są politycy, byli politycy, propagandyści, ludzie nauki... Są placówki, gdzie nie pracuje ani jeden zawodowy dyplomata. Jak mówi były pracownik jednej z takich ambasad, „ambasador nie bardzo wie, czym ma się zająć, i nie ma nikogo, kto by mu podpowiedział”.

Centrala – statek trochę pijany

No to może podpowie centrala? W centrali jednak mamy kłopoty dwójakiego rodzaju. Po pierwsze, struktura jest chybota i źle działająca. Po drugie, brakuje właściwych ludzi.

Zacznijmy od struktury. Jedną z kluczowych słabości MSZ pozostaje problem z opracowaniem i przekazaniem placówkom precyzyjnych zadań oraz weryfikacją ich wykonania. Cała rozchwybotana konstrukcja polskiej dyplomacji przypomina trochę pijany statek dryfujący we mgle. Trudność z opracowaniem konkretnych wskazówek/instrukcji wynika z kolei stąd, że

a) struktura stanowisk kierowniczych w MSZ jest dysfunkcyjna.

c) stanowiska dyrektorów zajmują osoby w większości niemające wystarczających kompetencji programowych (ani kreatywności!). Wolą posłusznie wykonywać polecenia. Co oczywiście łatwo może się przełożyć w patologię. Przekonać się o tym możemy, słuchając wyjaśnień przed komisją wizową – jak dyrektor Departamentu Konsularnego Beata Brzywczy pisała do konsulatów depesze, zawierające listy imienne osób, którym trzeba dać wizę...

Najwyższym stadium patriotycznego czynu było wyrzucenie z MSZ absolwentów MGIMO.

Tak doszliśmy do braku właściwych ludzi. Otóż gołym okiem widać, że Radosław Sikorski, choć zna MSZ bardzo dobrze, zabiera się do spraw kadrowych jak pies do jeża. I zostawił większość ludzi PiS na stanowiskach. Odeszli tylko ci najmocniej pismem ubrudzeni. Stracił stanowisko oskarżany o służalczość wobec rządów PiS i udział w kolejnych falach zwolnień Maciej Karasiński, dyrektor generalny służby zagranicznej. Były dyrektor kadr Paweł Baka, zasłużony w realizacji pisowskich czystek, schronił się aż w Ministerstwie Sportu na stanowisku dyrektora kontroli. (Plotki głoszą, że umieścili go tam nowi ważni funkcjonariusze w MSZ, ponieważ Baka

jako były szef Biura Kontroli i Audytu w MSZ za pierwszego Sikorskiego sporo wiedział o różnych drobnych przekrętach i machlojkach byłych ambasadorów. Zadbali więc, aby nie stała się mu krzywda). Odszedł dyrektor polityczny Witold Sobków, zawodowy dyplomata, który u schyłku kariery niepotrzebnie żyrował antyunijną politykę PiS.

Ale znakomita większość funkcyjnych z czasów PiS ma się dobrze. Nawet tak gorliwi w niszczeniu meritokracji w dyplomacji jak najbliższy współpracownik wiceministra Piotra Wawrzyka Jakub Osajda bądź szef kadr, a wcześniej szef kadr MON za Macierewicza, Radosław Peterman czy Michał Sarnicki, wicedyrektor kadr, później wicedyrektor biura dyrektora generalnego. Mają się świetnie. Skryli się na mniej ważnych stanowiskach.

Więcej, zaciąg pisowski powiększył się za Sikorskiego o Rafała Wiśniewskiego (wiceminister spraw zagranicznych za czasów pierwszych rządów PiS, 2005-2007), który unią personalną połączył kluczowe stanowiska dyrektora generalnego służby zagranicznej i szefa służby zagranicznej.

Funkcjonują różne teorie tłumaczące tę niemoc. Pierwsza, że

taki jest Sikorski, sam był ministrem w rządzie PiS. Druga, że nie lubi spraw kadrowych, nie ma do nich głowy, co innego go interesuje. Trzecia, że nie chce wchodzić w wojnę z prezydentem Dudą, a tę, gdy zaczną ruszać ambasady, ma jak w banku. No i czwarta – że ma wielką ochotę na stanowisko unijnego komisarza ds. obrony, więc nie chce psuć sobie opinii jakimiś awanturami.

Dlatego ambasadorowie, nawet ci mocno pisowscy, nie drżą już przed nagłym odwołaniem. „Do wakacji będę” – to słowa jednego z nich. A po wakacjach?

Robert Walenciak, Piotr Janicki



Z Galicji

Jan Widacki

Populizm penalny

Idąc w parze z krytyką polityki kryminalnej Zjednoczonej Prawicy realizowanej przez ministra Ziobrę, w Polsce w ostatnich latach ukazało się kilka książek poświęconych tzw. populizmowi penalnemu. Zacznę od obszernego cytatu z jednej z nich.

„Mechanizm zwykle wygląda następująco: ma miejsce jakieś pojedyncze, spektakularne przez swe okrucieństwo lub inne odrażające okoliczności przestępstwo. Przypadek pojedynczy, a przez swe okoliczności odosobniony, nietypowy. Przypadek zostaje nagłośniony przez media. Odbiór społeczny jest taki, że opisywane w mediach zdarzenie jest typowe, że zagraża wręcz lawina podobnych zdarzeń. Ludzie chcą tę nieistniejącą falę powstrzymać. Boją się, oczekują zdecydowanych działań władz. Z reguły domagają się surowszego karania sprawców takich przestępstw. Takie postawy nazywa się paniką moralną. Na panikę moralną z reguły reagują politycy. Urządzają konferencje prasowe, występują w telewizji i parlamencie. Zapowiadają zdecydowaną walkę z takimi przestępstwami. Zapowiadają i zwykle realizują zmianę prawa przez jego zaostrenie, zmianę polityki kryminalnej, a wszystko pod kątem tego pojedynczego, nietypowego przypadku. Utwierdza to ludzi w przekonaniu, że nie był to przypadek odosobniony, ale jak najbardziej typowy, jeden z wielu, może jeden z setek, a nawet tysięcy podobnych. Zmienne prawo lub polityka kryminalna, modelowane do tego nietypowego przypadku, są później stosowane do zdarzeń zupełnie innych. Dlatego na ogół są nieskuteczne lub nawet przeciwskuteczne. Wywołują też szereg nieprzewidywanych, szkodliwych skutków ubocznych. Czasem przy społecznej akceptacji czynią wyłomy w zasadach państwa prawa i łamią prawa człowieka. (...) Te działania polityków, reakcja na panikę moralną to właśnie populizm penalny”.

Na ulicy w centrum Warszawy, w nocy, została brutalnie zgwałcona 25-letnia Liza. Młoda kobieta zmarła w szpitalu. O tym dramatycznym zdarzeniu szeroko informowały media. Tym razem policja spisała się na medal. Po kilku godzinach ujęto sprawcę. Opinia publiczna słusznie była poruszona tą odrażającą zbrodnią. Zareagowała także wiceministra sprawiedliwości Maria Ejchart, przypominając, że przez grupę posłów (lewicy, nawiasem mówiąc) złożony został projekt zmian w Kodeksie karnym, który zakłada znaczne zaostrenie kar za gwałt i zmianę definicji gwałtu. Po proponowanej zmianie za gwałt uznawane będzie doprowadzenie do obcowania płciowego bez wcześniejszego wyrażenia świadomej i dobrowolnej zgody. Proponuje się również podniesienie

dołnego wymiaru kary za gwałt do trzech lat, co oznacza, że zgwałcenie stanie się zbrodnią. Przypomnijmy: dziś za gwałt grozi od dwóch do 15 lat pozbawienia wolności.

Te zmiany są konieczne, twierdzi wiceministra. Zaraz, ale co to ma do tego przypadku? Czy pod rządami obecnie obowiązującego prawa jest jakaś wątpliwość co do tego, że Liza została zgwałcona? Czy istnieje obawa, że sprawca tego brutalnego przestępstwa zostanie skazany na karę łagodniejszą niż trzy lata pozbawienia wolności? Przecież będzie odpowiadał za zabójstwo dokonane w związku ze zgwałceniem (art. 148 par. 2 kk), za co grozi kara od 15 lat pozbawienia wolności do dożywocia.

Magdalena Środa, wychodząc od tego dramatycznego przypadku, na łamach „Wyborczej” dziwi się, że po nim nie usłyszała deklaracji natychmiastowego uruchomienia konwencji stambulskiej o przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet. Aby nie było wątpliwości, uważam, że konwencja stambulska (Konwencja Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy

To, że surowość kar nie jest skutecznym lekarstwem na przestępczość, wiadomo od czasów oświecenia.

domowej), podpisana przez Polskę w 2012 r., a ratyfikowana w roku 2015, powinna być w Polsce przestrzegana. Warto przypomnieć, że z członków Rady Europy nie podpisały jej tylko Rosja i Azerbejdżan (ale nie ratyfikowało jej dotąd znacznie więcej państw, m.in. Wielka Brytania).

Ale co ma konwencja do okrutnego, ohydneho morderstwa w Warszawie? Żadna konwencja nie wyeliminuje zbrodni. Te zdarzają się we wszystkich państwach i niestety będą się zdarzać. Niezależnie od tego, jaka konwencja będzie obowiązywać i jak skrupulatnie będzie przestrzegana. A to, że surowość kar nie jest skutecznym lekarstwem na przestępczość, wiadomo od czasów oświecenia. Często ostatnio w Polsce przywoływany Monteskiusz (choć w innym kontekście) twierdził, że „łatwo byłoby udowodnić, iż we wszystkich państwach Europy kary zmniejszały się lub powiększały, w miarę jak zbliżano się lub oddalano od wolności”. Ciągłe zaostrenie kar, łącznie z domaganiem się przywrócenia kary śmierci, było dotąd charakterystyczne dla prawicy. Populizm penalny był przez lata socjotechnicznym narzędziem PiS i Suwerennej Polski. Ale, jak widać, jest zaraźliwy.

A wracając do sprawy zgwałcenia i zabójstwa 25-letniej Lizy, mam nadzieję, że jej morderca, o ile jest poczytalny, poniesie najsurowszą karę. Grozi mu dożywocie. Nie trzeba zaostrenie prawa. ■



NIECH BĘDZIE POTĘPIONY

Skompromitowany abp Andrzej Dzięga
nie tylko nie poniósł konsekwencji za tuszowanie pedofilii,
ale i nie miał odwagi godnie odejść z urzędu

Andrzej Sikorski

W 2021 r. arcybiskup Monachium i Fryzngi kard. Reinhard Marx złożył na ręce papieża Franciszka rezygnację, uzasadniając to współodpowiedzialnością za katastrofę wywołaną nadużyciami seksualnymi popełnionymi przez przedstawicieli niemieckiego Kościoła, jak również traktowaniem ofiar. „W ten sposób być może uda mi się wystać osobisty sygnał nowego początku, nowego przebudzenia Kościoła, nie tylko w Niemczech”, napisał do Franciszka. Choć papież nie przyjął rezygnacji, polscy biskupi nie wzięli sobie do serca czynu niemieckiego hierarchy i nie zaryzykowali pójścia w jego ślady. A szkoda...

Demencja hierarchy

W sobotę 24 lutego br. nuncjusz apostolski w Polsce Antonio Guido Filipazzi zamieścił lakoniczny

komunikat, że papież Franciszek „przyjął rezygnację abp. Andrzeja Dzięgi z posługi arcybiskupa metropolity szczecińskiego-kamieńskiego”.

Zaraz po tym w pożegnalnym liście do księży z archidiecezji hierarcha napisał, że przyczyną jego rezygnacji jest pogarszający się stan zdrowia. „Ostatnie pół roku to czas radykalnego osłabienia mojego stanu zdrowia. Dlatego jesienią stało się dla mnie oczywiste, że nadszedł także czas ustąpienia z urzędu. Ojciec Święty Franciszek przychylił się do mojej prośby i dzisiaj został ogłoszony fakt przyjęcia mojej rezygnacji”, stwierdził kłamliwie Dzięga, co wywołało powszechne oburzenie.

„Zasmuca nas i niepokoi, że przy ogłoszeniu rezygnacji do wiadomości wiernych oraz opinii publicznej nie podano, czy toczono przez władze kościelne postępowania kanoniczne w archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej i diecezji sandomierskiej, dotyczące zaniedbań przez abp. Dzięgę

w sprawach oskarżeń duchownych o pedofilię, mają związek z odejściem hierarchy z urzędu arcybiskupa metropolity”, napisali w oświadczeniu były rektor KUL ks. Andrzej Szostek, były profesor KUL ks. Alfred Wierzbicki, dominikanin Maciej Biskup, były przeor i proboszcz w szczecińskim klasztorze, i drugi dominikanin, Tomasz Dostatni, publicysta i duszpasterz środowisk inteligenckich.

Intelektualiści kościelni musieli poruszyć sumienie ekscelencji Filipazziego, bo ten migiem zamieścił kolejny komunikat: „Odpowiadając na pojawiające się pytania, Nuncjatura Apostolska precyzuje, że decyzje związane z odejściem abp. Andrzeja Dzięgi z urzędu metropolity szczecińskiego-kamieńskiego zostały podjęte w następstwie dochodzenia prowadzonego z ramienia Stolicy Apostolskiej w sprawie zarządzania diecezją, a w szczególności zaniedbań, o których mowa w dokumencie papieskim *Vos estis lux mundi*”.

Na odślonięciu pomnika Lecha Kaczyńskiego w Szczecinie obok abp. Dzięgi zasiadła czołówka polityków PiS: Marek Kuchciński, Mateusz Morawiecki, Beata Mazurek i Mariusz Błaszczak. 16 czerwca 2018 r.

Niezorientowanym w meandrach watykańskiej nomenklatury należy wyjaśnić, że chodzi o list papieski z 2019 r., w którym Franciszek określił m.in., jak należy postępować z biskupami tuszującymi przestępstwa pedofilii wśród księży. Na podstawie tego dokumentu kuria rzymska wszczęła wewnętrzne śledztwo przeciwko Dziędze. Badanych było kilka wątków nie tylko dotyczących tuszowania przestępstw pedofilii, ale też prawdopodobnie nadużyć w zarządzaniu archidiecezją szczecińską. Władze kościelne nigdy nie ujawniły szczegółów.

Pedofile pod ochroną

Wiadomo na pewno, że abp. Dzięgę obciąża sprawa ks. Andrzeja Dymera, założyciela Ogniska św. Brata Alberta dla trudnej młodzieży szkół katolickich, który przez wiele lat molestował i gwałcił chłopców. O tym, że Dymmer jest pedofilem, biskupi wiedzieli co najmniej od połowy lat 90. Alarmowali o tym duchowni, wstrząsające relacje składały w kurii ofiary. Jedną z nich był franciszkanin Tarsycjusz Krasucki, który w wieku 16 lat trafił do młodzieżowego ośrodka kierowanego przez Dymera. Już w 2007 r. „Gazeta Wyborcza” ujawniła,

uroczystościach, polował, pił, a nawet udzielał im ślubów.

Co prawda, na chwilę odsunięto go od pracy z młodzieżą i przeniesiono do innej parafii, ale szybko wrócił do task i w 2010 r. Dzięga mianował go dyrektorem prestiżowego Instytutu Medycznego im. Jana Pawła II w Szczecinie, w skład którego wchodziły szpital i kilka ośrodków pomocy społecznej hojnie finansowanych przez rząd PiS i spółki skarbu państwa. Pomimo wielu doniesień o nadużyciach seksualnych obrotowego księdza, Dymmer zarządzał

Gdy nuncjusz apostolski ogłosił, że papież przyjął rezygnację abp. Dzięgi, hierarcha napisał, że jej przyczyną jest pogarszający się stan zdrowia.

placówką aż do swojej śmierci w 2021 r. Ostatniego namaszczenia Dymmerowi udzielił oczywiście abp Andrzej Dzięga, który skutecznie chronił go przez ponad 10 lat. Na grobie pedofila umieszczono napis „Wychowawca młodzieży” (sic!).

„Uważam, że niestychana przewlekłość kościelnych procedur w sprawie ks. Andrzeja Dymera oraz brak odpowiedniego traktowania osób skrzywdzonych na wielu etapach tego postępowania nie mają żadnego usprawiedliwienia”, bił się w piersi prymas Polski abp Wojciech Polak. Prymas miał pewnie na myśli wspomnianego już Tarsycjusza Krasuckiego, który jeszcze kilka miesięcy przed śmiercią Dymera tak mówił w rozmowie z red. Zbigniewem

krzywdę jako 17-letniego chłopaka, za którą nie przeprosił ani sprawca, ani przedstawiciele kryjących go struktur kościelnych? Czy tak trudno rozemnać w kościelnym trybunale, że ten ksiądz nadużywał swojej funkcji dla własnych korzyści seksualnych?”.

Za Dzięgą ciągnie się również sprawa z Sandomierza, gdzie był biskupem w latach 2002-2009. W 2006 r. do hierarchy zgłosił się 12-letni ministrant, który opowiedział, że był wykorzystywany seksualnie przez Józefa G., proboszcza

w Tarnobrzegu. Biskup nie powiadomił prokuratury, nie wszczął nawet postępowania kościelnego. Sprawca został przeniesiony do parafii w Ostrowcu Świętokrzyskim, gdzie m.in. uczył dzieci religii w szkole podstawowej. Wkrótce po tym pedofil został mianowany kanonikiem kapituły kolegiackiej w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jakby tego było mało, w kościelnych archiwach zaginęło nagranie rozmowy, na którym chłopiec zarejestrował wypowiedzi proboszcza potwierdzające jego zeznania. Dopiero w 2020 r. ks. Józef G. został tymczasowo aresztowany, nie tylko za molestowanie byłego ministranta, ale i za zastraszanie oraz nakłanianie pokrzywdzonego do składania fałszywych zeznań, korzystnych dla sprawcy. W 2021 r. księdza skazano na więzienie za oba przestępstwa. Abp Dzięga do końca wypierał się krycia pedofila. Jego rzecznik stwierdził, że gdy Dzięga „kierował diecezją sandomierską, nie było zgłoszeń w zakresie takiej sprawy i nie toczyło się tego rodzaju postępowanie”.

Protektorzy i przyjaciele

Jak to możliwe, że abp Andrzej Dzięga, któremu od lat zarzucano tuszowanie przestępstw pedofilskich księży, pozostał bezkarny? Wszak wysłanie go na zasłużoną i wygodną emeryturę trudno uznać za dolegliwość. Aby odpowiedzieć na to ▶

Abp Dzięga miał politycznych protektorów. Na jego imprezach gościli m.in. Beata Kempa i Joachim Brudziński, a prezydent Duda odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

że władze kościelne obchodziły się z wielbnym pedofilem jak z jajkiem. Procesy kościelne były utajniane przed opinią publiczną i ofiarami, przedłużały się w nieskończoność, a Dymmer, zamiast zostać ukarany, piastował coraz ważniejsze stanowiska, podkreślając swoją znajomość z politykami PiS, z którymi pokazywał się publicznie na różnych

Nosowskim z katolickiej „Więzi”: „Od 28 lat żyję z tym piętnem. Od 16 lat trwają kolejne przesłuchania, wezwania, posiedzenia, badania, procesy – a każdy taki fakt to dla mnie kolejne upokorzenie... Kiedyś nawet prawie całą korespondencję sądową wrzuciłem do niszczarki, bo już nie chciałem z tym mieć nic wspólnego. Kto w tym wszystkim patrzy na moją

► pytanie, należy prześledzić karierę hierarchy, który ma licznych wpływowych przyjaciół i protektorów.

Dzięga jest z wykształcenia prawnikiem kanonistą, doktorem habilitowanym, wieloletnim profesorem KUL. W latach 1992-1995 był kanclerzem kurii polowej, na czele której stał wówczas biskup polowy Sławoj Leszek Głódź (w 2021 r. ukarany przez Watykan za tuszowanie przestępstw pedofilskich). W 2002 r. papież Jan Paweł II mianował Dzięgę biskupem diecezjalnym sandomierskim. W 2009 r.

do „popularyzacji tradycji oręża polskiego, patriotyzmu i odwagi żołnierza oraz promocji pozytywnego wizerunku Sił Zbrojnych”.

W 2020 r. Dzięga został wybrany do Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski na miejsce swojego protektora, abp. Głódzia, który przeszedł na emeryturę. Obaj należeli do Zespołu Konferencji Episkopatu Polski ds. Duszpasterskiej Troski o Radio Maryja, któremu przewodniczył metropolita gdański. Obaj też koncelebrowali w grudniu 2020 r. w Toruniu

Dominikanin Marcin Mogielski w liście otwartym do kurii w Szczecinie napisał, że ignorowanie żądań odwołania skompromitowanego hierarchy jest podłe i bezbożne.

Benedykt XVI zdecydował o przeniesieniu go do archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. Także w 2009 r. Dzięga, choć już od dawna nie miał nic wspólnego z wojskiem, otrzymał awans na stopień pułkownika rezerwy. Decyzję podjął minister obrony narodowej Bogdan Klich na wniosek ówczesnego biskupa polowego Tadeusza Płoskiego, ale powszechnie wiadomo, że to Głódź załatwił Dziędze ten awans. Decyzję szefa MON odczytał gen. bryg. Janusz Bojarski, twierdząc, że Dzięga przyczynił się

mszę z okazji 29. rocznicy powstania Radia Maryja, podczas której kościelny oligarcha Tadeusz Rydzik nazwał bp. Edwarda Janiaka, oskarżonego o tuszowanie pedofilii w swojej diecezji, „współczesnym męczennikiem”, a przestępstwa wykorzystywania seksualnego bagatelizował w skandaliczny sposób, mówiąc: „To, że ksiądz zgrzeszył? No zgrzeszył. A kto nie ma pokus? Niech się pokaże”.

W 2021 r. Dzięga otrzymał Nagrodę im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego Prymasa Tysiąclecia, przyznaną przez

Stowarzyszenie Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL „za wybitne osiągnięcia mające na celu szerzenie zasad katolickich w duchu »Deo et Patriae«” (Bogu i Ojczyźnie). Przewodniczącym zarządu tego stowarzyszenia jest ks. Mirosław Sitarz, obrońca ks. Andrzeja Dymyera w karnym procesie kanonicznym i obrońca Dzięgi w zleconych przez Watykan sprawach dotyczących krycia pedofilii.

Oprócz sprzymierzeńców w Kościele abp Dzięga miał politycznych protektorów. Na organizowanych przez niego imprezach gościli liczni samorządowcy i posłowie PiS, m.in. Beata Kempa i Joachim Brudziński. W 2017 r. prezydent Andrzej Duda odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych i upamiętnienia prawdy o najnowszej historii Polski, za działalność społeczną”. 15 stycznia 2023 r. Dzięga zorganizował w Wyższym Seminarium Duchownym w Szczecinie spotkanie opłatkowo-noworoczne dla 250 działaczy PiS. 22 czerwca 2023 r. hierarcha wspólnie m.in. z premierem Mateuszem Morawieckim i posłami PiS uczestniczył w hucznej uroczystości otwarcia fabryki polimerów w Policach. Kilka dni później m.in. z prezesem PiS Jarosławem Kaczyńskim otwierał tunel w Świnoujściu. We wrześniu 2023 r. abp Dzięga w towarzystwie wojewody zachodniopomorskiego Zbigniewa Boguckiego, posłów PiS Leszka Dobrzyńskiego, Czesława Hoca i Michała Jacha poświęcił plac budowy centrum medycznego Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego. Można by tak wymieniać bardzo długo...

Bulwersujące jest, że takie okazywanie czułości na linii Dzięga-pisowska władza odbywało się, gdy wobec arcybiskupa toczyło się już prowadzone przez Watykan postępowanie o tuszowanie pedofilii, wierni protestowali, żądając odwołania skompromitowanego hierarchy, o to samo apelowali duchowni. Dominikanin Marcin Mogielski w liście otwartym do kurii w Szczecinie napisał m.in.: „Ignorowanie nas i milczenie jest podłe i bezbożne. To niszczy Kościół i sprawia, że ludzie Wami gardzą”.

Andrzej Sikorski

Pomóż swoim mediom!



**STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**



prosi o wsparcie i pomoc dla naszych seniorów.

Aby wesprzeć działalność naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP 1,5% podatku dochodowego - należy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie 1,5% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego” następujące dane:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny - NR KRS: 0000043110

Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

Prasa czyni wolnym

Jarosław Kaczyński, przegrywając wybory, dowiódł, że przebrani za dziennikarzy klakierzy panowania nie zapewniają

Maciej Mikołajczyk

W kupionych trzy lata temu przez Orlen mediach właśnie trwa rewolucja. Partyzanci Strefy Wolnego Słowa od Tomasza Sakiewicza, redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”, nie mają wątpliwości, że polega ona „na skrajnym upolitycznieniu oraz czystkach, czyli wyrzucaniu z pracy niezależnych dziennikarzy, chcących obecnej władzy patrzeć na ręce”. W istocie, jak tylko Daniel Obajtek przestał być prezesem zarządu największej polskiej firmy, nowe władze Orlenu odwołały kierownictwo spółki Polska Press (PP), wydającej m.in. dzienniki regionalne. Ale już chwilę później – 23 lutego br. – ogłoszono konkurs na stanowisko prezesa zarządu.

Towarzysze i krewniacy

Wymagania: wykształcenie wyższe, co najmniej pięcioletni okres zatrudnienia, w tym trzyletni na stanowisku kierowniczym, umiejętności pracy pod presją czasu i w sytuacjach kryzysowych, interpersonalne, organizacyjne i etyczne, do tego



„wykazujące aktywność społeczną lub zarobkową rodzącą konflikt interesów wobec działalności Spółki”.

Szefem Polski Press nie może więc zostać nie tylko polityk, ale nawet jego współpracownik. W czasach, do których wzdychają Sakiewicz i jego partyzanci, takie zasady nie obowiązywały. Przeciwnie, szanse na posady w firmach powiązanych ze skarbem państwa mieli wyłącznie towarzysze

zainstalowano bez żadnego trybu i konkursu. Identyczną procedurę zastosowano w przypadku stanowiska prezesa zarządu – nadzwyczajne walne zgromadzenie wspólników, czytaj Daniel Obajtek, bo 100% udziałów ma Orlen, mianowało Marcina Deca i po sprawie. Dec był jednocześnie prezesem agencji mediowej Sigma Bis, założonej przez Orlen i PZU, co mogło prowadzić do konfliktu interesów, ale nikt tym się

nie przejął. Na dodatek do mianowania doszło mimo sądowego orzeczenia ustanawiającego zakaz wykonywania przez

W ciągu trzech lat łączna sprzedaż tytułów regionalnych wydawanych przez Polskę Press spadła ze 150 tys. do 100 tys. egzemplarzy.

dyspozycyjność i język angielski na poziomie umożliwiającym kontakty biznesowe (mile widziany). Szeroko określono kryteria dyskwalifikujące. Kandydować nie mogli bowiem zatrudnieni w biurach poselskich, senatorskich lub posła do Parlamentu Europejskiego, osoby wchodzące w skład organu partii politycznej, zatrudnione przez partię polityczną, pełniące funkcję z wyboru w zakładowej organizacji związkowej czy

sprawdzeni w partyjnych bojach lub ich krewni i znajomi. Redaktorem naczelnym Polski Press – a właściwie supernaczelnym, bo nadzorującym naczelnymi wszystkich tytułów należących do spółki – i jednocześnie członkiem zarządu zaraz po przejściu PP przez Orlen została Dorota Kania. Dziennikarkę wywodzącą się z ekipy Sakiewicza (pracowała w „Gazecie Polskiej”, „Gazecie Polskiej Codziennie” i TV Republika)

Orlen praw udziałowych w Polska Press. Wyrok był efektem wniosku Adama Bodnara, wtedy rzecznika praw obywatelskich, uważającego, że nabycie udziałów w spółce medialnej przez Orlen naruszało przepisy chroniące konsumentów, a ściślej – czytelników, przed ideologicznym monopolem.

Po Decu prezesem został Tomasz Przybek, menedżer sprawdzony już przez PiS na odcinku prasowym, bo ▶

► wcześniej kierował wydawnictwem Fratria (w portfolio tygodnik „Sieci” i serwis wPolityce.pl) oraz był członkiem zarządu Polskiej Agencji Prasowej. Propagandowa robota nie była mu obca, ale po 18 miesiącach odwołano i jego, a stanowisko prezesa PP objął Stanisław Bortkiewicz. Ten działał wcześniej u boku Jacka Kurskiego i Zygmunta Wrzodaka w Ruchu Odbudowy Polski Jana Olszewskiego. Kariery politycznej nie zrobił, ale na otarcie łez, gdy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński, został szefem stołecznego Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. Nie wiadomo, czy dzięki umiejętności lania wody. W każdym razie tak się złożyło, że zatrudnił Jana Marię Tomaszewskiego, cioteczynę brata Lecha i Jarosława Kaczyńskich, uzasadniając decyzję następująco: „To osoba o dużej wrażliwości, wyobraźni i charyzmie, absolwent Akademii Sztuk Pięknych”. A MPWiK posiadało przecież „wiele niewykorzystanych zabytkowych obiektów inżynierskich o dużych walorach architektonicznych”, Tomaszewski

8 października 2023 r., kilka minut przed godz. 16 w internetowej wersji „Głosu Wielkopolskiego”. Następnie go dnia po południu artykuł zniknął. Jak przekazali anonimowo pracownicy „Głosu” Wirtualnej Polsce, stało się to po interwencji Doroty Kani lub Piotra Samsika – naczelnego łódzkich dzienników Polski Press.

Finanse na dnie

Organizatorom konkursu na szefa PP najwyraźniej się śpieszyło – w początkowej wersji regulaminu kandydaci mieli na składanie CV i listów motywacyjnych raptem pięć dni. Wybuchł skandal, bo publika uznała, że krótki termin oznacza, iż jedyny słuszny kandydat jest już znany, a reszta to formalność. W rezultacie konkurs przedłużono do 5 marca. Zgłosiło się 80 osób. To sporo, zważywszy, że w ogłoszeniu o naborze nie podano żadnych informacji na temat wysokości wynagrodzenia ani dodatkowych świadczeń i korzyści. A nowy szef będzie miał pod górkę, bo spółka jest w opłakanym stanie.

Historia, Strefa Biznesu, Strefa Agro, dodatek telewizyjny „Tele Magazyn” i wiele innych wydawnictw branżowych. Jest także serwis ogólnopolski, 23 regionalne serwisy informacyjne oraz serwisy tematyczne, portal społeczności lokalnych, internetowy serwis telewizyjno-rozrywkowy. Do tego cztery drukarnie.

Spółka zatrudniająca 2,4 tys. osób (umowy o pracę i cywilnoprawne) w 2022 r. zanotowała stratę w wysokości 23 mln zł, rok wcześniej dziura w budżecie wyniosła prawie 31 mln. Jak to się stało, że mimo spadku sprzedaży wynik finansowy się poprawił? Wyjaśniamy: ów cud zdarzył się dzięki repolonizacji. Po zakupieniu w 2021 r. Polski Press przez Orlen na łamach jej gazet zaczęły się pojawiać ogłoszenia rządowe oraz spółek skarbu państwa. W rezultacie wzrosły przychody z reklam. Większe wpływy z ogłoszeń przy gwałtownym spadku zasięgów są raczej nie do pomysłenia w warunkach rynkowych, ale nie po to Obajtek kupił Kaczyńskiemu gazety, żeby poszły na dno przed wyborami.

Niejasna przyszłość

Ogłoszony przez Orlen konkurs na stanowisko prezesa zarządu PP oznacza, że w najbliższym czasie do sprzedaży spółki i należących do niej gazet raczej nie dojdzie. To szansa na uratowanie prasy drukowanej przed definitywnym upadkiem. Polska Press na razie pozostanie własnością Orlenu, ale nie wiadomo, jaki będzie ciąg dalszy. Mówi się o konieczności naprawy kondycji finansowej, a następnie sprzedaży w kawałkach, jak również o wprowadzeniu spółki na giełdę. Pojawia się także postulat umożliwienia powrotu do pracy dziennikarzom zwolnionym po podporządkowaniu gazet naczelnikowi państwa. Ten drugi pomysł nie jest szczęśliwy – poprzedni, niemiecki właściciel PP forswał politykę bezkonfliktowego współzycia podległych mu redakcji z władzami wszelkich szczebli, co polegało na niepodejmowaniu tematów mogących wywołać negatywne emocje marszałków województwa, prezydentów miast czy wójtów. Taka taktyka miała zapewnić napływ

Prezes Obajtek przysiągł, że czystek nie będzie, po czym z pracy wylecieli wszyscy redaktorzy naczelni i dziennikarze niewykazujący stosownego zaangażowania ideologicznego.

zaś miał opracowywać koncepcje ich odnowienia i udostępnienia zwiedzającym. Pełnienie funkcji prezesa Polski Press nie przeszkadzało Bortkiewiczowi w sprawowaniu funkcji doradcy zarządu TVP, za co – jak ujawnił poseł Dariusz Joński na podstawie informacji z telewizji publicznej – tylko w 2023 r. otrzymał 976,3 tys. zł. Nic więc dziwnego, że Bortkiewicz przy każdej okazji TVP zachwalał, utrzymując, iż dzięki niej w Polsce panuje pluralizm medialny.

Pluralizm w Polsce Press polegał mniej więcej na tym samym, co w TVP: Tusk dopuszczalny był jedynie jako przemawiający po niemiecku zdrajca, a o politykach PiS można było pisać dobrze albo wcale. Przekonała się o tym Marta Jarmuszcza, autorka artykułu „»Aleja milionerów PiS« na Cytadeli w Poznaniu” opublikowanego w niedzielę,

Wydawane przez Polskę Press dzienniki regionalne to marki z wieloletnią tradycją, ale od czasu nabycia spółki przez Orlen szorują po dnie.

Traktowanie gazet jako młotka do walenia po łbie opozycji w połączeniu z ogólnopolskim kryzysem czytelnictwa prasy drukowanej dało taki efekt, że w ciągu trzech lat łączna sprzedaż tytułów regionalnych wydawanych przez PP spadła ze 150 tys. do 100 tys. egzemplarzy. Przewodząca stawce „Gazeta Pomorska” z 18 tys. zjechała do 11 tys., „Dziennik Zachodni” zaliczył spadek z 13 tys. do 8 tys., a „Głos Wielkopolski” z 12 tys. do 7,5 tys. To ścisła czołówka. Peleton zamykają „Gazeta Współczesna” ze sprzedażą niespełna 2 tys. egzemplarzy oraz „Kurier Poranny” (1,3 tys.) i „Kurier Lubelski” (1,1 tys.). W portfolio PP znajdują się też bezpłatna gazeta „Nasze Miasto”, serwisy Nasza

reklam od gmin, powiatów i urzędów marszałkowskich. Jednak polityka miłości pomiędzy prasą a władzą na dłuższą metę się nie sprawdza, ci zaś, którzy w celu osiągnięcia korzyści przysmykają oko na machlojki, uprawiają najstarszy zawód świata, a nie dziennikarstwo.

W rezultacie już za znieprawdzonego przez pisowców Niemca doszło do spadków sprzedaży i – co za tym

zachodnich sąsiadów, wątpliwości nie było. Na łamach „Gazety Polskiej” wprost padło stwierdzenie, że „niemieckie media niszczą dumę z Polski i próbują zawłaszczyć nasz język, by manipulować pozbawionym dumy i tożsamości narodem”. „W niemieckiej mentalności nadal głęboko tkwi poczucie misji kulturowej wobec Polski. Według Niemców wielowiekowa praca kulturowa Berlina nad Wisłą

„Dziennika Zachodniego” i Stanisław Sowa z rzeszowskich „Nowin”. Zastąpili ich pracownicy propagandowych mediów prorządowych. Z niewielkim dorobkiem dziennikarskim, bez doświadczenia w zarządzaniu mediami regionalnymi, za to gotowi służyć PiS. Bo taki był prawdziwy cel wydania ponad 200 mln zł z kasy naftowego giganta. Transakcja miała zapewnić Kaczyńskiemu wygraną w kolejnych wyborach, ale nie zapewniła.

Repolonizacja mediów polegająca na przypisaniu dziennikarzom roli heroldów partyjnego przekazu przyniosła skutek odwrotny do zamierzonego, co Koalicja 15 Października, dokonując zmian w telewizji publicznej i spółce Polska Press, winna mieć na względzie. Rządząca dziś większość szła do wyborów pod sztandarami merytokracji i apolityczności kadry zarządzającej, a nabycie przez Orlen gazet regionalnych było (słusznie) przedstawiane przez polityków KO czy Lewicy jako symbol wykorzystywania dziennikarzy do uprawiania propagandy. Dobrze się stało, że władzy nad spółką medialną nie objął z marszu partyjny nominat na Platformy, Lewicy lub Trzeciej Drogi, ale to ledwie niezły początek.

Maciej Mikołajczyk

Szefem Polski Press nie może zostać nie tylko polityk, ale nawet jego współpracownik.

idzie – wpływów z ogłoszeń, a w redakcjach przeważali ci, którzy godzili się na nikczemne traktowanie zawodu (i beznadziejne wynagrodzenia).

Degrengolada finansowa dzienników regionalnych ani jakość i wymowa tekstów na ich łamach nie mają związku z narodowością właścicieli, ale Jarosław Kaczyński uważa inaczej. Prezes wyznaje zasadę, że kapitał musi mieć polską narodowość, bo tylko taka pozwala prowadzić działalność gospodarczą, w tym wydawniczą, zgodną z interesem Polski, utożsamianym przez niego z jego własnym i podległej mu partii. O konieczności „repolonizacji polskojęzycznych mediów niemieckich” PiS mówiło od zarania, a podczas kampanii wyborczej w 2015 r. był to jeden z silnie eksponowanych motywów. Rok później, już po przejściu władzy, dało się słyszeć o projekcie ustawy – jak to określono – „zapobiegającej koncentracji mediów”. Straszono, że „właściciel cudzoziemiec, który przekroczy określony w przepisach pułap, będzie musiał odsprzedać część biznesu, a w niektórych przypadkach wycofać się z rynku”, ale pisowcy zaraz zmiękczyli narrację, wywodząc, że „repolonizacja nie oznacza odbierania niczego na siłę, bo jesteśmy w Unii Europejskiej i Polskę obowiązują pewne przepisy”. Czas płynął, wezwania do spolszczenia mediów nie zniknęły z agendy, lecz przepisów pozwalających na zabranie Niemcom narzędzi ogłupiania Polaków i skłaniania ich do głosowania na niemiecką agenturę nie było. Bo co do tego, że głównie chodzi o naszych

i Wartą przesądziła o przynależności tych ziem do wyższego pod względem kulturowym organizmu. W tej perspektywie odzyskanie przez Polskę niepodległości jest kulturowym regresem”, grzmiał organ PiS.

Z ręką na sercu

Wzywanie do polonizacji niemieckich mediów miało i ma ograniczoną podstawę faktyczną – nawet najczęściej przywoływany przez patriotów wydawca „Faktu”, Onetu i „Newsweeka” to miks niemiecko-szwajcarski. Ale dzienniki regionalne i tygodniki lokalne rzeczywiście należały do niemieckiej spółki.

Faktem jest, że w 2019 r. PiS wygrało wybory, mimo że degermanizacji mediów nie dokonało. I zaraz po zwycięstwie zaczęło mobilizować elektorat bombastyczną śpiewką o repolonizacji, nie czyniąc jednakże w kierunku ich spolszczenia nawet kroczku. Dopiero dwa lata później Orlen kupił spółkę Polska Press. Obajtek z ręką na sercu przysięgł, że zwolnień – ani tym bardziej czystek – nie będzie, po czym z pracy wylecieli wszyscy redaktorzy naczelni i dziennikarze niewykazujący stosownego zaangażowania ideologicznego. Tylko jednego dnia, 29 kwietnia 2021 r., zwolnieni zostali doświadczeni, wieloletni naczelni: Jerzy Sułowski z „Gazety Krakowskiej”, Marek Twaróg z katowickiego

Odeszła moja Babcia

MARIA DYMEK

nauczycielka, która wychowała niezliczone pokolenia absolwentów wrocławskich (i nie tylko) podstawówek, liceów, techników, studiów wieczorowych i zakładów dla trudnej młodzieży. Pracowała i wychowywała w każdym sensie dzieci i młodzież przez kilkadziesiąt lat – od kiedy jako młoda dziewczyna przyjechała do zrujnowanego wojną Wrocławia, aż po wejście Polski do UE. Do końca życia pamiętała dzieci, którym po raz pierwszy pokazała Warszawę, schody ruchome na Dworcu Centralnym i Muzeum Techniki. Też jestem jednym z nich. Spędziłem z nią pewnie więcej czasu niż z kimkolwiek – ale wciąż o wiele za mało. Była i pozostanie w mojej pamięci wzorem bezinteresowności, hojności i siły.

Jakub Dymek

Kubo
serdecznie Ci współczujemy
po śmierci Babci

koleżanki i koledzy z „Przeglądu”

Grzegorz Rudnik

Nie ma bardziej polskiego dania niż kotlet schabowy z ziemniaczkami i kapustą. W sejmowych kuluarach od lat powtarza się, że gdyby prominentni politycy PO, których nieprzystojne rozmowy nagrywali kelnerzy w restauracji Sowa i Przyjaciele na zlecenie biznesmena Falenty, zamiast ośmiorniczek, byczych ogonów i francuskiego wina zamówili pół litra żytniej pod schaboszczaka i kiszzone ogórki, nie mieliby problemów. Bo czegoż to chłopcy nie wygadują w knajpie przy wódce? Tę szczerość i przywiązanie do narodowych wartości gwarantował kawałek smażonej w panierce rodzimej wieprzowiny, która towarzyszyła nam w najtrudniejszych momentach historii.

W czasie II wojny światowej żywność z narażeniem życia dostarczali mieszkańcom Warszawy szmuglerzy. Refren popularnej wówczas piosenki brzmiał:

Teraz jest wojna, kto handluje, ten żyje,

Jak sprzedam rąbankę, słoninę, kaszankę,

To bimbru się też napiję.

Rąbanka – słowo dziś niemal zapomniane, oznaczało najczęściej wieprzowinę porąbaną razem z kośćmi.

W stanie wojennym, gdy mięso było na kartki, rolnicy sprzedawali mieszcuchom na pniu świńskie półtusze – ówczesną odmianę rąbanek. To był rynek producenta. Chłop dyktował cenę i miał zysk. Niektórzy do dziś wspominają tamte lata z rozrzewnieniem. Dolce vita skończyło się wraz z planem Balcerowicza, którego wieś obdarzyła szczerą niechęcią.

Dobre, bo niekoniecznie polskie

Ostatnie protesty dowiodły, że polscy i europejscy rolnicy nie mogą liczyć na prosperity. Obok producentów zbóż vegetują – to właściwe słowo – hodowcy trzody chlewnej. Od grudnia 2021 r. do grudnia 2023 r. w Polsce zniknęło ponad 30 tys. małych, poniżej 500 sztuk, stad trzody chlewnej. W czerwcu ub.r. pogłowie świń wynosiło 9,436 mln sztuk i był to najgorszy wynik od roku 1945.



Ktoś tu podłożył świnię

Im mniej wieprzy w kojcach,
tym więcej kasy na ich promocję

Największe spadki odnotowano w regionach słynących z produkcji wieprzowiny: w Wielkopolsce oraz w województwach kujawsko-pomorskim, lubuskim i dolnośląskim.

Przyczyn jest kilka. Od dziesięciu lat nie umiemy sobie poradzić z afrykańskim pomorem świń (ASF),

Niemcy, na trzecim Francuzi. Polska jest na miejscu czwartym. Problem w tym, że większość wielkich ferm w naszym kraju należy do zagranicznych spółek. Podobnie jak przetwórstwo i eksport.

Jednym z największych koncernów rolno-spożywczych jest

Między grudniem 2021 r. a grudniem 2023 r. w Polsce zniknęło ponad 30 tys. małych, poniżej 500 sztuk, stad trzody chlewnej.

dramatycznie wzrosły koszty produkcji, a niskie ceny zbytu nie są w stanie zrekomensować strat. W tej sytuacji na niewiele się zdają unijne pieniądze. Poza tym w ostatnich latach zmieniły się nawyki żywieniowe Polaków. Coraz więcej osób zamiast mięsa i podrobów wybiera ryby, warzywa i owoce.

Największymi w Europie producentami trzody chlewnej są Hiszpanie, na drugim miejscu znajdują się

zajmująca się kurczakami, produkcją pasz, hodowlą świń, przetwórstwem mięsa wieprzowego, produkcją wędlin, dań gotowych, a nawet karmy dla zwierząt Grupa Cedrob. Jej prezes Andrzej Goździkowski przez lata budował potęgę firmy. W 2016 r. przejął zakłady PKM Duda, potem wchłonął zakłady produkcyjne należące do upadłej grupy ZM Kania, kupił też Zakłady Mięsne Silesia. W 2021 r. łączny przychód Cedrobu

sięgnął ponad 9,5 mld zł. Ale to wyjątek, nie reguła.

Reguła to Henryk Kania, były akcjonariusz i były prezes upadłych Zakładów Mięsnych Henryk Kania, którego od 2020 r. prokuratura ściga listem gończym. Według stanu

je odchowac i sprzedac. Tym sposobem polski hodowca stal się de facto tania siłą roboczą, której czas i tak szybko przemija, gdyż na horyzoncie majaczy jeszcze tańsza – ukraińska siła robocza. Ostatnio jeden z największych producentów trzody chlewnej

W połowie ubiegłego roku pogłowie świń liczyło 9,436 mln sztuk i był to najgorszy wynik od roku 1945.

na 23 maja 2019 r. zadłużenie firmy Kani wynosiło łącznie 636,67 mln zł, z czego 472,1 mln zł przypadało na zadłużenie wobec banków: Banku Handlowego w Warszawie, Alior Banku i Santander, kwota 164,6 mln zł stanowiła zaś zadłużenie z tytułu obligacji wyemitowanych przez spółkę. Henryka Kanię zlokalizowano w Argentynie, co było oczywiste, gdyż kraj ten słynie z wybornej wołowiny. Można sobie wyobrazić, jak były prezes zakładów mięsnych swojego imienia w towarzystwie gauczów, tamtejszych kowbojów, urządza *asado*, czyli argentyński grill, racząc się wybornymi stekami i doskonałym miejscowym winem. Ściągnięcie podejrzanego przez prokuraturę z Ameryki Południowej jest bardzo trudnym zadaniem.

Klasą dla siebie był i nadal jest Animex, właściciel takich marek jak Krakus, Morliny czy Berlinki, który stał się częścią amerykańskiej firmy Smithfield Foods, światowego lidera w produkcji wołowiny, należącego do chińskiego koncernu WH Group, dawniej Shuanghui.

Właścicielem Sokołowa SA, za pośrednictwem spółki Saturn Nordic Holding AB, jest duński koncern Danish Crown, który z kolei jest kontrolowany przez spółdzielnię – tak, tak, spółdzielnię – Leverandørselskabet Danish Crown AmbA należącą do 9 tys. duńskich rolników. Motto firmy: „Jeden człowiek, jeden głos”. Protestujący polscy rolnicy mogliby się uczyć od duńskich kolegów, jak prowadzić biznes. Czy ktoś słyszał, by w Danii farmerzy blokowali traktorami ulice Kopenhagi?

Tymczasem my sprowadzamy duńskie i holenderskie warchlaki, by

w Ukrainie, koncern KSG Agro, ogłosił plany podniesienia poziomu produkcji z myślą o eksporcie. Ukraińcy mają tanią paszę, tanią siłą roboczą i żadnych ograniczeń w dostępie wieprzowiny do europejskiego rynku.

Jednocześnie z roku na rok rosną kwoty przeznaczane na promocję polskiej (choć czy aby na pewno polskiej?) wieprzowiny. Dzieje się tak za sprawą Ustawy o funduszach promocji produktów rolno-spożywczych, którą Sejm przyjął w maju 2009 r. Najogólniej chodzi o to, że dzięki niej gromadzone są środki,

Większość wielkich ferm w naszym kraju należy do zagranicznych spółek. Podobnie jak przetwórstwo i eksport.

które następnie idą na promocję mleka, wieprzowiny, koniny, jagnięciny, ryb, zbóż, jabłek itd. Zajmuje się tym dziesięć specjalnie powołanych funduszy. Rząd ani rządowe agencje nic do nich nie mają. Funduszami zarządzają osoby wywodzące się z organizacji i związków rolniczych.

O ile 15 lat temu szacowano, że rocznie na promocję wieprzowiny uda się zebrać ok. 6 mln zł, o tyle w roku 2023 wpływy na rachunek samego Funduszu Promocji Mięsa Wieprzowego wyniosły 18,3 mln zł. Było i jest po co się schylić.

„Wół czy wieprz” i „Wieprza pieprzem”

To nazwy finansowanych przez wspomniany fundusz projektów promujących konsumpcję trzody chlewnej. Są też inne, np. „Wieprzomania” (dotacja ponad 50 tys. zł), „Kuchnia

strażacka z ognistą wieprzowiną” (dotacja ponad 845 tys. zł), „Konserwa wieprzowa smaczna i zdrowa” (dotacja ponad 97 tys. zł) czy „Wieprzowina na topatkach” (dotacja ponad 930 tys. zł). Za tymi wywołującymi uśmiech nazwami kryją się bardzo konkretne kwoty.

Przyjrzyjmy się „Kuchni strażackiej z ognistą wieprzowiną”. Ten projekt realizuje Ogólnopolskie Stowarzyszenie Przetwórców i Producentów Produktów Ekologicznych Polska Ekologia. W 2022 r. uzyskało ono także 770 tys. zł dotacji z Funduszu Promocji Ziarna Zbóż i Przetworów Zbożowych na projekt „Kuchnia strażacka ze zbożami wysokiej jakości”. Na stronie internetowej stowarzyszenia oraz w mediach społecznościowych znajdziemy relacje z imprez plenerowych typu grill, organizowanych wspólnie z druhmami z ochotniczych straży pożarnych, ma się rozumieć w ramach „Kuchni strażackiej”.

Typowy program wyglądał tak: „6 maja 2023 r. Ochotnicza Straż Pożarna Kobyle. XII Ogólnopolski

Spytów Kajakowy Szlakiem rzeki Wiśłok. Poczęstunek godz. 13.00-14.00 na przystani kajakowej w Wojkówce. Godz. 20.00, Gminny Ośrodek Sportu Fryszak”.

Albo: „OSP Niebieszczyński serdecznie zaprasza na Dni Kultury Chrześcijańskiej »Piknik Rodzinny« w dniu 18 czerwca 2023 r. w godz. od 13.00 do 18.00. Miejsce Sanok – Rynek”.

Na zdjęciach widać druhów kręcących się wokół grilla z kiełbaskami oraz wojskowej kuchni, wydającej zapewne tradycyjną wojskową grochówkę.

Można odnieść wrażenie, że większość pikników, spływów, spotkań, kiermaszów i pokazów, w których uczestniczy Ogólnopolskie Stowarzyszenie Przetwórców i Producentów Produktów Ekologicznych Polska Ekologia z projektami „Kuchnia strażacka z ognistą wieprzowiną” ▶

► oraz „Kuchnia strażacka ze zbożami wysokiej jakości”, odbywa się na południu kraju, głównie w województwie podkarpackim. Widać tu podobieństwo do innego projektu realizowanego przez tę organizację – „Polska wieprzowina na kulinarnych szlakach”, na który dostała ona 556 tys. zł dotacji.

Ogólnopolskie Stowarzyszenie Przetwórców i Producentów Produktów Ekologicznych Polska Ekologia w ogóle notuje wyjątkowe sukcesy w pozyskiwaniu środków na promocję. Przykładem mogą być:

* Rok 2022 – „THAT’s Organic”, kampania informacyjna współfinansowana ze środków UE skierowana

najstarszy Festiwal Piwny Chmielaki w Krasnymstawie, gdzie promowali wieprzowinę wsparci kwotą ponad 215 tys. zł, czy imprezy jeździeckie w Walewicach, podczas których reklamowali mięso z trzody chlewnej, otrzymując na to 143 tys. zł dotacji. Nie zapominajmy również o ponad 392 tys. zł na przeprowadzenie drugiej już edycji warsztatów kulinarno-edukacyjnych dla szkół gastronomicznych. Prawdziwą wisienką na torcie jest jednak ponad 348 tys. zł na jakże szczytny cel – „Obronę wizerunku polskiej wieprzowiny oraz obalenie mitów na jej temat wśród dietetyków”. 24 stycznia br. związek ogłosił przetarg na przygotowanie

wieprzowinę w Kujawsko-Pomorskiem. A Niezależny Samorządny Związek Zawodowy Rolników Indywidualnych Solidarność przekonywał za 113 tys. zł, że „Polska wieprzowina jest najlepsza”. Z kolei Krajowa Rada Izb Rolniczych za 118 tys. zł gotowa była zająć się „Przepisem dnia – wieprzowina w codziennej diecie”, za kolejne 101 tys. zł miała zaś zorganizować dwa „Pomorskie Pikniki Wieprzowe”.

Przy czym to wierzchołek góry lodowej. Dziesięć funduszy promocji polskich produktów rolno-spożywczych działających na mocy ustawy od 2010 r. stało się w pewnym sensie zapleczem finansowym rolniczych aktywistów. Im bardziej wгłębiamy się będziemy w tabele z dotacjami, tym więcej wątpliwości. Bo jeśli nasz Fundusz Promocji Mięsa Wieprzowego dotuje akcje promujące polską wieprzowinę na rynku chińskim, to trzeba postawić

pytanie, jaki to ma sens. WH Group jako właściciel Animeksu może kupić w Polsce i sprzedać w Państwie Środka dowolną ilość mięsa, jeśli będzie się to firmie opłacało. Czy te fundusze zatem nie są de facto wygodnym sposobem finansowania działalności rolniczych związków zawodowych, izb rolniczych, spółek zajmujących się szeroko rozumianą promocją i stowarzyszeń, które istnieją tylko dzięki owym dotacjom?

I w ogóle po co promować coś, co powoli znika z ojczystego krajobrazu? Dramatyczny spadek pogłowia trzody chlewnej w Polsce już doprowadził do tego, że zmuszeni jesteśmy importować wieprzowinę. Dziś nikt nie może być pewny, że siadając do niedzielnego obiadu i mając na talerzu schabowego z ziemniaczkami i sałatą, faktycznie będzie jadł polskie produkty. Kotlet może pochodzić z duńskiego wieprza, ziemniaki z Cypru, a sałata z Hiszpanii. A co z butelką wódki ze swoją naklejką? To może być pędzona ze starych albańskich dżemów berbelucha, którą zachodni dystrybutor sprzedaje sieci supermarketów. Ktoś tu naprawdę podłożył świnię.

Grzegorz Rudnik

Największe spadki pogłowia odnotowano w regionach słynących z produkcji wieprzowiny: w Wielkopolsce oraz w województwach kujawsko-pomorskim, lubuskim i dolnośląskim.

na rynek Chin i USA. Budżet ponad 28 mln zł. Dotacja z Funduszu Promocji Ziarna Zboż i Przetworów Zbożowych to ponad 116 tys. zł.

* Rok 2023 – „EU Organic Food – Good Choice”, kampania skierowana na rynek Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Budżet ponad 12 mln zł. Dotacja ze wspomnianego funduszu – ponad 767 tys. zł, a z Funduszu Promocji Mięsa Wieprzowego – ponad 560 tys. zł.

Podobnych projektów, na skromniejsze kwoty, stowarzyszenie realizuje znacznie więcej.

Ojczyzna silna wieprzowiną

Wśród beneficjentów wieprzowinowego funduszu nie sposób pominąć organizacji związkowych. Na przykład Związku Zawodowego Rolników Ojczyzna, który w 2023 r. otrzymał wsparcie w kwocie 865 tys. zł na działania o jakże słusznej nazwie – „Wieprzowina wychodzi na zdrowie”. Idąc za ciosem, przedstawił on projekt kolejnej kampanii promocyjno-informacyjnej, „Wieprzowina jest smart”, i dostał na nią ponad 602 tys. zł. Działacze Ojczyzny nie byłiby sobą, gdyby w roku ubiegłym przepuścili tak ważne wydarzenie jak

kreacji i zrealizowanie tego zadania. Termin składania wniosków upływał 2 lutego. Ciekawe, kto wygrał.

To nie wszystkie przykłady. Jeśli pokopimy głębiej, znajdziemy wspomnianą wcześniej „Wieprzowinę na łopatkach” za niemal 1 mln zł czy „Poznaj wyborny smak polskiej wieprzowiny” – za ponad 626 tys. zł.

Żli ludzie, np. niespełnieni w swoich ambicjach lokalni aktywiści chłopscy, doszukują się związków między dotacyjno-promocyjnym biznesem Ojczyzny a postacią jej lidera – Lucjana Cichosza, byłego działacza Polskiego Stronnictwa Ludowego, następnie senatora i posła na Sejm z listy Prawa i Sprawiedliwości. Gdy w 2021 r. Cichosz był prezesem stadniny koni w Janowie Podlaskim, Ojczyźnie przyznano 100 tys. zł na promocję mięsa wieprzowego z ras rodzimych podczas aukcji Pride of Poland! A w roku 2022 dotację i wydarzenie powtórzono. W kwietniu ub.r. prezes Cichosz zrezygnował z posady dyrektora najsłynniejszej polskiej stadniny i został zastępcą burmistrza Krasnegostawu.

W roku 2020 ponad 120 tys. zł dotacji otrzymał nawet Związek Zawodowy Rolnictwa Samoobrona, który za te pieniądze miał promować



Nawiasem mówiąc

Stanisław Filipowicz

Za ciasne buty, za duży kapelusz

Humphrey Bogart zapytany kiedyś o to, jak powstaje jego mistrzowska mina – kamienna twarz bez wyrazu, odpowiedział krótko: „Zakładam po prostu za ciasne buty”. Uczmy się od najlepszych – każdy szanujący się człowiek powinien mieć w domu chociaż jedną parę za ciasnych butów i zakładać je, jeśli mu na czymś naprawdę zależy.

Wyczynowcy – ci, którzy starają się najmocniej – czasami takich butów w ogóle nie zdejmują. Tu jednak powiem coś, co z pewnością nikogo nie zaskoczy: nie każdy jest Humphreym Bogartem. Nawet jeśli myśli, że jest. Męczy się wtedy w za ciasnych butach, a i tak nic mu nie wychodzi.

Występy to piękna rzecz. Któż by tego nie pragnął – przebić ludzkie serca harpunem talentu, obezwładniać je czarem wymowy? Darem jest publiczna obecność wielkiego talentu. Powracając na moment do Bogarta, chciałbym jeszcze zauważyć: był on raczej mało-mówny. Być może zatem na szczycie doskonałości prowadzi milczenie?

Podjmując tę myśl, spróbuję po- czynić kilka uwag na temat pauzy, spoglądając na nią przez pryzmat naszej tradycji narodowej, a więc tradycji męczeństwa. Postawię otóż taką tezę: zamilknięcie może się stać formą moralnej zasługi. Uzasadnienie będzie krótkie: pauza to wyrzeczenie, a kto się wyrzeka, ten czyni ofiarę, staje się męczennikiem. Pomyślmy: ktoś wznosi się na skrzydłach własnej wymowy i nagle milknie. Jaka to musi być udręka, jakie napięcie woli. Podziwiać, tylko podziwiać. A gdybyśmy tak ogłosili konkurs na mistrza pauzy narodowej? Kto miałby największe szanse?

Kładę te wszystkie słowa na papier, ale coraz wyrażniej coś mi szepce do ucha: przecież to kicz, kicz aż do bólu zębów. No tak, kicz to potęga – takie nadeszły czasy. Polityka – od dawna tak myślę – stała się jednym z nurtów popkultury. Kicz „okazuje się naszą codzienną estetyką i moralnością”, że powtórzę słowa Milana Kundery. Wiernym towarzyszem drogi, który „przekłada głupotę komunałów na język piękna i wzruszenia”. Ostatecznie więc także głupota może liczyć na oklaski.

Mamy w tej dziedzinie niemałe osiągnięcia. Nasza es- trada polityczna tętni życiem, strojność i mierność padają sobie w objęcia i szczerzą zęby w uśmiechu. Pospolitość udaje elegancję, megalomania staje na coraz wyższych obcasach. No i jeszcze efekty specjalne – były już tek- turowe czeaki, parówka jako model probabilistyczny, ale wszelkie pułapy śmieszności przebiły bałwochwalcze

tańce prawicowych polityków wykonywane w toruńskiej świątyni hipokryzji; istna pantomima ohydy! Tu na mar- ginesie zauważę: biczem bożym, prawdziwym ratunkiem są dziś memy. Kultura memów rozkwita, przynosi nam ulgę i pocieszenie. Memy to broń potężna – uderzają ostrzem ironii. Ich twórcy dopadną każdego trefnisia, który zakłada za duży kapelusz, ustrzelą każdego pozera, który w tekturowej koronie wspina się na podium. Pro- ponuję: pomniki, które skaczą nam do gardła, zastąpmy obeliskami ku czci memotwórców.

Najbardziej dokucza nam kicz patriotyczny. Pamiętamy ławeczki patriotyczne? Niektórzy – takie można odnieść wrażenie – przypięli się do nich tańcuchami i ciągną swo- ją pieśń pomylenia. Kto jej wysłucha? Dobrym aktorem jest ponoć ten, któremu się wierzy. A więc jednak nie ten, który zużyje najwięcej szminki, pudru i brylantyny. Stanąć w harcerskim mundurku na tle wojskowych pojazdów!

Oto heroiczny czyn aktorski – bohater wychodzi z puderniczki.

Strasza jest ta egzaltacja, te tan- detne popisy, te przejawskrawienia. To udawanie wielkiej sztuki, która służy wielkiej sprawie (Umberto Eco

dał najkrótszą definicję kiczowatości: „Kicz udaje sztukę”). Te wszystkie sceny powagi, dumy i zatroskania. Szminka kapie na podłogę, puder krzyczy wniebogło- sy. Jak wysoko trzeba unieść podbródek, by stać się prawdziwym patriotą?

Z rzeczy, które mnie najbardziej wzruszyły w tygo- dniach ostatnich, wymienię spektakl w Pałacu Prezydenc- kim, zapowiadający powrót Męczenników. Ach, te żony, wierne żony! Dlaczego na Boga w dniu, kiedy przybyły wysłuchać z ust Pocieszyciela dobrej nowiny, wystąpiły w żałobnej czerni? Co chciały pokazać? Co je tak przy- gnębiło – myśl o powrocie najdroższych do domu?

Kto na to wpadł, by radość pokropić żałobą? Bo w końcu w głębi czał się śmiech – pamiętamy przecież filuterne oczko puszczone przez jedną z żałobnic. Patos tragedii w dniu wybawienia. Ho, ho – talenty nadwornych inscenizatorów wzbity się w przestworza. Ale tak na se- rio – jak można stworzyć taką ponurą groteskę, dać taki popis absurdu w martyrologicznej poświęcenie? Przeciaga- nie struny – rzępolenie straszliwe na nucie męczeństwa i wielkiej sprawy – zemściło się. Na scenie rozsnuwał się dym kadzidlany, kotłował się dzwon pogrzebowy – po- wstała bardzo udana karykatura powagi. W sumie to tak, jakby ktoś na burgerze drwala z podwójnym bekonem położył jeszcze kostkę masła.

Mesjasz Trump i królestwo boże

Chrześcijańscy nacjonaści idą po wszystko

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Dla ruchu chrześcijańskich nacjonalistów Donald Trump jest czotgiem, który dowiezie ich do Białego Domu, by mogli w końcu wyzwolić Amerykę z rąk szatana. Myli się ten, kto myśli, że ich plany utworzenia rządu podporządkowanego dyktatom z Biblii to tylko przesadzona retoryka.

16 lutego br. Sąd Najwyższy w Alabamie zawyrokował, że tworzenie podczas procedury in vitro zapasowych embrionów, które po udanej ciąży i narodzinach są niszczone, to morderstwo dzieci i podlega adekwatnej karze. Przewodniczący składu, sędzia Tom Parker, który dwa lata temu wstawił się zaangażowaniem w prace nad obaleniem ustawy Roe v. Wade (prawo do aborcji), uzasadnił decyzję, powołując się na swoją wiarę i prawo boże, wedle którego człowiek zaczyna istnienie w chwili poczęcia i już w tym momencie nabiera pełni praw. Środowisko lekarskie w stanie odpowiedziało natychmiastowym wstrzymaniem usług medycznych dla par starających się o dziecko metodą zapłodnienia pozaustrojowego. Dopiero specjalna ustawa przegłosowana w legislaturze stanowej kilkanaście dni później wzięła medycynę w obronę i zezwoliła klinikom IVF na dalszą działalność. Choć tylko przez rok.

Człowiek, który ubiega się o fotel prezydenta i ma na niego coraz większe szanse, nie poparł decyzji sędziego Parkera, ale zapewnia wyborców, że on też jako osoba głęboko wierząca stawia prawa boskie nad ludzkimi i z chwilą przeprowadzki do Białego Domu rozpocznie w Ameryce rewolucję, jakiej nikt nie widział. Tym człowiekiem jest Donald Trump, kilkukrotny rozwodnik, cudzołożnik, złodziej, skazaniec. I aborcyjny

akrobata. Jeszcze za prezydentury Busha juniora był przecież zarejestrowanym demokratą i udzielał poparcia organizacjom pro-choice.

Bóg stworzył Trumpa

Przymierze Trumpa z religijną prawicą, szczególnie ewangelikami, nie jest niczym nowym. Już w pierwszej kampanii prezydenckiej odegrało kluczową rolę, bo właśnie ten elektorat wyniósł go do zwycięstwa, oddając aż czwartą część wszystkich głosów. Warto podkreślić, że szczególne miejsce Trump zajął w sercach i umysłach chrześcijańskich hardkorowców, nazywanych *born again Christians* (na powrót narodzeni chrześcijanie). Stanowili oni aż 80% religijnego elektoratu, który go poparł. I nie był

temu jeden z fanklubów wypuścił do sieci film „God made Trump” (Bóg stworzył Trumpa), w którym nazywa się Trumpa „pasterzem ludzkości” i przekonuje, że wskazany i namaszczony przez Boga jest on częścią boskiego planu zbawienia dla Ameryki i całej planety.

Religijna Ameryka stworzyła koniec świata

Czy religijna Ameryka oszalała? Możliwe. Ale to tylko część prawdy. Druga część jest bowiem taka, że to szaleństwo misternie skalkulowane i zaplanowane. A chodzi w nim już nie o samo wprowadzenie do Białego Domu konserwatysty, lecz o przejęcie przez „apostołów bożych” całościowej władzy w kraju.

Religijny elektorat wydaje się Trumpem oczarowany i zaślepiiony nawet bardziej niż osiem lat temu.

Wielbi go jako nie tylko polityka, ale wręcz wystannika Boga.

to przypadek. Cztery miesiące przed wyborami gruchnęła bowiem po Ameryce wieść – przekazana przez samego Jamesa Dobsona, religijnego celebrytę i założyciela konserwatywnego think tanku Focus on The Family – że po specjalnym spotkaniu z tysiącem przedstawicieli Kościołów i organizacji religijnych Trump sam „na nowo przyjął słowo boże i oddał się pod opiekę Chrystusa”, czyli formalnie stał się „na powrót narodzonym chrześcijaninem”.

Jest jednak w kampanijnym układaniu się Trumpa z ewangelikami coś, czego wcześniej nie było. Religijny elektorat wydaje się nim oczarowany i zaślepiiony nawet bardziej niż osiem lat temu. Wielbi go obecnie jako nie tylko polityka, ale wręcz mesjasza, wystannika Boga, kogoś o nadprzyrodzonych właściwościach. Miesiąc

Żeby zrozumieć, z czym mamy do czynienia, musimy się cofnąć do burzliwych lat 60. To w amerykańskiej historii moment wielkiego przełomu, czas narodzin nowego społeczeństwa. Pokolenie dzieci kwiatów wprowadza do obyczajowości wolną miłość i wolną kobietę, która zamiast szukać męża, szuka własnej przyjemności, chce wykształcenia i pracy zawodowej. Kolorowi dostają równe prawa obywatelskie i wyborcze, a reforma imigracyjna, dotąd faworyzująca białych Europejczyków, otwiera drzwi przed mieszkańcami innych kontynentów, w wyniku czego do USA zaczynają napływać wyznawcy wielu niechrześcijańskich religii. Liderów chrześcijańskich Kościołów i organizacji ogarnia panika. Gdy na początku lat 80. do walki o prezydenturę z niepopularnym na skutek kryzysu



Zwolennicy Donalda Trumpa.
Miami, 13 czerwca 2023 r.

ekonomicznego Jimmym Carterem staje Ronald Reagan, robi z tych niepokojów użytek polityczny i przedstawia się wyborcom jako obrońca tradycyjnych, chrześcijańskich wartości. Trafia w dziesiątkę. Ewangelicy dają mu zwycięstwo w wyborach, on w zamian robi im miejsce w Waszyngtonie.

Nie powstrzymuje to oczywiście społeczeństwa przed dalszym różnicowaniem się demograficznie, etnicznie i religijnie. Prawica odpowiada na to radykalizacją poglądów i postaw, a jej religijny odłam nie stanowi wyjątku. Okrzepnie w formie religijnych nacjonalistów, którym zaczyna chodzić po głowie już nie tylko walka o formalny prymat religii chrześcijańskiej w życiu publicznym, lecz w ogóle sprawowanie władzy. Ani Reagan, ani Bush junior nie spełnili jednak ich oczekiwań. Reagan nie przeformuje obiecywanej im konstytucyjnej poprawki o obowiązkowej modlitwie w szkole i nie doprowadzi do odwołania prawa do aborcji. Bush junior zasłonił się wolą Boga, tłumacząc swoją decyzję o inwazji na Irak, tymczasem religijni nacjonaliści,

przeciwni wydatkom na politykę zagraniczną, inwazję tę potępiają.

Obama podpisujący ustawę o związkach partnerskich, a przy tym lider, pod którego rządami rekordowo spadnie religijność w narodzie (11% w latach 2010-2020), podziela na religijną prawicę jak płachta na byka. Stanie się symbolem ostatecznego upadku Ameryki i sygnałem, że nie można dłużej czekać. Gdy więc na scenę polityczną wkroczy Trump z obietnicami uczynienia Ameryki na powrót wielką (*Make America Great Again*), chrześcijańscy nacjonaliści zwrócą dla siebie szansę. Tym większą, że Trump jest chętny do współpracy. Choć przedstawia się jako outsider i antysystemowiec, jak tlen potrzebuje systemowego wsparcia. Tylko ono przekona Amerykę, że jego start w wyborach to sprawa poważna. Krótko mówiąc, stanie się dla religijnej prawicy idealnym człowiekiem, którego poszukiwała.

– To, czego im potrzeba, to *bully*, ktoś, kto usadzi wszystkich, którzy niszczą państwo i spychają je na dno piekła. Nie ktoś, kto uczęszcza na niedzielą mszę i potrafi się ładnie

wystawić, ale taki, który będzie w stanie zburzyć, by zbudować od nowa – wyjaśnia Brad Onishi, autor książki „Preparing for War: The Extremist History of White Christian Nationalism – and What Comes Next” (Przygotowania do wojny: Ekstremistyczna historia białego chrześcijańskiego nacjonalizmu - i co dalej), a także autor popularnego podcastu „Straight White American Jesus” (Biały, heteroseksualny amerykański Jezus). – Donald Trump z chodzeniem do kościoła nie przesadza. Kilkakrotnie żenił się i rozwodził. Co jednak obiecuje, i to w stylu, w jakim jeszcze nikt tego nie robił? Że ukarze tych, którzy prowadzą kraj w niewłaściwym kierunku. I dlatego dzisiaj, osiem lat po pierwszej kampanii Trumpa, religijna baza jest wściekła i bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowana, by go uczynić swoim barbarzyńskim królem.

Projekt 2025 stworzy nowy ład

Co się działo przez cztery lata prezydentury Trumpa, chyba nikomu nie trzeba przypominać. Nawet jeśli Trump miałby jutro zniknąć z polityki,

▶ i tak zaklepał sobie w niej miejsce jako władca chaosu, twórca najbardziej konserwatywnego sądownictwa w historii USA, a przede wszystkim prowokator, który formalnie wprowadził do życia publicznego ugrupowania ekstremalne związane nie tylko z fanatyzmem religijnym, ale także z rasizmem i suprematyzmem. I oczywiście jako pierwszy w historii USA kandydat na prezydenta, który ubiega się o to stanowisko, będąc oskarżonym o konspirowanie przeciwko własnemu krajowi (w związku ze szturmem na Kapitol 6 stycznia 2021 r.).

Myli się jednak ten, kto myśli, że kolejne rządy Trumpa będą podobne. Nie będą, bo przez ostatnie trzy lata chrześcijańscy nacjonaliści nie próżnowali i ich relacje z Trumpem też się

odpowiedź na pokojowe demonstracje, opresja kobiet, mniejszości, biedaków i grup nieuprzywilejowanych. Mówiąc wprost, to plan nie tylko konserwatywny, to plan ekstremalny. (...) Według chrześcijańskich nacjonalistów Biblia zawiera niepodważalne Prawo Boskie, musi więc być podstawą dla wszystkich praw ludzkich. Nie pójdą na żaden kompromis, bo wierzą, że Bóg od nich wymaga, by przestrzegali jego praw literalnie, co do joty”.

W praktyce oznacza to na przykład całkowity zakaz aborcji i powrót do „naturalnego”, czyli patriarchalnego modelu rodziny ze wszystkimi jego konsekwencjami dla kobiety, prześladowania osób i społeczności nieheteronormatywnych,

w Departamencie Sprawiedliwości, Pentagonie i FBI. Matt Dallek z Uniwersytetu George’a Washingtona, politolog i autor książek na temat populizmu oraz kryzysu amerykańskiej demokracji w ostatnich latach, tak to wyjaśnia: – Z dnia na dzień stracimy kadrę, która latami, a czasem i przez dekady pomagała rządowi federalnemu funkcjonować niezależnie od kaprysów prezydenta. Odkąd Ameryka istnieje, polegamy na takich ludziach, by nie tylko wdrażali rządowe i prezydenckie dyspozycje, ale też stali na straży prawa obligowani do tego przez złożoną państwu przysięgę.

Praca urzędników federalnych jest częścią systemu nazywanego w Ameryce *checks and balances* – mechanizmu kontroli i równowagi, stworzonego po to, by chronić kraj przed korupcją. Pod koniec pierwszej prezydentury, kilkanaście dni przed wyborami w 2020 r., Trump wydał zatrzważający dekret o nazwie Schedule F. Da-

Program chrześcijańskich nacjonalistów zakłada całkowity zakaz aborcji, powrót do patriarchalnego modelu rodziny i wprowadzenie religii chrześcijańskiej do wszystkich sfer życia publicznego.

zmieniły. To nie oni siedzą mu dzisiaj w kieszeni, lecz on im. Jego program wyborczy o nazwie „Agenda 47” (jeśli wygra, zostanie 47. prezydentem USA) jest niemal lustrzanym odbiciem „Projektu 2025” – szczegółowego i dogranego w najmniejszych detalach programu przejęcia i sprawowania władzy, nad którym pracowała wierchuszka chrześcijańsko-nacjonalistycznej elity USA skupiona wokół konserwatywnego think tanku The Heritage Foundation. Pisarka Andra Watkins, córka fundamentalistów religijnych obnażająca w swojej publicystyce najciemniejsze strony tego kulturowego zaścianka Ameryki, nazwała ów projekt „1000-stronicowym chrześci-faszystowskim elaboratem”, instruującym, w jaki sposób ma się dokonać „zamiana demokracji na chrześci-faszystowski reżim”.

W artykule „»Projekt 2025« to dużo więcej niż podręcznik dla trumpistów, to manifest chrześcijańskich nacjonalistów” Watkins wyjaśnia: „Główne media wreszcie zaczęły demaskować radykalną wizję przedstawioną w »Projekcie 2025«: plan demolki rządu federalnego, polowanie na imigrantów, by zamykać ich w obozach pracy i deportować, zbrojna

obowiązkowe wprowadzenie religii chrześcijańskiej do wszystkich sfer życia publicznego, a także usunięcie ze stanowisk publicznych osób niewierzących. „Tu jest odpowiedź, dlaczego [chrześcijańscy nacjonaliści] kompletnie lekceważą wyniki referendów, sondaży i preferencje społeczne, np. referendum w sprawie aborcji w Ohio. Dlaczego ignorują decyzje sądów i będą kontestować wyniki wyborów, które uznają za niezgodne z wolą bożą. Uważają, że Biblia daje im prawo walczyć z każdym i o wszystko, jeśli koreluje to z ich interpretacją prawa bożego. Już teraz rządzą w ten sposób w wielu czerwonych stanach i tak będą rządzić, jeśli wygrają w listopadzie”, przestrzega Andra Watkins.

Nowy ład stworzy teokrację

Czy pisarka przesadza? Bynajmniej. „Projekt 2025” zawiera konkretne dyrektywy na pierwsze pół roku po objęciu przez Trumpa prezydentury. Jego częścią jest lista co najmniej 50 tys. osób, które już czekają, by przejąć stanowiska federalne we wszystkich najważniejszych instytucjach publicznych w kraju, w tym

wał w nim sobie jako prezydentowi nieograniczone prawo wyrzucania z pracy urzędników federalnych zatrudnionych na stanowiskach decydentów, a jednocześnie pozbawiał ich immunitetu. Było to posunięcie mające ułatwić mu sprawowanie władzy autorytarnej, bezkarne pozbywanie się krytyków i oponentów. Biden odwołał ów dekret po objęciu prezydentury, lecz jego przywrócenie figuruje w „Projekcie 2025”.

Prof. Dallek nazywa Schedule F „nożem czekającym, by wbić się w samo serce amerykańskiej demokracji”. – To istniejące, choć nieidealne, mechanizmy kontroli i równowagi pozwoliły urzędnikom federalnym powstrzymać Wielkie Kłamstwo i nie dopuścić do opóźnienia zatwierdzenia głosów elektorów, a tym samym do sabotażu wyborów przez Trumpa. Znosi się na to, że te i tak atroficzne systemy zostaną jeszcze bardziej osłabione – przestrzega.

Chyba nie trzeba dodawać, że większość stanowisk w Białym Domu również przewidziana jest dla ludzi z kręgów ekstremalnej religijnej prawicy. Niektórzy po prostu na nie wrócą. Tak jak William Wolfe, który w pierwszej administracji

Trumpa był zastępcą jednego z wicesekretarzy obrony, a obecnie jest jednym z najbardziej prominentnych chrześcijańskich nacjonalistów, zaangażowanym w ruch na rzecz całkowitego zakazu aborcji, surogacji, edukacji seksualnej w szkołach oraz rozwodów. Albo Russ Vought – wcześniej szef prezydenckiego Biura Budżetu i Zarządzania, teraz szykujący się na szefa całego Biura Prezydenckiego Trumpa. Vought jest założycielem konserwatywnego think tanku Center for Renewing America, uczestniczył w tworzeniu „Projektu 2025”, a ze szczególną zaciekleścią atakuje środowiska LGBTQ+. Kto wie, czy do gabinetu Trumpa nie wejdzie sam Roger Stone, republikański strateg i lobbysta, przyjaciel Trumpa, ułaskawiony przez niego za krzywoprzysięstwo przed Kongresem, a od 2019 r. żarliwy „narodzony na nowo chrześcijanin”, który w każdym przemówieniu podkreśla: „Jestem żołnierzem w armii Boga”.

Kończę ten tekst we wtorek 5 marca, to dla kampanii prezydenckiej tzw. superwtorek, kiedy prawybor

odbywają się jednocześnie w 16 stanach i jednym terytorium USA (American Samoa). I sondaże, i pierwsze raporty spływające z komisji wyborczych wskazują, że republikańska rywalka Trumpa Nikki Haley zakończy na tym wyścig. I tak należą się jej wielkie brawa za wytrwałość i odwagę. W starciu z bykiem zdystansowała wszystkich partyjnych kolegów, łącznie z Ronem DeSantisem, jedną z najjaśniejszych gwiazd Partii Republikańskiej, gubernatorem Florydy, któremu jeszcze dwa miesiące temu kibicowała nawet stacja Fox News.

Potraktujcie to poważnie

Choć zabrzmiało to cynicznie, może cała nadzieja w tym, że Trump jest nieprzewidywalny i po ewentualnej wygranej zagra własnymi kartami? Kilku rzeczy przecież nie znosi i jest w tym konsekwentny: kontroli, wykonywania cudzych poleceń oraz poczucia, że to nie on jest głównodowodzącym. Może. Problem jednak w tym, że wsłuchując się w jego język, ociekający biblijną retoryką

i coraz bardziej przesiąknięty apokaliptycznym wizjonerstwem, zaczynamy się zastanawiać, czy po drodze Trump nie stał się autentycznym konwertytą. Już w 2020 r. politolog Ceri Hughes, który przeanalizował prawie 450 publicznych wystąpień prezydentów z ostatniego stulecia, doniósł, że Trump używa najbardziej religijnego języka, w dodatku z upływem czasu język ten dalej się biblizuje.

Przemawiając pod koniec lutego br. podczas konwencji mediów chrześcijańskich w Nashville w stanie Tennessee, Trump zadeklarował: „Gdzie tylko mogą, chcą zedrzeć krzyże i zastąpić je flagami społecznej sprawiedliwości. A ja wam przyrzekam: za moich rządów nikt nie tknie krzyża Chrystusowego. Nikt!”. A myśleliście, że już wszystko o Trumpie wiecie... Jeśli jest konwertytą i szczerze wierzy, że również nowym mesjaszem, nie mamy podstaw nie wierzyć, że pod jego kolejnymi rządami Ameryka nie zacznie się zmieniać w królestwo boże na ziemi. Tylko że będzie to raczej niezłe piekło.

Eliza Sarnacka-Mahoney

dkms.pl

Zrób to na 1,5%

Pomóż w stu procentach walczyć z nowotworami krwi!

1,5% podatku. Tyle wystarczy, aby wspierać Pacjentów chorych na nowotwory krwi.

Wpisz w formularzu PIT numer **KRS 0000 318 602** lub pobierz darmowy program do rozliczeń na **dkms.pl/1.5procent**

Otrzymane fundusze przeznaczymy na wsparcie Pacjentów hematologicznych na każdym etapie leczenia oraz sfinansowanie specjalistycznego sprzętu dla wielu szpitali i klinik hematologicznych w Polsce.

Wspierając nas, przyczyniasz się do ratowania życia!

Rozlicz PIT na dkms.pl/1.5procent

Fundacja **DKMS**
ul. Altowa 6/9, 02-386 Warszawa
T +48 22 882 94 36 • F +48 22 882 94 02
darowizny@dkms.pl • dkms.pl

Mateusz Mazzini

Jeszcze kilka dekad temu były nie tylko symbolem prosperity, ale i powodem dumy narodowej, czegoś na kształt zdrowego gospodarczego nacjonalizmu. Występowały w kultowych produkcjach filmowych, śpiewano o nich piosenki, były szczytami osiągnięć technicznych i estetycznych. Europejskie marki samochodów, bo o nich mowa, przez cały XX w. i kilka lat następnego stulecia stanowiły integralną część tutejszej tożsamości. Oczywiście, że Niemcy rywalizowali z Francuzami, a odpowiedzialni za Fiata Włosi patrzyli na nich z pogardą, tak samo Brytyjczycy ze swoim Roverem. Wszystkich ich łączyło jednak przekonanie, że to, co najlepsze, najbardziej stylowe, wzorcz wszelakich norm w motoryzacji – produkowane jest właśnie na Starym Kontynencie.

Z Chinami nie ma szans

Zarówno fani motoryzacji, jak i zwykli użytkownicy czterech kółek rozróżniali zasadniczo trzy grupy pojazdów: europejskie „stare firmy”, amerykańskie krążowniki szos produkowane przez Forda, General Motors lub Chryslera oraz auta

Europa pozostaje daleko w tyle za Azją i USA w produkcji i wprowadzaniu na rynek samochodów elektrycznych.

azjatyckie. W tej ostatniej kategorii umieszczano przede wszystkim produkcje japońskie i koreańskie. Chiny, choć już na przełomie wieków zostały przyjęte do Światowej Organizacji Handlu (WTO) i zyskały miano „fabryki świata”, rynku motoryzacyjnego nie atakowały, przynajmniej nie od razu. Tu przyzwyczajenia konsumentów odgrywały bardzo ważną rolę, a produkty made in China kojarzyły się raczej z tanimi podróbkami, mało wytrzymałym sprzętem elektronicznym czy po prostu z kradzieżą zachodniej własności intelektualnej. Jeszcze dwie dekady temu mało kto poważnie liczył się z możliwością

JAZDA W NIEZNANE

Europejski przemysł motoryzacyjny staje się przeżytkiem. Co zajmie jego miejsce?

zalanania europejskich dróg przez pojazdy z Państwa Środka.

Dzisiaj te opowieści brzmią jak mało wyraźne wspomnienia z dalekiej przeszłości. Europa, z wielu przyczyn strukturalnych i gospodarczych, pozostaje daleko w tyle za Azją i USA w produkcji i wprowadzaniu na rynek samochodów elektrycznych. Nie tylko przez brak innowacyjnego giganta porównywalnego z Teslą, ale też z powodu niedociągnięć infrastrukturalnych, np. niewystarczającej sieci ładowarek. Europejscy producenci bardzo długo w elektryki po prostu nie wierzyli. Obudzili się zbyt późno, także pod naciskiem Unii Europejskiej wprowadzającej Zielony Ład, i w obliczu problemów z łańcuchem dostaw wynikających z pandemii (oraz z sankcji nałożonych na Rosję), jak również coraz ostrzejszej rywalizacji z producentami z Chin, już teraz wiodącymi prym w segmencie aut elektrycznych. Pytanie, czy

i Stanów Zjednoczonych, Europa nie ma najmniejszych szans na skuteczną rywalizację.

Znacznie więcej widać po rozłożeniu tych danych na czynniki pierwsze. Otóż spośród niemal 24 mln pojazdów wyprodukowanych w Chinach w 2022 r. aż 5,47 mln było pojazdami elektrycznymi. To wzrost o ponad 85% w perspektywie dwuletniej. Europa w tym samym roku wypuściła na rynek nieco mniej niż połowę (2,6 mln) takich pojazdów. Chińczycy produkują dzisiaj 60% wszystkich elektryków na świecie, w tym roku liczba aut może sięgnąć 9-10 mln. W dodatku, jak wylicza Gary Hufbauer w portalu East Asia Forum, chińscy producenci oferują aż 90 różnych modeli pojazdów z napędem elektrycznym lub hybrydowym. Ceny zaczynają się już od 20 tys. euro, średnio wynoszą 32 tys., podczas gdy na rynku europejskim przeciętna cena samochodu elektrycznego wynosi 56 tys. euro. Co prawda, Renault zapowiada, że w 2025 r. przedstawi model tańszy, na poziomie zbliżonym do chińskiego minimum (równowartość 20 tys. euro), ale nawet gdyby to się udało, byłoby kroplą w morzu potrzeb.

Starcie z Chińczykami wydaje się już przegrane, lecz dominacja Pekinu jest tylko jednym z jeźdźców Apokalipsy. Drugim jest sama rewolucja technologiczna, która zmienia cały sposób funkcjonowania rynku motoryzacyjnego. Samochody elektryczne, bez względu na to, gdzie są wytwarzane, stanowią wyzwanie dla producentów przede wszystkim dlatego, że ich produkcja wygląda inaczej. Składają się ze znacznie mniejszej liczby elementów, a te najbardziej kluczowe, czyli baterie, budować trzeba w ścisłej współpracy z bardzo konkretnymi rządami, które nacjonalizują złoża kolejnych metali

ta pobudka nie nastąpiła za późno. A jeśli tak, kto najmocniej odczuje konsekwencje tego stanu rzeczy.

W liczbach bezwzględnych nie ma nawet co porównywać Chin nie tylko z Europą, ale i z resztą świata. Według danych portalu Statista produkcja samochodów w Państwie Środka w 2022 r. była prawie czterokrotnie wyższa niż w Japonii, ponad pięć razy większa niż w Indiach i sześć razy większa niż w Niemczech. To statystyki tyleż imponujące, co zaciemniające obraz, bo przy tak ogromnym rynku krajowym, wspartym eksportem do państw ościennych, a teraz także do Europy



Chińska fabryka samochodów w Tianjin.

ziem rzadkich. Już dawno przestało być możliwe produkowanie samochodu w jednej fabryce, bez względu na to, czy znajduje się ona w Turynie, w Gliwicach czy na Filipinach. To teraz proces globalny, bardzo upolityczniony, w którym biorą udział nowi gracze. Co oznacza także, że dla starych zaraz zabraknie miejsca.

Rosnące koszty

Kluczowy w produkcji samochodów elektrycznych jest lit – to akurat wiedza dość powszechna. Trzej najwięksi producenci tego metalu to Chiny, Australia i Chile, co już pokazuje, w jakim położeniu względem azjatyckiego giganta znajduje się Europa. Pekin ma pod nosem własne złoża, poza tym niespecjalnie się przejmuje ekologicznymi kosztami wydobycia, w związku z czym tamtejsi producenci mogą się rozwijać bez większych barier strukturalnych.

Stary Kontynent na taki luksus nie może liczyć. W Unii Europejskiej zaledwie jedno z 27 państw członkowskich, Portugalia, ma w tej chwili odpowiednie zezwolenia i technologię wydobycia oraz przetwarzania litu. Największe złoża znajdują się

w Czechach, ale tam pozyskiwanie tego cennego metalu zacznie się najwcześniej w 2026 r. Portugalski lit to jednak okruszki wobec europejskich potrzeb, nie tylko w sektorze motoryzacyjnym, co zresztą ma odzwierciedlenie w unijnych ambicjach. Bruksela zakłada, że do 2030 r. z lokalnej produkcji na terenie Wspólnoty pochodzić będzie 10% wykorzystywanego tu litu. W tej chwili odsetek ten nie sięga 1%. Innymi słowy, nawet przy ogromnej zmianie na lepsze 90% zapotrzebowania i tak trzeba będzie pokrywać importem spoza Europy.

Dobrym partnerem mogłyby być kraje latynoamerykańskie, ale Unia Europejska wciąż nie jest w stanie przedstawić im atrakcyjnej oferty handlowej. Doskonałym przykładem jest tu umowa handlowa pomiędzy Wspólnotą a Mercosurem, blokiem gospodarczym Brazylii, Urugwaju, Paragwaju i Argentyny. Ten ostatni kraj ma zasoby litu szacowane na 19,3 mln ton, czyli 22% wszystkich zidentyfikowanych dotychczas złóż na planecie. Tymczasem Unia negocjuje traktat z Mercosurem od 1999 r. Prace nad nim teoretycznie zakończono w 2019 r., ale wciąż nie

został ratyfikowany ani przez Parlament Europejski, ani przez żadne państwo członkowskie. Jeśli do Argentyny dodać Boliwii i Chile, otrzyma się trójkąt z 60% globalnych złóż, lecz Unia z żadnym z tych krajów nie współpracuje handlowo w sposób zinstytucjonalizowany. Dodatkowo prezydent Chile Gabriel Boric podjął w ubiegłym roku decyzję o nacjonalizacji krajowego przemysłu litowego. Już obowiązujących prywatnych kontraktów nie wygasił, ale nowe trzeba będzie zawierać z państwem chilijskim jako stroną takiej umowy. Oznacza to, że europejscy producenci samochodów elektrycznych mają teraz przed sobą kolejnego gracza, którego żądania będą musieli spełnić, a nacjonalizacja przełoży się zapewne na wzrost cen na światowych rynkach. Bez parasola w postaci unijnej umowy handlowej mogą stać na straconej pozycji, zwłaszcza wobec bardzo mocno już zakorzenionych w Chile Chińczyków.

Europejscy producenci są więc zdani na łaskę zamorskich decydentów, także tych politycznych. Dawno jednak przestali mówić jednym głosem, o ile w ogóle kiedyś to robili. Zielona i technologiczna rewolucja ▶

► wymusza kompletne przeprojektowanie całego sektora, z kontraktami na lit czy bez nich. Według zapowiedzi ACEA, Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów, sektor zamierza przeznaczyć 250 mld euro na przetransferowanie się na ekologiczną produkcję i odejście od silników spalinowych. Będzie to oznaczać nie tylko wydatki i zmiany poddostawców, ale również utratę kontraktów przez wiele firm produkujących części dla większych koncernów, a takie są rozsiadane po całej Europie. W samych Niemczech producenci i ich podwykonawcy zatrudniają 1,8 mln osób. W skali kontynentu to 2,5 mln osób bezpośrednio pracujących przy produkcji aut i kolejne 10 mln w powiązanych biznesach. Wszystko, od foteli i obić po komputery pokładowe, ale też badania i rozwój, to sieć firm rozciągająca się od Portugalii do Polski i od Szwecji do Grecji.

Według wyliczeń Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR) koszty produkcji samochodów elektrycznych i hybrydowych w Europie są 20-30% wyższe niż w Chinach. Naturalnym krokiem będzie zatem dalszy outsourcing i przenoszenie fabryk do tańszych krajów, nawet mimo ryzyka związanego z możliwą

eskalacją sporu o Tajwan. Eksperci od dyplomacji i geopolityki coraz głośniejszymi mówią o konieczności tzw. deriskingu i decouplingu, czyli zmniejszenia zależności gospodarczej Europy od Chin, ale w praktyce Unia niewiele robi w tym celu.

Brazylia zgłasza chęć

Tymczasem reszta świata nie śpi i mowa tu nie tylko o krajach azjatyckich. Kolejne państwa zgłaszają coraz większe ambicje dołączenia do pierwszej ligi. Tak dzieje się

z masą polityk, które dotyczą ich co najwyżej pośrednio. Zielony Ład, cele niskoemisyjności, Europejski akt w sprawie surowców krytycznych – wszystko to są bardzo rozległe projekty prawne. Większość zawiera cele wyznaczone na rok 2030 lub lata wcześniejsze, ale nie do końca wiadomo, czy przetrwają w obecnej formie. Wiele będzie zależało od czerwcowych wyborów do europarlamentu i od układu sił w nowej Komisji Europejskiej. Producenci aut nie będą mieli jednak łatwo nawet przy bardziej prawicowej,

W UE tylko Portugalia ma odpowiednie zezwolenia i technologię wydobywania i przetwarzania litu.

choćby w przypadku Brazylii, gdzie jedynie w tym roku, jak podaje dziennik „Financial Times”, największe światowe koncerny samochodowe zadeklarowały inwestycje o łącznej wartości 14 mld dol. Ostatnią spółką, która dołączyła do brazylijskiego bumu motoryzacyjnego, jest Stellantis, do którego należą marki Fiata, Peugeot i Jeepa – tu zastrzyk gotówki wyniesie 6 mld dol. Wcześniej rozwój produkcji w Brazylii zadeklarowały Volkswagen, Hyundai, General Motors i Toyota.

W dużej mierze to pokłosie działań prezydenta Luli da Silvy, który stawia na rozwój krajowych zdolności przemysłowych, także poprzez ulgi podatkowe i intensywny lobbings polityczny. Brazylijscy dyplomaci od miesięcy regularnie podróżują do Europy i Azji, sprzedając wizję swojego kraju jako nowego centrum produkcyjnego dla wielu sektorów, w tym motoryzacyjnego. Nawet europejskie marki, niemogące się doпросić wsparcia ani od rządów krajowych, ani od władz w Brukseli, dają się skusić brazylijskiej ofercie. A jeśli dodać do tego fakt, że złoża litu są właściwie tuż za płotem, oferta staje się jeszcze bardziej korzystna.

Europa próbuje nadganiać, ale tutejsi producenci samochodów są w pewnym sensie niewolnikami rozbudowanej unijnej legislacji. Muszą bowiem się rozwijać w zgodzie

czyli niechętniej regulacjom, władzy w Brukseli.

Wydaje się niemal pewne, że czasy dumy narodowej i pionierskiej innowacyjności odchodzą w niepamięć. Masowe redukcje zatrudnienia na rok 2024 zapowiedział już Fiat. Volkswagen w ubiegłym roku powiedział wielu menedżerom, że marka „nie jest już konkurencyjna”, również zapowiadając zwolnienia, które mają przynieść 10 mld euro oszczędności. Podobne nastroje panują w fabrykach, zespołach projektowych czy kadrze zarządzającej innych wielkich producentów, nawet jeśli ich właścicielami są dzisiaj holdingi pozaeuropejskie.

Dla Starego Kontynentu skończył się czas dominacji na drogach. Ostatnim przyczółkiem są jeszcze samochody luksusowe, które jednak trudno uwzględnić w tym równaniu, bo ich sprzedaż jest marginalna. Czkawką odbijają się zaniechania z przeszłości, ale też ciasny gorset prawny i regulacyjny. Z drugiej strony właśnie te regulacje sprawiają, że Unia Europejska jest w większości obszarem, gdzie dominuje praworządność, co przecież biznesowi jest potrzebne jak tlen. Niestety, zarazem nie pozwala specjalnie się rozpędzić, nawet w najszybszym europejskim samochodzie.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Już nawet nie czujemy, jak śmierdzi wojną

Znajomy pisze do mnie, żebym go uspokoił, bo ze wsząd wieje wojną. Nie bardzo potrafię, też to odczuwam. Inny znajomy przypomina rozmowę swojego ojca z lata 1939 r. w Warszawie, kiedy to spotkał na ulicy Witolda Gombrowicza. Wymiana grzeczności kończy się wyznaniem Gombrowicza, że za kilka dni wypływa do Argentyny. „Dlaczego?”, zapytał zdumiony rozmówca. „Jak to dlaczego? Ty gazet nie czytasz czy nie rozumiesz tego, co czytasz?”, odparł Gombrowicz ze zdumieniem.

Unosi się nad nami wojenna chmura nieuchronności, przecucie, że decyzje zapadły, trwają najróżniejsze etapy przygotowawcze. I nie mówię tu nawet o tym, że Komisja Europejska właśnie zaproponowała przedstawienie całej europejskiej gospodarki na tryb wojenny – o czym czytamy w opublikowanym w Brukseli dokumencie o unijnej strategii dla przemysłu obronnego. Rosja już się przestała, fabryki pracują na potrzeby armii (wojny z Ukrainą) na okrągło, całą dobę, na zmiany. USA – odpowiadające za ponad 40% globalnego rynku handlu bronią – na żadne tryby wojenne przedstawiać się nie muszą, są w nich permanentnie.

Trwają wielomiesięczne manewry NATO, lądowe, morskie, nad Polską latają najróżniejsze formacje lotnicze, które nigdy wcześniej na naszym niebie się nie pojawiały. W mediach trwa festiwal osławiania nas z wojną. Opowieści o nowych rodzajach broni brzmią jak ciekawostki ze świata nauki i techniki, a nie przygotowania wojenne. Wydatki na zbrojenia rosną w tempie, jakiego nie widziano w Europie od 80 lat. Wojna na Ukrainie spowszedniała, zesła z czołówek, choć na okrągło czytamy o szczegółach potyczek, a nawet sukcesach armii rosyjskiej. Zachód wyraźnie odpuszcza wsparcie finansowo-sprzętowe, wyjątki nie czynią wiosny bez wojny. Rola diabła i imperium zła jest obsadzona we wszelkich wariantach Putinem. Ale czy wolno zapytać, czy to Putin przed 2022 r. wybudował 12 tajnych baz CIA na terenie Ukrainy? O tym fakcie w ogóle się nie dyskutuje, tym bardziej o jego roli w scenariuszu wojennych działań. Samo podważenie obowiązkowej zero-jedynkowej opowieści o konieczności przygotowań wojennych stygmatyzowane jest natychmiast jako rosyjska propaganda, trollowanie, szpiegostwo, sprzyjanie Putinowi. O tym, dlaczego, kiedy, przez kogo storpedowane zostały próby rozmów pokojowych wokół konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, media nie piszą. Jeszcze by się okazało, że odpowiedź jest zła, nie zgadza się z dominującą wersją.

Języka antywojennego niemal nie słychać, protestów jak na lekarstwo (w Polsce gromadzą najwyżej kilkadziesiąt

osób). Najdurniejsza fraza świata, *si vis pacem, para bellum*, wałkowana jest przez polityków, ekspertów, dziennikarzy i stanowi światowe dziedzictwo ludzkiej bezrozumności. Na co dzień czytamy zatem o niezbędności zbrojeń, przygotowaniu deweloperów do umieszczania w nowych budynkach schronów, o tym, kto może dostać powołanie do wojska, gen. Koziej przekonuje nas, że „sygnalizacja strategiczna jest jednym z kluczowych elementów odstraszania”. Jak zła mantra powraca fraza, że Europa Środkowo-Wschodnia lepiej rozumie straszną, zbrodniczą Rosję, a Zachód jest jak zwykle durny, dzieli włos na czworo, niczego nie rozumie.

„Odległe” ludobójstwo w Gazie, miesiące morderczych bombardowań, śmierć ponad 30 tys. mieszkańców najbardziej zaludnionej enklawy na świecie osławiają nas równocześnie z ideologią niepodważalnej „obrony koniecznej”, z którą krwawa operacja armii izraelskiej nie ma nic wspólnego. Nie rusza nas śmierć kilkunastu tysięcy dzieci, bombardowanie szpitali, strzelanie do ludzi stojących w kolejce po chleb zrzucany z samolotów, bo Izrael nie przepuszcza transportów z pomocą humanitarną, śmierć z głodu i braku wody. Zalew izraelskiej propagandy płynie szerokim, nieustraszanym strumieniem.

Taka sama obojętność dotknie całe społeczności, które znajdują się na terenie teatru działań wojennych. Nie ma niewinnych wojen. Najwyższą cenę zawsze płać cywile, kobiety, dzieci. A konta innych puchną – bo nie ma lepszego interesu od tego wojennego. Ale w kategoriach interesu nie rozmawiamy, bo przecież wiadomo, gdzie „złoto” ma swoją stolicę.

Słowo hipokryzja staje się śmieszne i puste. Opowieść o śmierci Aleksieja Nawalnego i roli w tym Władimira Putina wypełniła czołówki polskich mediów. O Julianie Assange’u, założycielu i redaktorze naczelnym WikiLeaks, umierającym w brytyjskim więzieniu, w którym bez procesu przetrzymywany jest od pięciu lat, a wcześniej przez dziewięć musiał się chronić w ambasadzie Ekwadoru w Londynie – w Polsce (poza PRZEGLĄDEM) cisza absolutna. Grozi mu ekstradycja do USA i żadną miarą ewentualny uczciwy proces. Ujawnił jednak tysiące kompromitujących USA dokumentów.

Wśród wyższej klasy średniej w Warszawie doskonale ma się nowy temat rozmów: dokąd wyjechać, kiedy się zacznie. Nie wiem, czy pojawia się tam Argentyna. A lud zaszczepi się trującą dawką „patriotyzmu” i w jego oparach będziemy ginąć w obronie amerykańskich interesów. Czy nie? ■

Piotr Kimla

NATO bez USA?

To niekoniecznie science fiction

Amerykańska polityka, biorąc rzecz w uproszczeniu, od bardzo dawna oscyluje między dwoma biegunami: internacjonalistycznym i izolacjonistycznym. Druga połowa XX w. oraz wiek obecny przyzwyczaiły nas, że w Ameryce dominuje nurt internacjonalistyczny, którego polityczni orędownicy wzięli udział w zimnej wojnie, wygrali ją, a następnie uczynili z USA hegemonia światowego. Krótki przerwany w ich zwycięskim pochodzie stanowiły – zresztą tylko do pewnego stopnia – rządy Donalda Trumpa. Trzeba jednak zdawać sobie sprawę, że nurt izolacjonistyczny nigdy w Stanach Zjednoczonych nie zniknął. Ma poważnych zwolenników, w tym spod znaku realizmu politycznego. Realistów zaś nie należy lekceważyć, bo formułują argumenty trudne do odparcia. Od dawna wskazują korzyści, jakie Ameryka czerpała – i może czerpać w przyszłości

Izolacjoniści wskazują korzyści, jakie Ameryka może czerpać z koncentrowania się na sobie i ingerowania w politykę światową tylko wtedy, gdy jest to zgodne z interesem USA.

– z koncentrowania się na sobie (dogodne położenie geograficzne bardzo to ułatwia) oraz ingerowania w politykę światową tylko wtedy, gdy jest to absolutnie konieczne i bezdyskusyjnie zgodne z interesem USA. Czy nie w ten sposób Amerykanie przesądziła o wyniku I wojny światowej? Przesądziwszy zaś, powrócili na pozycje izolacjonistyczne, by włączyć się później w II wojnę światową i stać się – obok ZSRR – jej największym zwycięzcą. Rzecz jasna, do ponownej dominacji nurtu izolacjonistycznego może dojść wraz z powtórным zwycięstwem Trumpa. Wiąże się to z niezwykle poważnymi, wielowymiarowymi konsekwencjami dla świata. Ja chcę tu odnieść się do wojskowych konsekwencji dla Europy.

Głośnym echem w europejskim świecie politycznym oraz za Atlantykiem odbiła się rozmowa, którą niedawno (w trakcie kampanijnego spotkania ze zwolennikami w Conway

w Karolinie Południowej) przytoczył Trump. W jego narracji przebiegła ona następująco: przywódca pewnego dużego kraju europejskiego zapytał Trumpa jako ówczesnego prezydenta USA, czy będzie chronił jego kraj przed Rosją, jeśli ów kraj niełoży 2% PKB na armię. Odpowiedź Trumpa: „Nie, nie broniłbym was. A nawet zachęcałbym, żeby [Rosjanie], robili, co im się podoba. Musicie płacić, musicie płacić rachunki”.

Jakkolwiek szokujące mogą się wydać te słowa – potwierdzające luźny stosunek byłego i może przyszłego prezydenta do subtelnej sztuki dyplomacji – nie wyrażają, jak wspominałem na wstępie, poglądu nowego. W amerykańskich izolacjonistycznych

kęgach politycznych od dawna panuje przekonanie, że Europa, zarówno pod względem demograficznym, jak i ekonomicznym, to kontynent w pełni zdolny do wystawienia stosownej armii ze stosownym uzbrojeniem, mogącej odstraszać potencjalnych agresorów. Nie ma przy tym znaczenia, czy armia ta to de facto skoordynowane siły zbrojne poszczególnych państw, czy twór bardziej ujednolicony. Przekonaniu amerykańskich izolacjonistów o dostatecznym potencjale obronnym Europy towarzyszy też przeświadczenie, że nieprzygotowanie militarne Europejczyków do obrony samych siebie i bazowanie na sile militarnej Ameryki jest tak naprawdę jazdą na gapę. Do niedawna pozwalało to Europie na świetny rozwój gospodarczy bez ponoszenia znaczących wydatków wojskowych. Co istotne, takiego oglądu sprawy można się doszukać już w słowach generała i republikańskiego prezydenta

Dwighta Eisenhowera: „Nie możemy być współczesnym Rzymem, strzegącym odległych granic przy pomocy naszych legionów, już tylko z tego powodu, że nie są to nasze granice. To, co musimy zrobić, to pomóc tym ludziom (Europejczykom – przyp. PK.) odzyskać pewność siebie i stanąć na własnych wojskowych nogach”.

Przekonanie, że Europa winna wziąć za siebie odpowiedzialność pod względem militarnym, wyrażał słynny dyplomata realista George F. Kennan, autor głośnego „Długiego telegramu”. Warto także pamiętać, że realistycznie myślące kręgi intelektualno-polityczne w USA były nastawione krytycznie do rozszerzania NATO. Skrajnie krytyczne były zaś wobec planów przyjęcia do NATO Ukrainy i Gruzji, co, jak wiadomo, zostało zapowiedziane podczas szczytu Sojuszu w Bukareszcie w 2008 r. Fiona Hill – specjalizująca się w sprawach Rosji i Euroazji oficer wywiadu za czasów Busha juniora oraz Baracka Obamy, a podczas prezydentury Trumpa członkini Rady Bezpieczeństwa Narodowego – ostrzegała 16 lat temu George’a W. Busha, że w oczach Władimira Putina kroki zbliżające Ukrainę i Gruzję do NATO będą uchodzić za prowokacyjne i prawdopodobnie wywołają wyprzedzającą akcję wojskową Rosji. „Ostatecznie – powiada Hill – nasze ostrzeżenia nie zostały wzięte pod uwagę”. Skutek, jak pamiętamy, był natychmiastowy. Cztery miesiące po wspomnianym szczycie Rosja najechała Gruzję.

Dziś małe kraje, o bardzo ograniczonym potencjale militarnym, które w Sojuszu się znalazły, stają się we wspomnianych kęgach izolacjonistycznych obiektem otwartej krytyki z uwagi na nikłość ich sił i trudności związane z ich obroną. Szczególnie gdy próbują definiować cele NATO, nie mając najmniejszych zdolności do ich realizacji. Dotyczy to np. krajów bałtyckich, których obrona jest

niemalże kwadraturą koła, jako że lądowe połączenie z resztą terytorium NATO mają jedynie poprzez tzw. przesmyk suwalski (możliwości ich obrony zwiększyły się po przyjęciu Szwecji do NATO, bowiem Bałtyk będzie teraz w zasadzie morzem wewnętrznym Sojuszu). Po inwazji Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. z urzędniczych kręgów krajów bałtyckich wyszedł postulat utworzenia nad nimi „strefy zakazu lotów”. Jednak, co podnoszą amerykańscy krytycy, kraje te w zasadzie nie posiadają sił powietrznych.

Amerykańscy izolacjoniści zestawiają liczby żołnierzy małych krajów NATO (łącznie liczba żołnierzy Litwy, Łotwy, Estonii, Szwecji, Danii, Islandii, Słowacji, Luksemburga, Chorwacji, Słowenii, Czarnogóry, Macedonii Północnej i Albanii to 103 110) z liczbą amerykańskich żołnierzy pod bronią, których jest 1 359 600. Ma to obrazować ciężar złożony na barkach Stanów Zjednoczonych w imię obrony sojuszników, którzy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo Ameryki, nie wnoszą nic lub bardzo niewiele.

Naturalnie z europejskiej perspektywy jest to dziwne zestawienie i w ogóle dziwny sposób rozumowania. Pomija zasadniczy fakt, że hegemonia kosztuje. Hegemon, chcący cieszyć się swoimi wpływami, musi za nie płacić. Za utrzymywanie hegemonii płacił Związek Radziecki, chociażby w formie surowców wysyłanych do „bratnich krajów”. Utrzymywanie przez Amerykę armii w takiej liczebności

okresie, jak się wydaje, czekają Amerykę generalne zapasy z Chinami. Chociaż Europa i Chiny absolutnie nie są na wojennej ścieżce, USA w trakcie zmagania z Chinami uprzejmie „poproszą” europejskich sojuszników, by wypełnili swoje zobowiązania. Z perspektywy Stanów będzie to zapłata Europy za 75 lat amerykańskiej kurateli wojskowej. W interesach przecież wszystko musi się zgadzać. Niemniej

Obrona krajów bałtyckich jest niemalże kwadraturą koła.

jest jednym z kosztów ponoszonych przez państwo dominujące. Trump i izolacjoniści wypowiadają się, jakby tego nie rozumieli. Jakby przywileje, na które mogą liczyć we wszystkich krajach sojuszniczych, po prostu im się należały. Zupełnie jak premie ministrom w rządzie Beaty Szydło.

Pojawia się pytanie, na ile realny jest scenariusz wyjścia USA z NATO po zwycięstwie Trumpa. Uważam, że jeden zasadniczy powód przesądza o tym, że nie nastąpi to szybko, nie w ciągu najbliższych kilku lat. W tym

jednak zasadniczy problem stojący przed Europą pozostaje. Klasa polityczna naszego kontynentu powinna przemyśleć, czy bezpieczeństwo Europejczyków może być całkowicie uzależnione od koniunktury politycznej mocarstwa dominującego, w którym mogą przeważać nastroje nieprzychylnie wobec zamorskich zaangażowań. Jest przy tym pewne, że izolacjoniści w USA nie wyginą jak dinozaury. Za dużo mają argumentów odpowiadających kupieckiej mentalności Amerykanów. ■



Wesprzyj swoim podatkiem
Fundacja Kuźnica KRS: 0000300613



Polityka klimatyczna Unii Europejskiej

Zrozumieć efektywność energetyczną

Adam Gierek

Dzisiaj, kiedy za zmiany klimatyczne wini się działalność człowieka – tzw. czynnik antropogeniczny jest odpowiedzialny za nadmierną emisję gazów cieplarnianych do atmosfery – obrońcy klimatu rolę największego szkodnika przypisują emitującej ok. 30% dwutlenku węgla (CO₂) energetyce opartej na paliwach kopalnianych. Już pod koniec XIX w. szwedzki chemik i fizyk Svante Arrhenius jako pierwszy sformułował hipotezę o możliwym wpływie CO₂ w atmosferze na ocieplanie się klimatu. Uważał, że spalanie dużej ilości węglowodorów, zwłaszcza węgla, mogłoby uratować ludzkość przed – jak myślał – nadchodzącą nieuchronnie nową epoką lodowcową.



ubiegłego wieku prowadzić politykę klimatyczną. Czy była to jedyna przyczyna, zważywszy, że udział Unii w światowej emisji CO₂ to jedynie 8%? Myślę, że nie tylko, gdyż polityka ta jest prowadzona pod kątem działań mających wpływ na gospodarkę krajów członkowskich.

Zgodę Polski na tę politykę wyraził prezydent Lech Kaczyński, podpisując w 2007 r. akceptację zobowiązania do ograniczenia do 2020 r. emisji CO₂ przez nasz kraj o 20%, wzrostu udziału odnawialnych źródeł energii (OZE) w produkcji energii pierwotnej do 20% i zwiększenia efektywności energetycznej o 20%.

W grudniu 2008 r. premier Donald Tusk podpisał zgodę naszego kraju m.in. na Europejski System Handlu Emisjami (ETS) – chodzi o pozwolenia

odbiorcy energii elektrycznej w 70% wytwarzanej w Polsce z węgla, zakładnikami międzynarodowych spekulantów, którzy szukają szybkiego zysku kosztem polskich odbiorców energii.

Szybowanie kosztów energii elektrycznej w naszym kraju może jeszcze przyspieszyć, kiedy przyjmimy najnowsze oczekiwania niektórych polityków unijnych, tzw. Fit for 55 (Gotowi na 55), co oznacza ograniczenie emisji CO₂ o 55% do 2030 r. w odniesieniu do stanu z roku 1990. A przecież w porozumieniu paryskim uzgodniono, że rok 2050 będzie rokiem osiągnięcia przez UE neutralności klimatycznej.

O ile zobowiązania wcześniejsze, czyli 3 x 20, można było zrealizować, np. przenosząc energochłonną produkcję poza Unię lub – jak to się stało w Polsce – likwidując energochłonne branże przemysłu, o tyle dzisiaj, kiedy wyczerpały się te proste rezerwy, winniśmy wrócić do niezrealizowanego zobowiązania z przeszłości. Czyli do zwiększenia efektywności energetycznej. Dlaczego to zobowiązanie nie zostało zrealizowane? Skąd ta niecierpliwość komisarza Timmermansa?

Główną przyczyną tego był brak zrozumienia urzędników Komisji Europejskiej, jak i wielu eurodeputowanych, kiedy przyjmowaliśmy „pakiet zimowy”, że jedynym sposobem na zrównoważony rozwój energetyki w krajach unijnych jest faktyczny, a nie deklarowany wzrost efektywności energetycznej, liczony kompleksowo w całych łańcuchach przepływu energii, tj. od źródła jej pozyskiwania do użytkownika. Efektywności energetycznej nie da się bowiem zmierzyć wskaźnikiem zaoszczędzonej energii końcowej, gdyż

W grudniu 2008 r. premier Donald Tusk podpisał zgodę naszego kraju m.in. na Europejski System Handlu Emisjami (ETS). Jako europoseł przed tym przestrzegałem.

Klimatolodzy, choć nie wszyscy, przyjęli tę hipotezę za główną przyczynę obecnego nadmiernego ocieplania się naszego globu. Czy została ona dostatecznie udowodniona? Odpowiedź na to pytanie stanowi – jak się wydaje – jeszcze otwartą kwestię.

A może ocieplanie się klimatu odsuwa od nas w czasie prognozowane wcześniej ochłodzenie?

Decydenci unijni, bazując na raportach Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu przy ONZ (IPCC), dając wiarę przesłaniom tych raportów, ponadto słusznie kierując się zasadą przezorności, zaczęli pod koniec

na emisje CO₂ do atmosfery. Jako europoseł przed tym przestrzegałem. Ale stało się...

Handel ten początkowo miał funkcjonować w ramach unijnego systemu energetycznego, później niestety został przekształcony w instrument spekulacji na rynkach finansowych. Cena tony emitowanego CO₂ z kilku euro skoczyła nagle na giełdzie unijnej do 70, a nawet 100 euro. A trzeba wiedzieć, że spalanie tony węgla to ok. 2,5 tony tego produktu ubocznego. Spalanie gazu o ekwiwalentnej kaloryczności to od ok. 40% do 60% emisji. Staliśmy się tym samym, jako

jest to jedynie skutek efektywności. Gdyby było tak, jak chciała Komisja, to każde awaryjne wyłączenie energii elektrycznej mogłoby zostać odnotowane jako wzrost efektywności.

Jak zatem brzmi prawdziwa definicja efektywności energetycznej? Jest to stosunek uzyskanych wyników, tj. ilości wytworzonej wtórnie energii, a także usług i towarów, do pierwotnego wkładu energii.

W skali państw sprawność energetyczna jest wskaźnikiem poziomu ich rozwoju cywilizacyjnego, co można określić jako stosunek użytkowanej w nich energii końcowej do skumulowanej energii pierwotnej będącej w dyspozycji tych państw.

Analiza danych Eurostatu dotyczących użytkowania energii w krajach unijnych, której ilość wyrażona (przeliczona) na paliwo wzorcowe (olej) w Mtoe, tj. tej skumulowanej energii pierwotnej, jak i końcowej, pozwala na stosowne przeliczenia. Wynika z nich, że średnia unijna efektywność energetyczna w 1990 r. wynosiła ok. 69%, a w roku 2020 ok. 73%. Wzrosła więc o ok. 4%, a nie o postulowane jeszcze w 2007 r. 20%.

Tab. 1 przedstawia, jak wskaźnik procentowy efektywności energetycznej kształtował się w 2020 r. dla głównych gospodarek światowych. Dane te zostały wyliczone na podstawie publikacji Eurostatu z 2022 r.

Tab. 1. Efektywność energetyczna głównych gospodarek świata

UE	73,45%
USA	71,85%
Rosja	66,75%
Chiny	62,39%
Reszta świata	65,64%

Według powyższego zestawienia UE wyraźnie dominuje nad pozostałymi konkurentami gospodarczymi. Wynika to z gorszego dostępu do surowców energetycznych. Zapotrzebowanie w tym zakresie Unia zmuszona jest zaspokajać w 60% poprzez import z krajów spoza jednolitego rynku. To ciężące na jej gospodarce uzależnienie energetyczne ciągle maleje za sprawą unijnej polityki klimatycznej.

A jak w ramach jednolitego rynku skupiającego państwa unijne

kształtuje się ten problem? Na przykładzie wybranych państw ilustruje to tab. 2.

Tab. 2. Efektywność energetyczna niektórych krajów UE w 2020 r.

Dania	85,48%
Holandia	79,36%
Szwecja	78,93%
Finlandia	77,81%
Niemcy	76,90%
Belgia	76,18%
Polska	75,23%
Hiszpania	70,28%
Słowacja	68,88%
Czechy	64,83%
Francja	64,06%
Bulgaria	57,85%

Z zestawienia widać, że najlepiej energia pierwotna jest wykorzystywana w Danii i Holandii, co może się wiązać ze znacznym udziałem turbin wiatrowych w jej generowaniu. Wpływać na to może również struktura energetyki rozproszonej w tych krajach, co skutkuje minimalizacją strat przepływu w sieciach dystrybucyjnych. Może to być także do pewnego stopnia efektem importu energii elektrycznej z krajów sąsiednich, w których powstają efekty uboczne rozproszenia części energii pierwotnej do środowiska podczas jej konwersji (przemiany) w energię końcową. Także zanieczyszczenie termiczne środowiska naturalnego następuje poprzez „zrzut” znacznej ilości ciepła pochodzącego z ochłodzenia reaktorów jądrowych. Dotyczy to zwłaszcza krajów, które dysponują tego typu energetyką. Tłumaczy to jednoznacznie niższą efektywność energetyczną Francji, Bulgarii czy Słowacji. Elektrownie jądrowe wprowadzie uwalniają nas od nadmiernej emisji CO₂, ale zarazem rodzi się pytanie, w jakim stopniu ich ograniczona efektywność energetyczna jest podyktowana jedynie względami bezpieczeństwa.

Elektrownie jądrowe nie tylko stanowią potencjalne zagrożenie radiacyjne, lecz mogą też wpływać niekorzystnie na środowisko oddziaływaniem termicznym. Nie bez powodu większość dużych elektrowni jądrowych zlokalizowano nad akwenami.

Poczynając od skumulowanej energii pierwotnej, obserwuje się w istocie trzy strumienie jej przepływu w kierunku użytkowników, tj. rynku energii końcowej. Są to:

- przepływ bezpośredni do użytkowników energii elektrycznej,
- przepływ energii w celu grzania lub ochłodzenia budynków, w tym z zastosowaniem pomp ciepła,
- przepływ energii zawartej w paliwach napędowych stosowanych w transporcie.

Na łączny strumień energii od jej producenta, tj. elektrowni czy elektrociepłowni, a także rafinerii oraz zakładów wydobywczych, składa się suma tych strumieni.

Konkludując, należy stwierdzić, że narzucane limity pozwoleń na emisje CO₂ to rzecz wtórna, ściśle zależna od stanu technicznego systemów energetycznych, tj. od efektywności energetycznej procesów technologicznych uwalniania (wytworzenia) energii i jej przesyłu.

Komisja Europejska w swojej polityce klimatycznej w pierwszym rzędzie powinna oprzeć się na działaniach prowadzących do wzrostu efektywności jako celu zrównoważonej transformacji energetycznej. Działania te wymagają konkretnych inwestycji długoterminowych, na które nie mogą mieć wpływu niekorzystne spekulacje w handlu emisjami CO₂.

Tak więc, zgadzając się z potrzebą ograniczenia emisji CO₂ jako celem Fit for 55, zrealizujemy wreszcie w Unii, tj. na jednolitym rynku, zobowiązanie, które dotyczyło wzrostu efektywności energetycznej. Dopiero spełnienie tak ambitnie sformułowanego celu unijnego uruchomiłoby z jednej strony technologie OZE, z drugiej – dążenia do budowania tzw. domów pasywnych. Będzie to wyznacznikiem właściwej metody prowadzenia polityki klimatycznej Unii Europejskiej. Przedstawiony powyżej wywód zawiera uproszczenie – zakładam w nim bowiem, że wszystkie technologie OZE charakteryzują się jednakową, 100-procentową efektywnością generowania energii. A oczywiście tak nie jest, co stanowi inny temat.

Adam Gierek jest profesorem nauk technicznych, w latach 2004-2019 był posłem do Parlamentu Europejskiego

Zagłada Huty Pieniackiej

Ze sprawców ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego uczyniono bojowników o niepodległość Ukrainy

Bohdan Piętka

„Przed południem dotarłem do miejsca, gdzie zawsze wychodziłem z lasu na rozległą polanę okalającą Hutę Pieniacką. (...) Tego, co zobaczyłem, nie zapomnę do końca życia. (...) Kiedyś z tego miejsca rozciągał się ładny widok na zadbane gospodarstwo moich dziadków i na większość zabudowań Huty Pieniackiej. Teraz moim oczom ukazał się straszliwy obraz kompletnej ruiny. (...) Na miejscu domów, pośród zgłiszcz, sterczały tylko osmalone kominy. (...) Przed sobą miałem jedno wielkie pogorzelisko” – tak po latach wspominał zagładę Huty Pieniackiej jej świadek Sulimir Stanisław Żuk¹.

Była to największa zbrodnia dokonana przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w Małopolsce Wschodniej. Na przełomie 1943 i 1944 r. na te tereny przenieśli oni z Wołynia akcję eksterminacji ludności polskiej. Do depolonizacji Małopolski Wschodniej na wielką skalę banderowcy przystąpili w styczniu 1944 r., a największe mordy dokonano od lutego do kwietnia 1944 r. OUN-B i UPA dążyły do wyniszczenia Polaków przed końcem wojny, aby po pokonaniu Niemiec Polska nie mogła wykorzystać obecności ludności polskiej na byłych Kresach Południowo-Wschodnich jako argumentu za włączeniem tych ziem w swoje granice.

W ramach akcji eksterminacyjnej w Małopolsce Wschodniej stosowano kilka typów napadów. Pierwszy sprowadzał się do mordowania Polaków podczas częstych napaści, w których ginęło kilka osób. Drugi typ, występujący najczęściej, pochłaniał od kilku do trzydziestu kilku ofiar. Trzecim typem, znanym wcześniej z Wołynia, były masowe zbrodnie, gdy zabijano nawet kilkaset osób. Ofiarą takich

ataków padło ok. 90 miejscowości na terenie 35 powiatów.

SS i UPA

Najwięcej ofiar pochłonęły zbrodnie dokonane z udziałem ukraińskich formacji SS w Hucie Pieniackiej w powiecie brodzkim (co najmniej 868 zabitych) oraz w Chodaczkowie Wielkim w powiecie tarnopolskim (co najmniej 862). Najwyższe straty ludności polskiej w 1944 r. zanotowano w powiatach: brodzkim (co najmniej 2365 osób), rohatyńskim (co najmniej 1629 osób), tarnopolskim (co najmniej 1587 osób) i kałuskim (co najmniej 1542 osoby). Udokumentowana, aczkolwiek niepełna liczba ofiar śmiertelnych zbrodni nacjonalistów ukraińskich na Polakach w Małopolsce Wschodniej w 1944 r. wyniosła ok. 32 tys. w 1550 miejscowościach².

W Hucie Pieniackiej w okrutny sposób zostało zamordowanych co najmniej 868 Polaków.

W zbrodniach o charakterze ludobójstwa popełnionych przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach uczestniczył 4. Galicyjski Pułk Ochotniczy SS – Policyny. Formacja ta, złożona z ochotników do ukraińskiej dywizji Waffen-SS „Galizien”, brała udział w zbrodniach w Chodaczkowie Wielkim, Maleniskach, Palikrowach, Pańkowcach, Podkamieniu i w Hucie Pieniackiej³.

Ukraińskim esesmanom pomagał oddział UPA, najprawdopodobniej sotnia „Siromanci” pod dowództwem Dmytra Karpenki „Jastruba”. Karpenko, który zginął 17 grudnia 1944 r. podczas ataku na polską wieś Strzeliska Nowe (obecnie Nowi Striłyśzcza w obwodzie lwowskim), był pierwszym bojownikiem UPA

uhonorowanym najwyższym odznaczeniem tej organizacji – Złotym Krzyżem Bojowej Zasługi I klasy. Poza tym w zagładzie Huty Pieniackiej brała udział bojówka złożona z miejscowych nacjonalistów ukraińskich. Dowodził nią Wołodymyr Czerniawski. Jako jedyny sprawca tej zbrodni został on pociągnięty do odpowiedzialności. W 1947 r. sąd w Katowicach skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano.

Na początku 1944 r. w Hucie Pieniackiej istniały 172 gospodarstwa; mieszkało w niej ok. 1 tys. Polaków, w tym wielu uchodźców z Wołynia. Formalnym pretekstem do ekspedycji karnej przeciw nim stało się domniemane udzielanie przez ludność Huty Pieniackiej pomocy radzieckim partyzantom. Do dzisiaj, zwłaszcza dla strony ukraińskiej, stanowi to argument służący usprawiedliwianiu zbrodni. W samej Hucie Pieniackiej działała

jednak polska samoobrona. Kiedy 23 lutego 1944 r. do wsi wkroczyli ukraińscy esesmani w poszukiwaniu radzieckich partyzantów, doszło do starcia z samoobroną. Polacy sądzili, że mają do czynienia z przebranymi upowcami. Miejscową samoobronę wspierała placówka Armii Krajowej z Huty Werchobuskiej, natomiast patrol SS dostał pomoc od sotni UPA „Siromanci”. W potyczce zginęło trzech esesmanów ukraińskich, którym Niemcy urządzili w Brodach manifestacyjny pogrzeb.

Ekspedycja karna

Od tej chwili niemiecka ekspedycja karna przeciw Hucie Pieniackiej była nieunikniona. Nacjonaści



Pomnik upamiętniający Polaków zamordowanych w Hucie Pieniackiej po raz pierwszy zniszczono w nocy z 8 na 9 stycznia 2017 r.

ukraińscy wykorzystali ją do realizacji swojego celu politycznego, jakim była depolonizacja tych ziem, i dlatego udzielili jej wsparcia. Lokalne siły AK były za słabe, żeby obronić Hutę Pieniacką. Łącznik AK, który przybył do wsi w nocy z 27 na 28 lutego, zalecił samoobronie unikanie walki i opuszczenie wsi przez mężczyzn, by sprawić wrażenie, że jest bezbronna, a wśród mieszkańców dominują kobiety, dzieci i starcy.

Wczesnym rankiem 28 lutego 1944 r. Huta Pieniacka została otoczona przez batalion ukraiński z 4. pułku policyjnego SS pod dowództwem niemieckiego kapitana, wsparty przez oddział UPA i wspomnianą bojówkę. Formacjom tym towarzyszyli ukraińscy chłopcy z okolicznych wsi, którzy przybyli, aby zagrabić mienie mordowanych Polaków. Napastnicy przeszukiwali kolejne domy, a znalezione w nich osoby brutalnie wypędzili i zaprowadzili pod eskortą do kościoła. Dokonywali przy tym pierwszych mordów. Ofiary zgromadzone w kościele podzielono na grupy: osoby starsze, kobiety i dzieci oraz mężczyźni. Zaprowadzono je następnie do drewnianych stodoł, które sprawcy podpalili. Ofiary spłonęły żywcem. Tych, którzy próbowali uciekać, zabijano. Jeden ze sprawców zabił też noworodka urodzonego podczas przetrzymywania ofiar w kościele.

W okrutny sposób zostało zamordowanych co najmniej 868 mieszkańców Huty Pieniackiej (taką liczbę ofiar podała kolaboracyjna gazeta

ukraińska „Lwowski wisti”). Ocalała niewielka grupa, która schroniła się we wcześniej przygotowanych kryjówkach, ok. 20 osób schowanych w wieży kościelnej i ok. 10 dziewcząt, którym udało się wydostać z jednej z podpalonych stodoł. Nieliczni zbiegli też podczas konwojowania z domów do kościoła.

„Od wsi w stronę lasu wiał lekki wiatr, niósł woń spalenizny i gryzący zapach spalonego mięsa. Z przerażeniem zrozumiałem, że woń spalonego mięsa to ludzie spaleni w domach i stodołach. Przecież to była typowa metoda banderowców – wpędzić ludzi do domu lub stodoły, zamknąć i podpalić!”, wspominał Żuk⁴.

Protesty nacjonalistów i polityków

Zbrodnia w Hucie Pieniackiej została upamiętniona w 2005 r. pomnikiem. Wzniesiono go z inicjatywy polskiej Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w miejscu nieistniejącej od 28 lutego 1944 r. wsi. Jest to jedno z nielicznych upamiętnień ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego, które pozwolono wzniesić na Ukrainie. Pomnik ten był wielokrotnie obiektem antypolskich manifestacji nacjonalistów ukraińskich. Strona ukraińska przez dwa lata blokowała umieszczenie na nim daty zbrodni. 28 lutego 2009 r. – w 65. rocznicę mordu – odbyła się pod pomnikiem uroczystość z udziałem prezydentów Lecha Kaczyńskiego i Wiktora Juszczenzi oraz katolickiego

arcybiskupa lwowskiego Mieczysława Mokrzyckiego. Przed uroczystością lwowski polityk nacjonalistyczny Rostysław Nowożeneć – deputowany obwodowy z Bloku Julii Tymoszenko – zażądał demontażu pomnika, a deputowani lwowskiej rady obwodowej z Bloku Julii Tymoszenko zaapelowali do prezydenta Juszczenzi, by nie brał udziału w uroczystości. Samą uroczystość zakłóciła grupa ponad stu agresywnych osób, demonstrujących pod flagami OUN-B oraz Ogólnoukraińskiego Zjednoczenia „Swoboda”.

Incydent ten bynajmniej nie przeszkodził Lechowi Kaczyńskiemu oraz całej polskiej klasie politycznej wszystkich opcji w bezkrytycznym i wszechstronnym wspieraniu „pomarańczowego” prezydenta Juszczenzi, w owym czasie już doszczętnie na Ukrainie skompromitowanego.

Później do podobnych incydentów z udziałem zwolenników nacjonalistycznej partii Swoboda dochodziło jeszcze wielokrotnie podczas polskich uroczystości w Hucie Pieniackiej. Ponadto w pobliżu pomnika ustawiono odpowiedzialność nacjonalistów ukraińskich za zbrodnię. W 2020 r. stanęła tam nowa tablica ukraińska, zawierająca sformułowanie „bandyci z AK”, co wywołało publiczne oburzenie premiera Mateusza Morawieckiego i reakcję ambasadora Polski w Kijowie Bartosza Cichockiego. Oczywiście zignorowaną przez stronę ukraińską.

Zniszczony pomnik

W nocy z 8 na 9 stycznia 2017 r. po raz pierwszy doszło do zniszczenia pomnika Polaków zamordowanych w Hucie Pieniackiej. Będący centralnym elementem monumentu krzyż został wysadzony w powietrze, jedną z tablic z nazwiskami ofiar pomalowano w barwy Ukrainy, a drugą w barwy OUN/UPA. Namalowano na niej też symbol SS. Zniszczenie pomnika ujawniono 10 stycznia. Ówczesny szef Ukraińskiego IPN i główny animator polityki historycznej gloryfikującej OUN/UPA, Wołodimir Wjatrowycz, orzekł, że za tą profanacją i dewastacją stoją „siły trzecie”, czyli Rosja. Natychmiast podchwyciła to większość polskich mediów.

► Najprawdopodobniej 11 marca 2017 r. (ujawniono to 14 marca) ponownie zdewastowano pomnik, odnowiony w międzyczasie ze środków lokalnej społeczności ukraińskiej. Na tablicach z nazwiskami ofiar umieszczono napisy „Smert Lacham” i „Precz z Ukrainy”, a na krzyżu namalowano swastykę i tryzub. Tryzub oraz napisy „SS Hałyczyna”, „Sława Ukrainie” i „OUN-UPA” namalowano też na stojącej w pobliżu pomnika polskiej tablicy informacyjnej. W tym

strony ukraińskiej, że były to rosyjskie prowokacje.

„Jestem przekonany, że politycy mają patrzeć w przyszłość, a przeszłość pozostawić historykom. Kiedy zaczniemy realizować właśnie tę koncepcję, wszystko między nami będzie dobrze”, powiedział ówczesny prezydent Ukrainy Petro Poroszenko 28 lutego 2018 r., w 74. rocznicę zagłady Huty Pieniackiej, komentując zakaz prowadzenia przez stronę polską prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych

nie zmieniło się. Poprzez partnerstwo strona ukraińska rozumie przyjęcie jej punktu widzenia, w tym wypadku na jej politykę historyczną gloryfikującą sprawców ludobójstwa wołyńskiego-małopolskiego jako bojowników o niepodległość Ukrainy. Wobec braku zarówno perspektywy zmiany stanowiska ukraińskiego, jak i chęci strony polskiej wymuszenia takiej zmiany również 80. rocznica zbrodni w Hucie Pieniackiej nie przyniesie żadnego postępu w dialogu historycznym obu państw. Dialogu, którego nie było i nie ma ze strony ukraińskiej.

Bohdan Piętka

Mieszkańców, w tym osoby starsze, kobiety i dzieci, zaprowadzono do stodół, które sprawcy podpalili. Ofiary spłonęły żywcem.

samym czasie sprofanowano pomnik polskich profesorów zamordowanych przez Niemców 4 lipca 1941 r. we Lwowie oraz pomnik polskich ofiar UPA w Podkamieniu w obwodzie lwowskim. W obu miejscach pojawił się napis „Smert Lacham”, na krzyżu w Podkamieniu namalowano swastykę, a sześć tablic z nazwiskami ofiar oblano czerwoną farbą. Sprawców tych dewastacji nigdy nie ujawniono ani nie ujęto. Polscy politycy zadowolili się wyjaśnieniem

na Ukrainie. „Uwierzcie mi, że my nie potrzebujemy, żeby ktoś mówił nam, jakich ukraińskich bohaterów powinniśmy czcić i szanować, a jakich nie. Sami sobie z tym poradzimy. Tak samo jak i my nie doradzamy Polsce, kogo ma czcić, a kogo nie”, dodał.

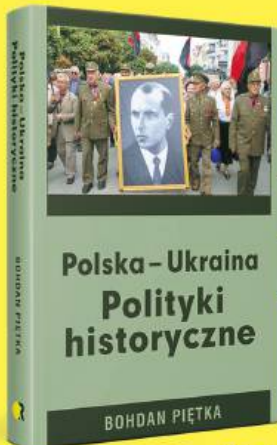
Od tego czasu, pomimo zmiany na urzędzie prezydenta Ukrainy oraz ogromnej pomocy, jaką Polska okazała Ukrainie po agresji rosyjskiej w lutym 2022 r., stanowisko strony ukraińskiej wobec „trudnej przeszłości”

¹ Sulimir Stanisław Żuk, *Skrawek piekła na Podolu. Huta Pieniacka – Hucisko Brodzkie. Płonące Podole – 1944*, Warszawa-Kraków 2015, s. 108-109.

² Ewa Siemaszko, *Bilans zbrodni*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” nr 7-8 (116-117), Warszawa 2010 (lipiec-sierpień), s. 85-92.

³ Henryk Komański, Szczepan Siekierka, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim 1939-1946*, Wrocław 2006, s. 76, 83; Grzegorz Motyka, *Ukraińska partyzantka 1942-1960. Działalność Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii*, Warszawa 2006, s. 383-386.

⁴ Sulimir Stanisław Żuk, *Skrawek piekła...* s. 110.



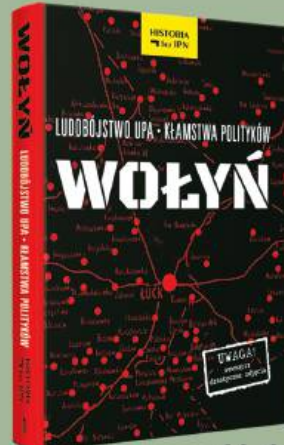
**Polska - Ukraina
Polityki
historyczne**
BOHDAN PIĘTKA

50 zł

Książki PRZEGLĄDU

**KULT BANDERY
I SZUCHEWYCZA**

**POLSKO-UKRAIŃSKI
SPÓR O HISTORIĘ**



WOLYŃ
LUDOBÓJSTWO UPA - KŁAMSTWA POLITYKÓW
BOHDAN PIĘTKA

44 zł

PRAWDZIWA DO BÓLU

– zbrodnie banderowców
opisane przez tych, którym
udało się przeżyć

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem
nieregistrowanym Poczta Polska.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Lewe biodro

Kiedy mi zmieniano zepsute kościane biodro na metalowe, byłem półprzytomny, znieczulenie było miejscowe. Wiele osób krzątało się wokół, ciężko pracując, i nawet zrobiło mi się wstyd, że sprawiam tyle kłopotu. W finale profesor M. zdjął rękawiczki i powiedział: „No to może pan pisać kolejny felieton”. W sali pooperacyjnej pielęgniarka szepnęła mi na ucho, że czyta moje felietony w „Zwierciadle”. To bardzo ociepla sytuację, gdy jest się w biedzie. W biedzie, ale wśród swoich. W sumie to był udany tydzień w otwockim szpitalu, z którym zawarłem już bliższą znajomość rok temu, kiedy mi operowano prawe biodro. Szpital świetny, pielęgniarki zawsze miłe i zadowolone z życia. To dar, którego ja nie mam.

Na sali pięć łóżek, ale nigdy nie było kompletu. Pierwsze dwa dni z dużym osobnikiem. Cierpiał na bezdech, a odgłosy, które z siebie wydawał w środku nocy, były trochę wielorybie, a czasami wybrzmiewały jak salwy armatnie. Przejornie zaopatrzyłem się wcześniej w zatyczki do uszu. Ale okazało się, że ten człowiek, który na oko nie wydawał się obdarzony empatią, miał ze sobą kilka par zatyczek do uszu, rozdawał je potrzebującym, którzy padali jego ofiarą. Gdy opuścił szpital, zostałem z panem Witkiem, byłym nauczycielem WF w miasteczku w pobliżu Garwolina. Zidentyfikował mnie jako osobę publiczną, o czym napisał do córki, ta mu odpisała: „Masz tata farta”.

I pomyśleć, że ja nie mam farta, że jestem cały czas ze sobą. Córka przestała mu cytować z mojego dawnego felietonu: „Od jakiegoś czasu przestałem szukać dziury w całym, a szukam całego wśród dziur”. To prawda. Bardzo ta decyzja zmieniła moje postrzeganie świata. Dołączył do nas wkrótce dawny oficer marynarki, pan Jarosław. Od razu obwąchiwanie swojego podogonia politycznego i okazało się, że wszyscy na sali jednak nienawidzimy polskiej prawicy narodowej. Gdy dołączył do nas młody człowiek, z długą, czarną brodą, z „Gazety Wyborczej”, było oczywiste, że jestem wśród swoich. Tak to nawet ciężko chorować łżej.

Dwóch współpasażerów szpitalnej podróży miało wymieniane kolana, reszta biodra. Do młodego z brodą przychodziła mama, siadała i milczała, a on zasypiał. Siedziała godzinę. Potem przychodziła jego dziewczyna, kładła mu głowę na piersi i zasypiała. On nie spał. Trwało to też godzinę. Osobliwe. Oficer marynarki okazał się

gadulą, ale atrakcyjnym, miał o czym opowiadać. Mówił, lecz tylko wtedy, gdy dało mu się pretekst, więc potrafił też elegancko milczeć. Pływał najpierw na polskich statkach, a w stanie wojennym szedł z pokładu, czyli dał nogę. Potem pracował dla zachodnich wielkich firm morskich. Zwiedził wszystkie kontynenty i morza, o czym niezwykle barwnie opowiadał...

W szpitalu problemy z opróżnianiem organizmu z jedzenia i picia nabierają wielkiej wagi. Po operacji zdziwiłem się, co takiego mam między nogami. „To jest kaczka”, odparła pielęgniarka. Nigdy nie używałem, ale widywałem. Ta zdawała się inna, bo stacjonarna. Duża, przypominająca prawdziwą, aerodynamiczna, nowoczesna, jakiś nowy model. Zasadnicze pytanie, jakie się zadaje w szpitalu, brzmi: „Czy było wypróżnienie?”. Jeden z moich współlokatorów nie miał przez trzy dni i wpadł w rozpacz, jakby jego życie było zagrożone.

A teraz skatologia polityczna. Znowu celebrowanie „żołnierzy wyklętych”. To jeden z pisowskich mitów. Tych, co z bronią w rękę nie pogodzili się ze zmianą władzy i ustroju, wrzuca się do jednego, heroicznego worka. A było tam przecież także o wiele zwykłej. Prezydent odniósł się do przeszłości związanej z „żołnierzami wyklętymi”. Przypominał, że część Polaków współpracowała z sowieckim okupantem, i stwierdził, że robili to „czasem ze

strachu, czasem z oportunistą, czasem z konformizmem”. Polskich komunistów, którzy wkroczyli do Polski razem z Armią Czerwoną, określił jako „sowieckich pachotków”. Duda nie pomyślał, że w czasach stalinowskich było jednak wielu ludzi, którzy wierzyli w Stalina i w sowiecki komunizm. Co ich oczywiście nie usprawiedliwia, jeśli stosowali przemoc. Ludzie są przecież w stanie uwierzyć we wszystko, nawet w PiS. Dalej Duda wywodził, że potomkowie tych kolaborantów nie powinni w wolnej Polsce „pchać się na afisz”. Nie wiem, o jakim afiszu myśli Duda. Zainteresowały mnie słowa: „potomkowie tych kolaborantów”. Do którego pokolenia? Czy jak dziadek był kolaborantem, to już można pchać się na afisz? Czy jak dawny komunistyczny prokurator Piotrowicz jest na pisowskim afiszu, to niedobrze? Ja w ogóle to myślę, że dzieci nie ponoszą winy za swoich rodziców. Gdyby ojciec Dudy był złoczyńcą, nie oceniałbym Dudy przez niego. Jaki jest Duda sam w sobie, każdy widzi. ■

Ludzie są w stanie uwierzyć we wszystko, nawet w PiS.

Kornel Wawrzyniak

Pod koniec lutego szef resortu kultury Bartłomiej Sienkiewicz zapowiedział nowelizację Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych, która będzie korzystna dla filmowców, wydawców i dziennikarzy. – Chcemy uzyskać sytuację w Sejmie, w której rząd, większość parlamentarna i twórcy będą stali ramię w ramię za nowym prawem – ogłosił podczas konferencji. Nie obyło się jednak bez zamieszania. Wcześniej Sienkiewicz spotkał się z delegacją Koła Młodych Stowarzyszenia Filmowców Polskich, które od kilku tygodni domagało się uregulowania kwestii wynagrodzeń dla twórców za prezentowanie ich dzieł na platformach streamingowych. Artyści wzniesili bunt po opublikowaniu 15 lutego przez resort kultury w Biuletynie Informacji Publicznej projektu zmiany Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych nieuwzględniającego tantiem dla filmowców. „Obecna propozycja ustawy nie zapewnia nam godnej przyszłości, a całkowicie ją rujnuje. Tantiemy z internetu to nasze »być albo nie być«. Nie mamy umów o pracę, nie mamy stałych przychodów, nie mamy zdolności kredytowych”, wyjaśniali w liście do ministra kultury młodzi filmowcy. Sienkiewicz tłumaczył, że nieuwzględnienie tantiem to błąd wynikający z opublikowania projektu w pośpiechu. To jednak nie koniec bałaganu wokół praw artystów.

Kary od UE i ciężki los artystów

Polska od 2019 r. nie wprowadziła do swojego prawa unijnej dyrektywy 2019/790 o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym (DSM – Digital Single Market). Ostateczny termin uregulowania tej kwestii minął w czerwcu 2021 r. Celem regulacji jest zobowiązanie dużych platform streamingowych i cyfrowych do płacenia twórcom wykorzystywanych w sieci materiałów i właścicielom praw do nich. Chodzi m.in. o materiały prasowe, filmy czy muzykę. Na łamach PRZEGŁĄDU (nr 44/2023)

Nowe prawo autorskie

Zapowiedziano tantiemy za użycie filmów w internecie. To jednak dopiero początek drogi do polepszenia sytuacji twórców



Ponad 50% wykonawców nie dostaje nic za korzystanie z ich muzyki w serwisach streamingowych.

pisaliśmy, że sami filmowcy przez nieuregulowanie rynku VOD (Video on Demand – skrótowa nazwa dla wypożyczania filmów przez internet) tracili 39 mln zł rocznie, chcąc jedynie 1,5% z corocznych wpływów. Nie tylko rodziło to złość twórców, ale też cały czas jest szerszym problemem prawnym na arenie międzynarodowej. – Polska jest ostatnim krajem, który nie implementował prawa unijnego, i sytuacja wygląda tak, że rok temu – mimo już półrocznego opóźnienia – rząd Mateusza Morawieckiego zablokował dalszą możliwość implementacji tego prawa. To spowodowało skargi Komisji

Europejskiej do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, co z kolei powodowało i powoduje nadal bardzo poważne ryzyko kar dziennych, jakie mogą być nałożone na Polskę w wyniku braku implementacji – tłumaczył minister Sienkiewicz i zapowiedział: – Implementujemy prawo, które dotyczy tantiem z internetu, i wprowadzamy zapis, który reguluje tę kwestię.

Cały bałagan wywołała poprzednia ekipa rządząca. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego pod rządami Piotra Glińskiego, które pomijało kwestię tantiem z internetu, w ostatniej chwili stwierdziło, że

jednak artystom się należą. Innego zdania byli minister cyfryzacji Janusz Cieszyński i wiceminister finansów Piotr Patkowski. Pierwszy martwił się, że tantiemy będą oznaczać wyższe abonamenty dla użytkowników, drugi zaś uznał, że opłaty dla twórców „mogą stać w sprzeczności ze zobowiązaniem Polski do niewprowadzania żadnych podatków cyfrowych ani podobnych środków”.

obejmują w tym momencie ubezpieczenia społeczne czy zdrowotne. Wszystko muszą załatwiać we własnym zakresie. Aby to naprawić, potrzebne są odpowiednia strategia państwa i nowe przepisy. – Aktem prawnym, którego celem jest objęcie twórców systemem ubezpieczeń społecznych, a finalnie poprawienie ich sytuacji bytowej, jest ustawa o artystach zawodowych. Była

papieru i pustych płyt CD. W nowej wersji do listy miały być dopisane urządzenia elektroniczne, takie jak laptopy czy smartfony.

Przez internet tracą wszyscy

Wokół dyrektywy narodził się również konflikt między wydawcami i dziennikarzami. Przedstawicielstwa tego środowiska zawodowego, czyli Stowarzyszenie Dziennikarzy i Wydawców Repropol, Stowarzyszenie Gazet Lokalnych i Izba Wydawców Prasy uzgodniły, że zaproponują przy okazji wdrażania dyrektywy podział środków z opłat od gigantów

technologicznych wedle zasady pół na pół – 50% dla wydawców i 50% dla dziennikarzy. Dziś, kiedy podjęte zostały pierwsze realne działania w sprawie nowelizacji ustawy, Izba Wydawców Prasy próbuje rakiem wycofać się z tych ustaleń. Szttywny podział pół na pół chce zastąpić ocenianiem, czy praca dziennikarza jest warta wyższego wynagrodzenia. Jeśli czytelnikom ta retoryka załatuje korporacyjnym językiem, to mają rację. – Dziś to duzi wydawcy mają zagwarantowaną statutowo większość głosów w IWP. To oni tak naprawdę decydują o obliczu całej izby. Mowa tutaj o największych graczach, takich jak Axel Springer, Agora, Bauer i Time SA. Obawiamy się, że duzi wydawcy, widząc zbliżający

Polska jest ostatnim krajem, który nie wdrożył unijnej dyrektywy o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym.

Z błędu szybko wyprowadził go reort kultury, wykazując przy okazji, że Patkowski nie rozumie, co mówi, bo tantiemy nie są podatkiem, gdyż trafiają do twórców, a nie na cele publiczne. Dziwnym trafem pojawienie się w rządzie wątpliwości wokół tantiem zbiegło się w czasie z wizytą w Polsce ówczesnego prezesa Netfliksa Reeda Hastingsa. Filmowcy przypuszczali, że polski rząd dał się namówić platformie na rezygnację z opłat dla artystów.

Przełom, ale nie rewolucja

A co się stanie, jeśli mimo szybkiego procedowania projektu ustawy Unia Europejska nałoży na Polskę kary? – Za kadencji poprzedniego rządu upłynął termin wyznaczony na implementację dyrektywy DSM, dlatego odpowiedzialność za to ponosi poprzednia ekipa rządząca. Stowarzyszenie Filmowców Polskich z początkiem lutego br. złożyło do Prokuratury Okręgowej w Warszawie zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez rząd Mateusza Morawieckiego, polegającego na zaniechaniu przyjęcia dyrektywy unijnej wprowadzającej tantiemy z internetu. Postępowanie jest w toku – mówi radczyni prawna SFP-ZAPA Małgorzata Machczyńska.

Tantiemy są jednak dopiero pierwszym krokiem na drodze do polepszenia bytu twórców. Kolejnym jest zmiana, dzięki której artyści nie będą żyli od projektu do projektu. Przypomnijmy, że twórców nie

ona procedowana przez poprzedni rząd, ale niestety prace nie zostały ukończone. Wyrażamy nadzieję, że prace nad tym projektem zostaną niezwłocznie wznowione przez nowy rząd – tłumaczy Małgorzata Machczyńska.

Wspomniany projekt ustawy o artystach zawodowych miał zapewnić twórcom zabezpieczenia socjalne i ubezpieczenie zdrowotne przez włączenie ich do powszechnego systemu ubezpieczeń emerytalnych i rentowych. Finansowanie miało pochodzić z budżetu państwa. Jednocześnie z tego samego projektu zniknął zapis o opłacie reprograficznej, która miała być podstawą przy opłacaniu składek dla najmniej zarabiających artystów. – Jeśli

Platformy bronią się przed dodatkowymi opłatami, jak mogą.

chodzi o inne regulacje, które dotyczą sytuacji podmiotów autorsko-uprawnionych i którymi powinien się zająć obecny rząd, to wymienić należy regulację dotyczącą opłaty reprograficznej pobieranej od urządzeń i nośników służących do korzystania z utworów w ramach dozwolonego użytku prywatnego – wyjaśnia Małgorzata Machczyńska. Spór o opłatę reprograficzną trwał kilka lat. W listopadzie 2023 r. poprzedni rząd po prostu usunął temat z ustawy. Dotychczas opłata reprograficzna, która funkcjonuje od 2003 r., była doliczana m.in. do ryz

się już moment otwarcia negocjacji z tytułu praw pokrewnych, zaczęli grać w swoją grę, w której nie ma miejsca na interesy mniejszych wydawców i dziennikarzy – tłumaczy prezes Repopolu Grzegorz Cydejek i dodaje – Podtrzymujemy swoje stanowisko, że podział pół na pół służyłby rozwojowi działalności prasowej. Dlatego poparliśmy projektodawcę w zamiarze utrzymania tego zapisu, który został zresztą zawarty w projekcie ustawy wiele lat temu na prośbę naszych środowisk.

Same platformy bronią się przed dodatkowymi opłatami, jak ►

► mogą. Szwedzki Spotify opublikował oświadczenie w związku z pracami nad projektem nowelizacji Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Serwis twierdzi, że nie jest w stanie udźwignąć dodatkowych kosztów, i straszy użytkowników podniesieniem opłat za abonament. Podobnie jeszcze w grudniu straszył nas minister cyfryzacji Cieszyński. Bezasadnie. W tekście „Streamingi bez tantiem” (PRZEGŁĄD 44/2023) pokazaliśmy, że wyższe opłaty to jedynie wygodny dla BigTech argument: „W Hiszpanii i we Włoszech platformy streamingowe płacą twórcom od lat. A przy okazji wprowadzania unijnej dyrektywy 2019/790 już w 2019 r. zaczęto pobierać od korporacji cyfrowych tantiemy w Belgii, Niemczech czy Słowenii. Od tego czasu nikt się nie skarżył, żeby w którymś z tych krajów użytkownicy platform dostali z tego powodu po kieszeni”.

Jeśli Spotify chce podnieść opłaty użytkownikom, pozostaje życzyć powodzenia na bardzo konkurencyjnym rynku streamingów. Wbrew powszechnej opinii platforma nie jest też w Polsce najpopularniejsza (ma

16% rynku). Według danych Międzynarodowej Federacji Przemysłu Fonograficznego Polacy słuchają dziś muzyki, przede wszystkim odtwarzając klipy na YouTube. Robi tak ponad 25% ogółu polskich odbiorców.

Podobne uniki starał się robić Netflix, który zastosował ucieczkę do przodu. Platforma proponuje wypłacanie dodatkowego wynagrodzenia w razie sukcesu nakręconego dla niej filmu lub serialu. To niejako miałoby załatwiać sprawę tantiem. Gdy jednak zgłębić temat, okazuje się, że owa premia ustalana jest w taki sposób, aby prawie nikt jej nie otrzymał. Tworzący dla Netflixu mogą także zapomnieć o prawach do swoich dzieł, ponieważ platforma stara się zawsze przenosić je w całości na siebie. Plusem jest to, że lokalni twórcy dostają możliwość dotarcia ze swoją twórczością do globalnej publiczności, ale korporacja nie jest organizacją charytatywną. Netflix zauważył po prostu, że lokalni artyści są świetnym sposobem na odbicie sobie utraty klientów na rodzimym, amerykańskim rynku i zyskanie ich w Europie. Szczególnie w Polsce działa zasada: tanio (przynajmniej

dla platformy) i dobrze, bo ekipy pracujące dla Netflixu nad Wisłą często dostarczają produkt, który chwalony jest zarówno przez krytyków, jak i publiczność.

Platformy streamingowe nie traktują artystów sprawiedliwie. Według czeskiego filmoznawcy Petera Vlčka Netflix nastawiał na polskiej scenie jednych przeciwko drugim. Powstawały też ponoć listy „niegrzecznych” artystów. Obecność na takowej miała oznaczać, że platforma więcej nie zaprosi tego kogoś do współpracy. Wracając jeszcze do Spotify, znany na całym świecie amerykański raper Snoop Dog podsumował ostatnio, ile zarobił po umieszczeniu tam swojej muzyki. – Ostatnio dowiedziałem się, ile zarobiłem za 1 mld odtworzeń na Spotify. Mój wydawca powiedział mi, że było to niecałe 45 tys. dol.

Użytkownicy serwisów streamingowych nie wiedzą, że z opłacanych przez nich abonamentów do ich ulubionych artystów często nie trafia nawet jedno euro. Według szacunków STOART, największej polskiej organizacji zbiorowego zarządzania prawami do artystycznych wykonań utworów muzycznych i słowno-muzycznych, ponad 50% wykonawców nie dostaje nic za korzystanie z ich muzyki w serwisach streamingowych. Nieco więcej niż co piąty dostaje ok. 100 euro rocznie. W tej sytuacji przestaje dziwić, że największe obecnie gwiazdy muzyki pop, takie jak Taylor Swift, chcą za bilety na swoje koncerty gigantyczne pieniądze (ceny na trybuny dolne na PGE Narodowym zaczynały się od 599 zł, płyta zaś od 519 zł). Podobnie dzieje się zresztą z biletami na koncerty wykonawców, którzy grają od dekad. By posłuchać na żywo Stinga, należy wydać 1-2 tys. zł. Można założyć, że zaporowe ceny biletów są pokłosiem spadku wpływów ze sprzedaży płyt i przeniesieniem się słuchaczy na platformy streamingowe. Pytanie, czy filmowcy i dziennikarze nie zdobędą się w ostateczności na podobny ruch. Wtedy dostęp do kultury i informacji stałby się w całości towarem wyłącznym dla wybranych.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

NAGRODA IBISA

Szansa dla młodych dziennikarzy

31 marca upływa termin zgłoszeń do II edycji Nagrody Młodych Dziennikarzy Warszawy i Mazowsza (zwanej w skrócie Nagrodą „Ibisa”). Nagroda została ustanowiona przez Zarząd Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej w 100. rocznicę urodzin Andrzeja Wróblewskiego „Ibisa”.

Patron nagrody, dziennikarz, krytyk muzyczny i językoznawca, związany był przez wiele lat z „Życiem Warszawy”.

O Nagrodę „Ibisa” – Doroczną Nagrodę Młodych Dziennikarzy Warszawy i Mazowsza mogą się ubiegać dziennikarze, którzy w roku edycji nagrody (czyli tym razem w 2023 r.) nie ukończyli 28. roku życia. Zgłoszenia kandydatów do nagrody przyjmowane są od redakcji mediów ogólnopolskich i mediów lokalnych. Kandydaci mogą także zgłosić się do konkursu samodzielnie poprzez wysłanie jednego swojego utworu na adres e-mail: sdrp.warszawa@dziennikarzerp.pl.

Formularz zgłoszeniowy dostępny jest na stronie:

www.dziennikarzerp.pl/2023/11/ii-edycja-nagrody-ibisa/





Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

OK, boomer

O tym, jak bardzo jestem odklejony od współczesności, dowiedziałem się po kilkudziesięciu minutach, które wstrząsnęły światem. Nie, że bym wtedy był pod ziemią albo pogrążony w lekturze lewitował gdzieś ponad powierzchnią, nie drzemałem też w to wtorkowe popołudnie, ba – siedziałem przy laptopie i jak zwykle pracowałem powoli (nie umiem inaczej) nad jakimś drobiazgiem, który przy szczęśliwych wiatrach może rozrosnąć się w wiekopomne dzieło. Sięgałem zatem do głębin internetu, aby sprawdzić to i owo, zerknąć na gola, któremu poświęcałem piłkarską ekfrazę, sprawdzić coś w słowniku gwary podhalańskiej lub np. upewnić się co do historycznej ścisłości obowiązku zdawania broni w stanie wojennym. Aż w końcu w ramach pauzy prokrastynacyjnej zająrzałem do wiadomości, które na czerwono alarmowały, że Ziemia przestała się kręcić na około godzinę. Nastąpiła globalna awaria Facebooka, Mety i Instagrama, której nawet nie zauważyłem. Gdybym był młodszy, uznałbym to za powód do hipsterskiej dumy, ale po pięćdziesiątce wcale mi nie jest do śmiechu – kiedy większa część ludzkości cierpi w tej samej chwili katusze, lepiej mieć tego świadomość.

Młodsze pokolenia straciły grunt pod nogami, pozbawione podstawowych komunikatorów odczuły to jak totalny blackout i wpadły w panikę, której skali nie potrafię sobie nawet wyobrazić. A to oznacza, że z większością ludzkości (albowiem zdecydowana jej większość jest ode mnie znacznie młodsza) trudno mi się będzie porozumieć. Nie zauważyłeś awarii? OK, boomer. Ale przecież scrolluję sobie Fejsa na kibelku, wysyłam wiadomości częściej przez Messengera niż SMS-em, mam nawet konto na Instagramie i wrzucam na nie czasem jakieś zdjęcia z górskich wędrówek... OK, boomer. Jako tzw. *late adopter* założyłem sobie nawet konto na modnej platformie Disney+ (OK...), ale nie znalazłem tam dla siebie niczego poza beatlesowskim skarbem Petera Jacksona – wielogodzinny materiałami z sesji „Get Back” (...boomer). Cokolwiek powiem na swoje wytłumaczenie, młodsza większość populacji w najlepszym razie

obdarzy mnie niezdolnie patronizującym spojrzeniem Paula na George’a, kiedy Harrison proponował swoje kawałki i bardzo łagodnie protestował przeciw dodawaniu do nich „ulepszeń”.

Niegdyś po kłótni z nastoletnią córką, pogniewany na krótko zablokowałem jej konto na FB, myśląc, że to taki odpowiednik „nieodzywania się” obrażonego ojca z naszych analogowych czasów. Gdybym wiedział, jak gwałtownie to przeżyje, w jakiej skali ten gest zostanie odczytany, nigdy bym się na to nie poważył – dla generacji zetek blokada konta to broń atomowa, to gorzej, niż gdybym ją spoliczkował, znieważył, wydziedziczył i bógwico tam jeszcze – córka to tymczasowe cyfrowe odłączenie przeżyła jak ciężką ranę, by nie rzec – śmierć kliniczną. Życie *unplugged*, poza siecią, jest dla nowych generacji ledwie pozorem istnienia – jak wampiry nie mają swojego odbicia w lustrze, bo nie są żywe, lecz nieumarłe, tak osoby „odłączone”, niepotwierdzające swojej egzystencji na bieżąco poprzez social media, to nie ludzie, lecz upiory (przeszłości). Postuję, więc jestem. Lecz czy ten kateryczny imperatyw bycia nie jest zwodniczy? Pomnę,

Życie poza siecią jest dla nowych generacji ledwie pozorem istnienia.

jak niegdyś byłem (brany za kogo innego) – tak bardzo byłem, że wydzwaniano do mnie pod byle pretekstem, abym komentował wydarzenia. Były to czasy, w których to górnicy palili opony pod Sejmem, a ja nie zaprzeczałem, że jestem (Ślązakiem), więc mnie dopytywano, co o tym sądzę. Dziś stadko czyży zleciało mi się na świerk pod oknem i piskliwie wyrażało protest przeciw nagłemu ochłodzeniu – żyłem tym bardziej niż protestami rolników i myśliwych. I nikomu nie musiałem odpowiadać na pytania, czy kiedy opony płoną, to już kraj płonie. OK, boomer. OK, leśny dziaders. OK, OK, upiorze. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeгляд.pl

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI



Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



Teatr Telewizji czeka reset

Wszystko wskazuje na to, że telewizyjna scena przeprosi się z „niesfornymi aktorami” i reżyserami



Tomasz Mitkowski

Za czasów świetności Teatru Telewizji można było oglądać takie spektakle jak „Związek otwarty” w reżyserii Krystyny Jandy (2000 r.).

Nie pierwszy raz w historii Teatr Telewizji ma przed sobą drogę feniksa. Przechył propagandowy i gorset kontrolny narzucony telewizji przez PiS udzieliły się też teatrowi małego ekranu, zawłaszczanemu na użytek bieżących potrzeb politycznych. Tylko reset może uchronić scenę telewizyjną przed ostateczną katastrofą.

Nie ma już powrotu do dawnej potęgi, do czasów, kiedy podczas emisji czwartkowych spektakli „Kobry” pustoszały ulice, a sąsiedzi zbierali się na wspólne oglądanie „Dam i huzarów” Fredry. Czasy się zmieniły, ale i w nowych okolicznościach Teatr Telewizji może mieć niemało do zaoferowania jako przestrzeń odświeżania kondycji człowieka, jego miejsca w świecie i historii, a choćby „tylko” rozrywki na możliwie najwyższym poziomie. To wciąż warte zachodu.

Nie wdając się w przydługie wywody historyczne, dość przypomnieć, że narodziny polskiej telewizji wiążą się z teatrem, że od teatru się zaczynała, z widowisk parateatralnych wylęgała się jej oryginalność i przyszłość, a potem, odklejając się od „matki”, powoli spychała Teatr Telewizji na plan dalszy. W szczytowym

okresie bywało tych widowisk (premierowych) rocznie ponad 150, w najgorszych latach – po kilka.

Rzecz poniekąd osobliwa, bo na pierwszy rzut oka tak być nie powinno, skoro wszyscy bez wyjątku prezesi TVP, niezależnie od sympatii politycznych, lubili chwalić się dobrem telewizyjnego teatru, a przy uroczystych okazjach to właśnie ten rodzaj produkcji windowali na szczyt misyjnych dokonań. Z drugiej

Teatrowi Telewizji zawsze najbardziej szkodziły polityka i ideologia.

wszak strony teatr spychany był do coraz mniej uczęszczanych pasm, zwłaszcza od czasu, gdy przychody z reklam zaczęły brać górę nad zobowiązaniami misyjnymi.

Najbardziej jednak szkodziły Teatrowi Telewizji – i to zawsze – polityka i ideologia. Uwikłanie projektów programowych w kampanie polityczne, edukację historyczną, stawianie żołnierzy „wyklętych”, pouczanie i przestrzeganie przed odszczepieńcami, zawsze na koniec od teatru telewizji odstręczało i w zasadzie

wszystkich rozczarowywało: i widzów, i politycznych mocodawców. Stąd podejmowane w schyłkowym okresie TVPiS nerwowe próby reaktywacji za pomocą m.in. powrotu do tzw. żywego planu, czyli realizacji spektakli na żywo, czy szukania niszowych pasm w TVP Kultura dla spektakli mniej wygodnych ideologicznie, ale mających dawać świadectwo niezależności. Gołym okiem widać było jednak prawicowy przechył repertuaru i skłonność do produkcji o bogoojczyźnianej wymowie.

Wahnięcia koniunktury teatralnej w telewizji publicznej łatwo zauważyć, obserwując dzieje Nagrody im. Stefana Treugutta, ustanowionej przez Klub Krytyki Teatralnej SDRP u progu XXI w. z myślą o wyróżnianiu twórców Teatru Telewizji. Była to w intencjach poniekąd nagroda „ratunkowa”, mająca wspomóc artystów w ich uporczywym trwaniu przy telewizyjnej scenie. Jednak okazało się, że już dwukrotnie w ostatnim dwudziestolecu przyznawanie tej nagrody musiało być wstrzymane z powodu spadającej produkcji, zarówno pod względem jakościowym,

jak i ilościowym. W ostatnich dwóch latach również doszło do zawieszenia tej nagrody – kapituła uznała, że nie bardzo jest za co i komu rozdać nagrody. To jeszcze jeden dowód pogłębiającego się kryzysu.

Cokolwiek by jednak wymyślano na Woronicza, aby temu zapobiec, scena telewizyjna była skazana na niepowodzenie z jednego choćby zasadniczego powodu – rozmaite niechęci personalne, niepisane, a czasem wprost wyrażane zakazy wstępu na antenę Teatru Telewizji dotyczące czołowych artystów, będących w sporze z polityką partii rządzącej, a z drugiej strony omijanie sceny telewizyjnej szerokim łukiem przez tych, którzy nie chcieli być utożsamiani z PiS, co musiało doprowadzić do kryzysu. Tak jak w czasach stanu wojennego, kiedy bojkot TVP wywołał pierwszy wielki kryzys Teatru Telewizji, z którego tak naprawdę nigdy już się nie podniósł, mimo energicznych działań co najmniej kilku dyrektorów, a zwłaszcza Jerzego Koeniga i Jacka Wekslera.

Powodów, które wywołały kryzys, jest jednak więcej, poczynając od faktycznej likwidacji redakcji Teatru Telewizji. W wyniku rozmaitych zawirowań i reorganizacji tak naprawdę rozpadł się zespół fachowców od teatru telewizyjnego, a nowo mianowany dyrektor Teatru Telewizji Michał Kotański, dyrektor Teatru Dramatycznego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach, nie otrzymał w schedzie po poprzednikach nawet pomieszczeń do pracy, które wcześniej teatrowi już odebrano, i odziedziczył zaledwie cztery osoby – niedobitki po niegdyś silnej redakcji i pionie produkcyjnym.

Tak więc poprzedni władze TVP doprowadzili Teatr Telewizji na krawędź przepaści. Nie da się przecież prowadzić tak ważnej i zasłużonej dla polskiej kultury instytucji bez zespołu i elementarnych warunków pracy. Dobrze o tym wiedzą nowy dyrektor i jego zastępca Wojciech Majcherek, lata całe związany z telewizyjną produkcją teatralną. Być może będzie to szczęśliwy mariaż, bo nowy dyrektor ma niewielkie doświadczenie w tej branży, choć wszystkim wątpliwym wypada przypomnieć, że wielu

poprzedników Kotańskiego nie było reżyserami, a jeśli nawet byli, to ich dorobek telewizyjny był nader wąty.

Pierwsze zapowiedzi, jakie płyną ze strony Kotańskiego, budzą pewną nadzieję. Przede wszystkim chce on odbudować redakcję i Agencję Kreacji Teatru TVP i zapewnić co roku produkcję co najmniej 35 nowych spektakli. Na razie nie ma mowy o bardziej szczegółowych planach poza zapowiedzią telewizyjnego zapisu głośnego spektaklu krakowskiego Teatru im. Juliusza Słowackiego i Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, musicalu „1989”, i obietnicy, że zarejestrowany zostanie również spektakl Mateusza Pakuły „Jak nie zabiłem swojego ojca i dlaczego tego żałuję”, będący koprodukcją kieleckiego Teatru Żeromskiego i krakowskiego Teatru Łaźnia Nowa, spektaklu, który dosłownie rozbił bank z nagrodami na wielu festiwalach i konkursach.

Nie da się prowadzić tak ważnej dla polskiej kultury instytucji bez zespołu i elementarnych warunków pracy.

Odbudowa pozycji Teatru Telewizji nie będzie jednak prosta. Wiadomo, że znacznie łatwiej psuć, niż budować. Oczywiście siłą przyciągającą do sceny małego ekranu są przeogromne zasoby archiwalne, kryjące prawdziwe skarby telewizyjnej produkcji, zapisy arcydzieł dramaturgii polskiej, współczesnej i klasycznej literatury obcej, potężne narzędzie edukacji kulturalnej, zresztą i wcześniej dość często wykorzystywane. To z pewnością atut sprzyjający odnowie, bo potwierdzający, że telewizyjna scena może być miejscem dzieł oryginalnych, broniących się swoim kształtem artystycznym.

Nowy dyrektor przebąkuje o możliwości odbudowy Teatru Młodego Widza. W przeszłości spektakle adresowane do dzieci i młodzieży stanowiły odrębny i trudny do przecenienia nurt twórczości: pojawiały się inscenizacje baśni, spektakle złożone z najślynniejszych wierszy dla dzieci autorstwa wybitnych poetów, w mistrzowskich wykonaniach, adaptacje książek dla młodych czytelników – fragmentów

i całości, wreszcie spektakle specjalnie dla telewizji pisane.

Do naprawy jest prawie wszystko. Kiedy co poniedziałek przeglądam zapowiedzi programu telewizyjnego w kablówce i widzę, że ok. godz. 21 będzie emitowane widowisko, muszę się głowić, co się za tym kryje, bo właściciel kablówki nie informuje ani o tytule, ani o reżyserze, ani nawet nie potrafi zaanonsować treści. Może to drobiazg, ale informacja o Teatrze Telewizji szwankuje, a to pierwszy warunek, żeby zainteresować widza.

Ale nawet najlepsza informacja niewiele zdziała, jeśli repertuar nie będzie atrakcyjny. Co to jednak znaczy? Łatwo powiedzieć, choć klucz do sukcesu jak zwykle leży w umiejętnym balansie z jednej strony, tytułów, tekstów oryginalnych i scenariuszy, a z drugiej – zespołu realizatorów, obsady, i reżyserów. Jednym słowem, ważna jest jakość propozycji. Wszystko wskazuje na to,

że Teatr Telewizji przeprosi się z „niesfornymi aktorami” i reżyserami, że sięgnie także do najzdolniejszych twórców młodszych generacji. W gruncie rzeczy na tym polegała siła spektakli telewizyjnych – poza rejestracjami produkcji poszczególnych teatrów ich znakomita część powstawała w telewizyjnych studiach, a przedmiotem podziwu były obsady. Trudno byłoby kogoś przekonać, że w ostatnich latach akurat obsady mogły stanowić o sile przyciągania do telewizyjnej sceny.

Nie chcę występować w roli Wujka Dobra Rada, bo sposobów na sformowanie atrakcyjnego repertuaru jest wiele, a inspiracje jest skąd czerpać. Polska wszak stoi festiwalami, na których wciąż objawiają się nowe talenty i pojawiają spektakle budzące żywe zainteresowanie. Polski teatr, choć może nie trzyma się tak mocno, jak w latach 70., nadal należy do żywo obserwowanych zjawisk w kulturze europejskiej. Skoro tak jest, naprawdę jest z czego wybierać. ■

Dziurawe kapsułki pamięci

Polska kultura, nauka i polityka
XX w. w oczach Andrzeja Dobosza



Sergiusz Michalski

Zawzięte polemiki wokół TVP przesłoniły w ostatnich latach publiczną percepcję działań niszowej stacji koncertu, czyli TVP Kultury. W tym zaś dziale TVP odbywał się w ostatnich latach swoisty festiwal Andrzeja Dobosza, ongiś figury życia kulturalnego w Warszawie. Dobosz był epizodycznym bohaterem filmów „Rejs” (1970) i „Trzeba zabić tę miłość” (1972), w których wykreował role przekornego, młodego intelektualisty. W 1974 r. wyjechał do Paryża i tam przez ponad 30 lat kierował własną księgarnią polską. Po wróceniu do kraju, przeszedł od środowiska „Tygodnika Powszechnego” do szeroko pojmowanych kręgów pisowskich.

Mając w styczniu trochę czasu, trawiony tęsknotą za młodzieńczymi latami spędzonymi na Krakowskim Przedmieściu sięgnąłem do zapisów na YouTube. Tam bowiem można znaleźć ponad 500 (!) czterominutowych „kapsułek pamięci” emitowanych w latach 2019-2022 przez TVP Kultura, w których Dobosz omawia spotkane na swojej drodze postacie PRL-owskiego życia kulturalnego, naukowego i politycznego. Prawie wszystkie prezentowane w tym cyklu osoby odegrały jakąś rolę czy to w życiu Dobosza, czy też w środowisku intelektualnym i kulturalnym, do którego młody Dobosz aspirował. Większości poświęcony jest jeden odcinek, lecz niektóre postacie prezentowane są w kilku odsłonach.

Powiem krótko: oglądanie dzieł po dniu kilkunastu portrecików jest bardzo pouczające i zaspokaja potrzeby nostalgiczne, przynosząc

drobne korzyści poznawcze. Problem stanowi raczej osoba prezentera – niezmiennie zadowolonego z siebie starszego pana, celebrującego natrętnie wszystkie role i przewagi swojej młodości. Co gorsza, przenosi on do tych filmowych portrecików nieznośną manierę cechującą wiele jego drukowanych minifelietonów, czyli brak puenty podsumowującej dyskurs. W dodatku wygłasza on sporo wątpliwych sądów. Brakowi nadzoru historycznego ze strony TVP należy np. przypisać absurdalne stwierdzenie o udziale Hitlera w warszawskim pogrzebie generała SS Kutschery w lutym 1944 r.

Jak już pisałem, Dobosz od prawie ćwierćwiecza sytuuje się na polskiej prawicy. Nie należy on jednak do jej ideologów, nieliczne deklaracje ideologiczne serwowane są jakby en passant i w małym tylko stopniu funkcjonują w przestrzeni publicznej. Dobosz stara się przede wszystkim prezentować pewien rodzaj staroświeckiego erudycyjnego konserwatyzmu. Ale wszystko to jest wymuszenie wystudiowane i przez to zbyt zrytualizowane. W połowie lat 60. Dobosz przybrał pozę „pustelnika z Krakowskiego Przedmieścia” i mimo upływu czasu ta rola, obecnie nieco inaczej akcentowana, kształtuje jego sposób postępowania i publiczny image. Poza perypatetycznego filozofa ma zaś przesłaniać fakt, że Dobosz przeważnie był nie twórcą, lecz tylko twórczym, by zacytować przewrotnie antynomie rozpropagowaną ongiś przez niego w legendarnym filmie „Rejs”. Tym bardziej musi śmieszyć, iż reklamowa zajawka serii „Z pamięci” mówi o nim górnolotnie jako o „współtwórcy środowisk kulturalnych”. Dobosz, z wyjątkiem może

filmowego epizodu około roku 1970, całe życie świecił światłem odbitym.

Zastanawiać musi, że ani w serii telewizyjnej, ani w esejach Dobosza wcale nie ma tak dużo kolorytu anegdotyczno-lokalnego z lat 1954-1980, kiedy to polskie życie intelektualne toczyło się w kilkunastu kawiarniach i lokalach istniejących na szlaku od ulicy Wiejskiej do Starego Miasta, a stołówka Związku Literatów Polskich w Domu Literatury przy placu Zamkowym stanowiła epicentrum tego świata. W tejże stołówce Dobosz stosował wyrafinowaną strategię przysiadania się do coraz to innych stolików, by nie uronić nic z zawirowań towarzyskich i politycznych. I co my z tego mamy? Słuchając prawie codziennie arcyzłożliwych uwag Antoniego Słonimskiego, Dobosz zapamiętał trzy, może cztery anegdoty, podobnie rzecz się ma w odniesieniu do innych postaci z warszawskich salonów. Dużo więcej lokalnego kolorytu PRL-owskiej inteligencji twórczej znajdziemy np. w wydanych w latach 90. zapiskach wybitnego krytyka Krzysztofa Mętraka.

W sumie więc olbrzymia seria „kapsułek pamięci” w wydaniu TVP Kultura jest czymś, co Anglosasi określiliby epitetem a *mixed blessing* (mieszane błogosławieństwo, czyli coś ma dobre i złe strony – przyp. red.). Jest to zamiar chwalebny, niekiedy frapujący, budzący też żywe uczucia nostalgii, ale zdecydowanie przekroczył możliwości fizyczne i intelektualne pewnego starszego już pana. Andrzej Dobosz został tu po prostu bezlitośnie wyeksploatowany do cna. Jakże krótka jest pisowska ławka ludzi kultury...

Prof. dr hab. Sergiusz Michalski jest emerytowanym profesorem historii sztuki

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Żabsy

Miało też potrafi pokazać się od dupy strony. Jakby nas chciało przestraszyć, wypchnąć na zewnątrz. Wyjeżdżasz w poniedziałek: słoneczne bulwary, uśmiechnięci ludzie, kwiaty w oknach pstrzą się i zielenią. Przyjeżdżasz we wtorek: mrok i mgła, pusto. Śmierdzi kurą, a droga tak się zawija, jakby chciała ciebie w siebie zawinąć. W taki właśnie wtorek przyjechałam do Gdyni: w powietrzu czuć było azot, mgła skracająca ulice i chyba mewy zdarzały się w powietrzu, bo kilka razy przylepiło mi się do policzka mokre pierze. Poza tym – ani żywego ducha. Groza i siarka.

Hotel pod wiaduktem. Pusto. Inni festiwalowicze na spotkaniu w muzeum. Żołnierze i robotnicy śpią na swoich piętach. Przez okno pokoju widzę potężny rozjeżdżony plac. Na środku toi toi, po prawej ceglana ruinka, z której coś wylatuje, bo coś tam się gnieździ. Za ścianą słyszę jęki, a może to pies ujada? Szybko opuszczam pokój. Myślę: w restauracji spotkam kelnera, uśmiechnie się do mnie jak człowiek do człowieka. Ale restauracja zamknięta. Wracam na górę zagłuszyć jęki telewizorem. W telewizji „Annabelle”. Jęki zagłuszają jęki lub tworzą superjęki – nie wiadomo. Na wszelki wypadek łykam tabletkę nasenną, którą myślę z lekiem antyhistaminowym, ale i tak zasypiam.

Budzę się rano ostrożnie, przygotowana na najgorsze. Gdybym miała siekierę, to od razu bym wyjęła, wystawiła ostrze. Ale nie mam, więc tylko załamam twarz rękami. Nic się nie dzieje. Pokój zalany słońcem. Ładnie pachnie kawą, chyba z dołu, ze śniadania. Jeśli się wychylić, za szybami widać morze: łagodne, połyskujące, brylantowoniebieskie. Dwa statki na horyzoncie. Za ścianą pomruki, szepty. Wyraźne zadowolenie. Chyba po prostu seks. Ten dzień jest łatwiejszy dla wszystkich. Schodzę na śniadanie, a tam festiwalowicze! Od razu włączam się w rozmowę. Przez kolejne dwie godziny leje się kawa i nie możemy odejść od stołu, aż nagle robi się za późno na wszystko. Dosłownie biegnę na górę – muszę przygotować się do spotkania. Przeczytałam mniej więcej wszystko trzy razy, ale nadal nie czuję się do końca bezpiecznie. Wreszcie kończę, zaraz piąta. Znaczą siedemnasta. Niedługo zaczynamy dyskusję. W powietrzu nadal azot, coś się utlenia, ale nie wiem co. Nie szkodzi. Tak dobrze nam się gada po drodze. Robię zdjęcia jak oszalała: bo jestem nagle zadowolona – z siebie, z nich; miło mieć przy sobie kolegów i koleżanki.

W muzeum na jednym z pięter natrafiam na wielkie, spłaszczone jajo. Jest srebrne, trochę jak z nowej „Diunny”. Głaszczę je. Może wylęgnie się z niego coś, co nas uratuje? Po prostu nas uratuje, jakoś tak bosko, że będzie dobrze ze wszystkim. Bardzo to jajo musiałam naelektryzować głaskaniem, bo na początku dyskusji wywaliło cały prąd. To znaczy całutki – w całym potężnym muzeum: i mikrofony się wyłączyły, i światła. A stało się to w momencie, kiedy pisarz Janusz Rudnicki chciał coś głośno powiedzieć; dziarsko, charyzmatycznie sięgnął po mikrofon i trzask. Po prostu musieli głośniejsze czytać.

Po spotkaniu przyszło świętowanie. W tym wieku bawimy się odpowiedzialnie, dlatego zamiast kolejnych kiełiszków (po 20! po 20!) kupiliśmy wina w Żabce. Rudnicki, jak wiadomo, zbiera żabsy, miał więc z zakupu dodatkową korzyść. Owszem, było zimno, ale za to jak w '98, no. Wtedy to były festiwale! Teraz też podobne osiągi – intelektualne! Alkoholowe! Literackie! Towarzyskie!

Rano chłodniej się patrzy na sprawy. Zakładanie nowego pisma, które wreszcie pokaże światu, co to jest awangarda, można odłożyć na później.

OK, rano chłodniej się patrzy na sprawy. Powołanie własnej nagrody (imienia Peipera) można odłożyć na później, podobnie jak zakładanie stowarzyszenia i nowego pisma, które wreszcie pokaże światu, co to jest awangarda. Filmy, które mieliśmy kręcić od zaraz, też można przerzucić na styczeń, podobnie jak wykrzyczenie światu, co się o nim myśli (światu i „tym wszystkim sk...synom”).

OK, rano zejście na śniadanie okazuje się prawdziwym wyzwaniem. A potem jeszcze przez chwilę człowiek chce błyszczeć przy śniadaniu. Już trochę blade i z pewnym wysiłkiem, ale zawsze. I w drodze na dworzec, kiedy nikt nie widzi, wetrzeć se maść na opryszczkę, naciągnąć czapkę na uszy i pożegnać Pomorze. Żeby pięć godzin później wjechać do Wrocławia, jak w tamten gdyński ponury wtorek: właśnie zaszło słońce. Wdeptana w beton guma do żucia puściła do mnie oczko. Ktoś sobie rzygnął pod drzewem. Walizka podskakiwała na bruku, a w niej telepało się pięć obiecujących książek. Nie przestraszyło mnie nic: ani pierwsze popołudniowe krople, ani ponaglące telefony. Ani banan szokująco czarny w kieszeni. Książki. Szłam z nimi prosto do łóżka. Przecież coś mi obiecały.

Rozmawia Małgorzata Czyńska

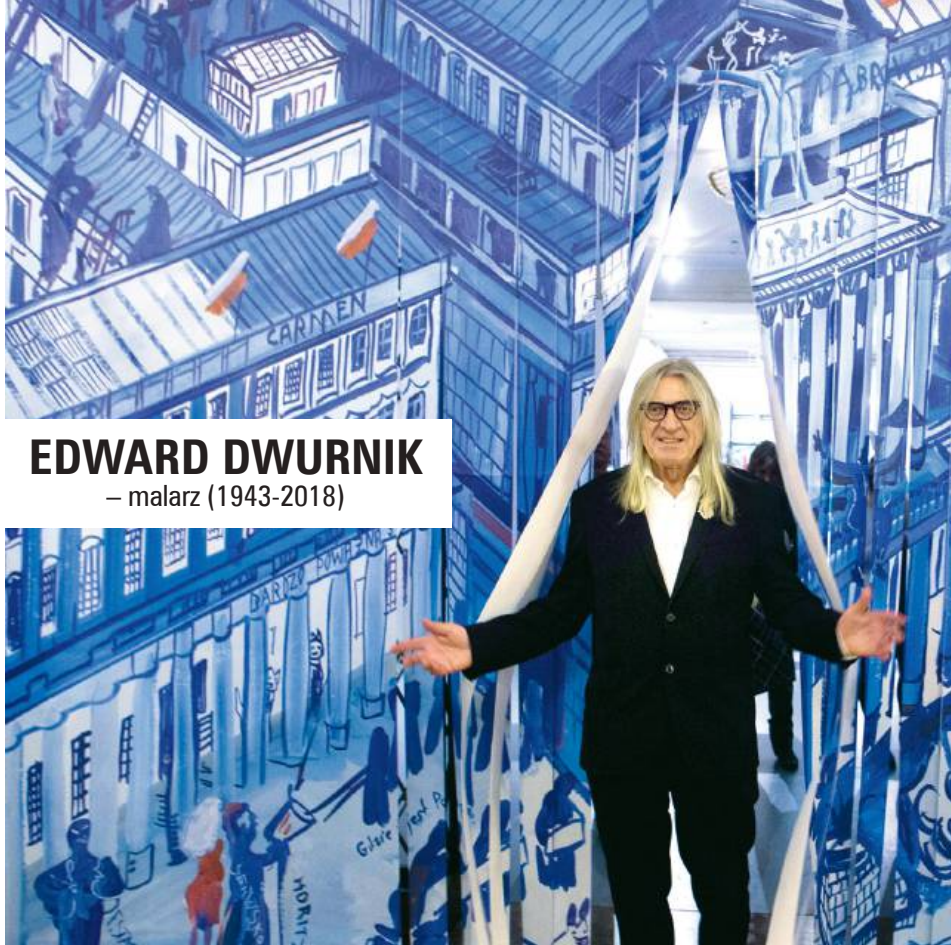
Malujesz poważne tematy – historię Polski, ludzką egzystencję, relacje damsko-męskie, miłość. O miłości nic nie powiesz?

– Łatwiej mi malować niż mówić. U mnie obraz jest formą wypowiedzi, malarstwo to mój sposób na życie i nie chodzi tylko o to, że to mój sposób zarabiania, nie – malując, komentuję rzeczywistość i wyrażam siebie. Tyle. Oczywiście mogę powiedzieć coś na każdy temat, o miłości też mogę, czemu nie. Zresztą to tak ważna sfera, że w szczerym wywiadzie na swój temat trudno ją pominąć, trudno udawać, że jej nie ma. Są jednak różne sytuacje życiowe, które wprowadzają mnie w ławy nastrój, w jakim jestem w tej chwili. (...) **Kiedy czyta się wywiady z tobą w kolorowych magazynach, wydaje się, że nie ma dla ciebie tematów tabu i że dziennikarz może cię zapytać o największe intymności, a ty nie wzdrygasz się przed odpowiedzią, więcej – chętnie nawijasz. Taka kreacja?**

– Tak, to pewna kreacja, choć odrobina prawdy zawsze jest w tym moim manipulowaniu, nawijaniu. Niedawno w wywiadzie dla „MaleMEN” powiedziałem, że zatrudniam trzech architektów, którzy robią mi podmalówki. A to nie architekci, tylko kto inny robi dla mnie podmalówki.

Przynajmniej nie ukrywasz, że ktoś robi ci podmalówki.

– No właśnie. Zaraz przyjedzie mój asystent i przywiezie mi jedną, chyba warszawską Starówkę. Podmalówka polega na wykonaniu fizycznej roboty, zwyczajnej harówki. Trzeba zrobić ustawienie urbanistyczne, a ludzie, którzy dla mnie podmalowują, starają się to wykonywać bardzo sumiennie, żadnej fuszerki nie puszczam. A ja to trochę zmieniam, wyciągam, wyrównuję albo przekrzywiam, jeśli jest za bardzo od linii. Później zaczyna się wzbogacanie, opowiadanie, cała narracja i kreacja obrazu. Ustawiam światło i tak manipuluję podmalówką, aż staje się absolutnie moja. Niektórzy radzą mi, żeby to trzymać w tajemnicy, że lepiej, by



EDWARD DWURNIK

– malarz (1943-2018)

Myśl leci, ja rysuję

Genialne prace powstają na ogół wtedy, gdy artyści jeszcze nie są w pełni świadomi swojego kunsztu

klient nie wiedział o moich pomocnikach itd. A ja mówię: sekretu nie robię, nikogo nie oszukuję. (...)

Od dawna uprawiasz ten proceder?

– To, że ktoś może za mnie robić podmalówki, odkryłem wiele lat temu. Moja kuzynka była w ciężkim stanie psychicznym, miała depresję. Skończyła ASP, więc namówiłem ją, żeby malowała dla mnie akwarele – proste motywy. Jej to poprawiło samopoczucie, a ja miałem piękne podmalówki. Bardzo mi teraz brakuje jej pomocy, bo wszystko muszę robić sam. O cholera, przecież już przyznałem, że mam pomocników. No dobra, korzystam z przywileju bycia dobrym artystą i mogę sobie

pozwolić na współpracowników. W historii sztuki to przecież normalna sprawa (...). Każdemu zdarzają się słabsze obrazy, moi współpracownicy jednak już się wyspecjalizowali. Zawsze się staram, żeby było porządnie, żeby klienta nie robić za bardzo w konia. Teraz już na każdej pracy są stempel i opis. (...)

Lubisz wkręcać dziennikarzy.

– Uwielbiam. Mam przy tym niezły ubaw. (...) Wkręcałem wszystkich głównie w kwestii swojego olewającego stosunku do kolegów malarzy. A to nieprawda, bo bardzo szanuję kolegów po piędzu. Wiem, że mają swoje problemy, wątpliwości, rozterki, a ja celowo się z tego śmieję,



żeby zmanipulować dziennikarzy, dać im pożywkę do pisania głupot. I mówię, że jest tylko trzech dobrych malarzy w Polsce, m.in. ja. Albo tylko ja. To strasznie wk... środowisko i pokazuje, że wszyscy traktują siebie bardzo serio. Zero dystansu. A malarz powinien mieć dystans wobec własnej twórczości, pewność siebie. Bez tego nie zbuduje się w obrazie szczególnego rodzaju napięcia. Szczerze mówiąc, uważam, że wcale nie jestem najlepszym malarzem, wręcz zazdroszczę wielu artystom ich rozwiązań, ich pomysłów. (...)

Komu zazdrościsz?

– Bardzo zazdroszczę np. Leonowi Tarasiewiczowi, to jest fantastyczny malarz. Ja nigdy bym się nie odważył na instalacje, a on realizuje całe potężne przedsięwzięcia. To w gruncie rzeczy jest dla mnie głupie i absurdatne, bo instalacje uznaję za błąd, a mimo to chciałbym tak samo. A obrazy maluje rewelacyjne. Kiedy zetknąłem się z Wilhelmem Sasnałem, trochę mu zazdrościłem wizji, umiejętności, że maluje tak, a nie inaczej. Taki był młody, przyjeżdżał do Warszawy z plecaczkiem

i z obrazami i sprzedawał je tu, a ja kupowałem je od niego. A potem zamalowywałem. Pamiętasz, na jego wystawie w Zachęcie w 2007 r., gdzie zresztą było wiele złych obrazów – ta wystawa przytrafiła się mu za wcześniej, kiedy jeszcze nie miał zaplecza – znalazł się jeden przepiękny obraz zatytułowany „Las”. Z 2002 r., kłębowski zieleni. Format malutki, a obraz dech zapiera. To jego bardzo znany obraz, na ogół wszystkim się podoba. W pejzażu umieścił jeszcze malutkie postacie ludzi. Tu chodzi o gest, o pędzel, którym namalował cały las, to mocno oddziałuje na odbiorcę. Tego obrazka straszliwie mu zazdroszczę. (...)

A jednak zamalowałeś obrazy Sasnała.

– Nie tylko jego! Bardzo lubię przerabiać obrazy chłopaków z Grupy Ładnie, więc oprócz Sasnała przemalowałem Rafała Bujnowskiego i Marcina Maciejewskiego. Lista zamalowanych jest długa, zaczynając od Andrzeja Wróblewskiego, Łukasza Korolkiewicza, Przemka Matckiego, o gorszych malarzach nie wspominając, a kończąc na zwykłych landszaftach. Własną córkę przemalowałem. Podarowała mi obraz

U mnie obraz jest formą wypowiedzi, malarstwo to mój sposób na życie. Malując, komentuję rzeczywistość i wyrażam siebie. Tyle.

i powiedziała: „Tato, możesz z nim zrobić, co chcesz”. To nie były słowa rzucone na wiatr, wiedziała, czym to grozi. Wylałem na jej obraz kubek farby, namalowałem abstrakcję. Ludzie pewnie uznają, że to świętokradztwo zniszczyć pracę dziecka, ale moje dziecko wie, co to znaczy być malarzem, mieć imperatyw pracy. Traktuję cudze obrazy jak podmalówki. To jest wygodne, bo najtrudniej malarzowi zacząć obraz. Moment, gdy stajesz przed pustym białym płótnem, jest cholernie trudny, pełen wątpliwości. A kiedy zamalowujesz, to sprawa jest o wiele prostsza, bo ktoś już coś przed tobą zaczął, coś zrobił, a ty to ciągniesz dalej, po swojemu.

I potem spotykasz się z zarzutami, że nie szanujesz cudzych prac, że jesteś bezczelny, arogancki i cham.

– To niech ci pokrzywdzeni przemalowują mnie, proszę bardzo, nie mam z tym problemu. Tyle że nawet jeśli mają mój obraz, to żal im zemścić się w ten prosty sposób i pojechać farbą po Dworniku. Raczej leć sprzedawać obraz w Desie Unicum i opowiadają na prawo i lewo, że duma im nie pozwala trzymać mojego obrazka w domu na ścianie. Taka to pozorna zemsta. Zawsze możesz mówić, że to, co robisz, to gest artystyczny! I powołać się na duńskiego artystę Asgera Jorna (1914–1973), który od 1959 r. domalowywał swoje motywy na pracach innych. Kupował na pchlich targach obrazy XIX-wiecznych artystów i wprowadzał „modyfikacje”. I też wszyscy się na niego oburzali, że nie uchodzi niszczyć cudzych dzieł. Jörn był fajny. Proponował dyrektorom muzeów, że uaktualni im zbiory. Kaczuski domalowywał, ja też lubię domalować kaczki, kotki, gęsi, psy. Można powiedzieć, że to dialog ze sztuką, z tradycją. Chętnie zrobiłbym wystawę zatytułowaną „Zamalowane obrazy”. I chętnie uaktualniłbym parę muzealnych kolekcji.

Nie żałujesz tych zamalowanych Sasnała i innych?

– Żałuję, że przemalowałem obraz Korolkiewicza. Tak go zachlapałem, że nic nie widać. Wróblewskiego może bym trochę żałował, bo uwielbiam jego malarstwo, ale przecież nie zastanawiam się nad tym. Wyrzuty sumienia to nie moja domena, musisz o tym pamiętać. Zresztą nie martw się, pod farbą nic nie ginie. Obraz Wróblewskiego kupił na aukcji Andrzej Starmach i powiedział, że zdejmie moją warstwę. Wolał Wróblewskiego ode mnie. Nie obrażam się. Jeśli miałem ostatnio jakąś artystyczną przyjemność, to na Wystawie Wróblewskiego w Muzeum Sztuki ▶

► Nowoczesnej. Najbardziej cenię jego rysunki i gwasze, również niektóre obrazy. Andrzej Oseka powiedział kiedyś, że Wróblewski nie umiał malować. Owszem, zdarzało się mu, że kiedy malował grupę kobiet, któraś z nich miała na przykład złe namalowaną stopę. Ale to właściwie musiało tak być. Jak inaczej miał malować, skoro tylko tak potrafi? Ja zresztą też miewam takie dylematy, kiedy maluję akt albo portret i stwierdzam, że jednak powinno być inaczej. Mówię sobie wtedy, że skoro już tak zrobiłem, to trudno, tak musi zostać. Na ogół nie chce mi się zmieniać. Chociaż czasem zmieniam. Kazi Szczuce w akcie przedłużyłem nogi o 20 cm. To znaczy, żeby było jasne, ona mi nie pozowała. To była moja projekcja. Ktoś mnie zapytał: „Dlaczego ona ma takie krótkie nogi? No ale skoro takie namalowałeś, to pewnie takie ma”. Przedłużyłem jej pęciny i teraz wygląda lepiej.

Którym artystom jeszcze zazdrościsz?

– Przede wszystkim moim idolem, dwóm Edwardom: Munchowi – to jest niesamowite zjawisko malarsko-graficzne, kupuję każdy jego album, jaki mogę dostać na



To były dobre obrazy?

– Świetne! Pejzaże, miejsca, w których Lenin mieszkał: Paryż, Poronin, widoki Tatr... Zakrzewski po prostu sobie jeździł i malował, władza mu to finansowała, a potem jeszcze dobrze sprzedawał swoje prace. Układ idealny, sam bym tak chciał, każdy by chciał. Wielu

zadziało. Pewien gość kupił ode mnie kiedyś obraz „Spalona wieś”, a potem wrócił i poprosił, żebym mu go wymienił na coś innego, bo nie może spać, tylko patrzy, czy gdzieś nie pojawia się ogień. Więc dałem mu inny obraz. A wracając do Wróblewskiego... Szkoda, że tak krótko żył, umarł w wieku 30 lat, podobno w niewyjaśnionych okolicznościach. (...) Podobnie krótki żywot miał Maksymilian Gierymski, brat Aleksandra. Taki fenomen twórczy występuje u ludzi przed trzydziestką,

przed czterdziestką – genialne prace powstają na ogół wtedy, gdy artyści jeszcze nie są w pełni świadomi swojego kunsztu. (...)

Kolorowe magazyny zrobiły z ciebie króla życia. Zależało ci na takim wizerunku czy to raczej kreacja mediów? Albo dla mediów?

– To jest moja zastona dymna, ucieczka. Łatwiej wejść w rolę celebryty, błazna niż opowiadać o życiowych wątpliwościach albo serio o pracy. (...) Zresztą zainteresowanie mediów to sprawa raptem ostatnich kilkunastu lat. Kiedy byłem w związku z Elżbietą Łebkowską, działaczką społeczną i biznesową, często bywaliśmy w tzw. warszawce, chodziliśmy na wszystkie wernisaże, premiery, byliśmy na widoku. A że Ela

Z klientami jest cała karuzela, bo niektórzy im więcej mają pieniędzy, tym bardziej się targują albo nie dotrzymują słowa.

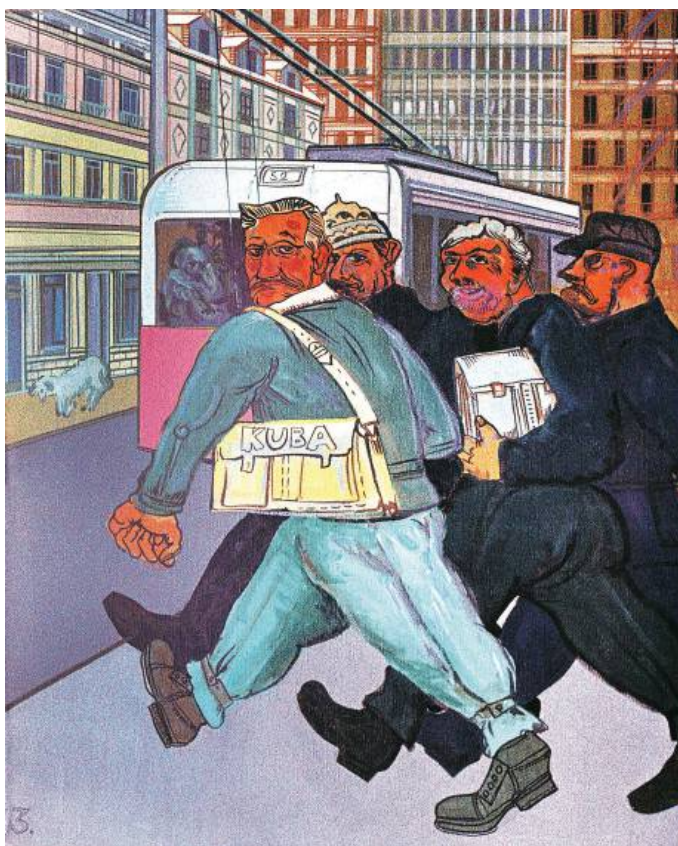
Zachodzie, w Polsce też. Drugi to Hopper (...) Najważniejszy jest Nikifor. Ceniłem Włodzimierza Jana Zakrzewskiego, który był propagatorem socrealizmu, malował bardzo dziwne rzeczy. Przywędrował do Polski z Armią Wojska Polskiego, robił plakaty – na jednym z nich ukuł słynne hasło: „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji”. Zrobił też duży cykl obrazów „Szlakiem Lenina”, które oczywiście były w zbiorach Muzeum Lenina. Kiedy w latach 70. pracowałem w Muzeum Lenina jako konserwator zbiorów, to znaczy chodziłem z gumką do mazania i ścierałem ślady paluchów po wycieczkach, oglądałem kilkakrotnie jego prace w magazynie i szczerze się nimi zachwycam.

utalentowanych malarzy zaliczyło romans z realizmem socjalistycznym, dla niektórych, np. dla Heleny i Juliusza Krajewskich, to był najlepszy okres twórczości. Lubię i cenię obrazy Krajewskich, Izaaka Celnikiera, Waldemara Cwenarskiego, Marka Oberlandera, Tomasza Gleba. Fantastyczne były sceny z robotnikami Gleba, jakieś zjazdy do kopalni i tym podobne. (...) Co do moich wzorców artystycznych, na pewno muszę wymienić jeszcze Picassa, którego rysunki zawsze śledziłem z ogromną uwagą i fascynacją. Jest moim mistrzem, jeśli chodzi o rysunek. (...)

Uśmiechasz się z rozmarzeniem.

– Patrzeć na takie obrazy to jest przeżycie. (...) Malarstwo bywa takie sugestywne! Nigdy nie wiesz, jak

„Stare Miasto”,
cykl „Warszawa”,
1993 r.



„Do pracy”, cykl
„Sportowcy”.

wszystkich znała, to gazetki zaczęły się mną intensywniej interesować i tak to trwa.

Malujesz 200 obrazów rocznie, w porywach nawet więcej. Wyobrażasz sobie życie bez malowania? Mógłbyś odcinać kupony od sławy i sprzedawać magazyny.

– Oczywiście, że tak mogłoby być, ale co bym robił? Nudziłbym się. Nawet kiedy ostatnio leżałem w szpitalu i czekałem na operację, to rysowałem cykl „Thanatos”. Myślałem sobie, że jeśli mnie nie wybudzą z narkozy, to zostaną pro-rocze rysunki o śmierci. Żartuję, po prostu rysowałem, bo lubię to robić. Zawsze lubiłem i nigdy nie wiedziałem, skąd przychodził temat. Myśl leci, ja rysuję. (...) Rysuję więc nawet na szpitalnym łóżku, może i na łożu śmierci porysuję. To by było ładne zamknięcie życia robotnika sztuki. Namalowałem jakieś 6 tys. obrazów. Prac na papierze, akwarel, rysunków, kolaży powstało z 25 tys.

Kilka lat temu w wywiadzie dla „Dużego Formatu” powiedziałeś, że jesteś księciem dużego państwa –

tyłe masz obrazów w magazynach, prac w szufladach. Pomyślałam sobie, że to idealnie do ciebie pasuje. Tytuł książki mógłby brzmieć „Dwurnik – książę dużego państwa” albo „Moje królestwo”.

– Lubię tak o sobie myśleć, tak jest. Mam w domu kilka magazynów wypełnionych obrazami, wielkie komody wypchane rysunkami, dwie pracownie i zawsze coś na warsztacie. Cenię porządek i systematyczność, obrazy mam zinwentaryzowane i odpowiednio poukładane w magazynach. Papiery przechowuję w bułgarskich metalowych komodach. Pierwszy raz zobaczyłem takie komody w Muzeum Lenina i normalnie na nie zachorowałem. Pod koniec lat 70. udało mi się takie zdobyć. (...) Tak, to jest moje państwo, moje królestwo. Jestem tu panem, księciem, królem. Nie odcinam kuponów od popularności, nie lenię się. (...)

Gdziekolwiek byś wyjechał, i tak malujesz plac Zamkowy. Ślad po egzotycznych wakacjach na twoich obrazach to surferzy pod kolumną Zygmunta.

– Byłem kiedyś miesiąc na Hawajach, na wyspie Maui. Widoki tam są przepiękne. Wyspa dzieli się na strefę pustynną i tropikalną. W jednej sucho i wszystko urządzone po amerykańsku, roślinność nawadniana, a w drugiej – wzgórza i las tropikalny, roślinność intensywna, rzeczki, strumyczki. I tam po prostu malowałem plac Trzech Krzyży i plac Zamkowy. Malowanie tamtejszego pejzażu, palm i fal, nie miało dla mnie sensu. Dobrze mi tam było, odpoczywałem, podziwiałem widoki, ale nie czułem żadnej potrzeby malowania ich.

Pewnie będziesz chciała, żebym wymienił swoje ulubione motywy. Mogę od razu to zrobić. Więc przede wszystkim plac Zamkowy. Kocham malować plac Zamkowy. Wycyliłem na oko, że tych obiektów na płótnie i na papierze jest ok. 500. Mam trzy tematy przewodnie: plac Zamkowy właśnie, Rynek Główny w Krakowie i ratusz w Poznaniu.

Ulubione, a przy okazji, nie ma co ukrywać, bardzo sprzedażne motywy. Nieźle na nich zarabiasz.

– Tak, właściwie tak. Mnie to cieszy, klientów cieszy. Obrazy dobre. Wszyscy są zadowoleni.

Jesteś systematyczny? Przez całe życie bardzo dużo malowałeś, pracowałeś non stop. Czy to wymaga dyscypliny?

– Tak, to był obłęd, kocioł twórcy, który trwał jakieś 40 lat. Gdy teraz czasem przeglądam swoje dawne rysunki, zastanawiam się, czy ja rzeczywiście to wszystko zrobiłem, tyle tego jest, i wszystko świetne. Miałem mnóstwo pomysłów i chciałem je natychmiast realizować. I nie chodziło o to, że tak bardzo zależało mi na wystawach; po prostu czułem wewnętrzną potrzebę malowania tych wszystkich codziennych przeżyć. Głowy z telewizorów, spotkania z ludźmi, audycje z Wolnej Europy – nasuwały mi pewne rozwiązania artystyczne, wykonywałem pewne czynności rutynowo, nie towarzyszyły mi żadne przesłania ani idee. Potem coś poprawiałem, niszczyłem, wycinałem, wklejałem do innego obrazu. W wielu z nich wykorzystałem kompozycje z „Podróży autostopem” albo z „Drogi”, zespołu dziesięciu obrazów tzw. świeckiego ukrzyżowania. Droga to historia ▶

► faceta, którego wciąż wiążą, aresztują. I on niesie krzyż. Do tego cyklu wklejałem fragmenty starych obrazów, np. piękne akwarele, a na nich malowałem grubą warstwą czarnej farby całą akcję. Takie formalne zabawy były mi potrzebne. (...)

Od jakichś 10 lat mam jednak – że tak powiem – dość wulgarne zamówienia, które muszę, krótko mówiąc, zrealizować, oddać w ręce zamawiającego, zainkasować pieniądze. Tylko patrzeć, jak przyjdą klienci z wielkimi oczekiwaniami, a ja mam raptem trzy

kupują teraz abstrakcje i moje stare prace z cyklu „Sportowcy”. Dojrze-li do tego. A nie tylko widoki miast. Wszyscy chcieliby miasta i miasta. Stąd ta moja produkcja obrazów z miastami. Wiesz, jak paskudnie ludzie nauczyli się mówić na moje miasta? Chcą domki. Pies ich trącał.

Z klientami jest cała karuzela, bo niektórzy im więcej mają pieniędzy, tym bardziej się targują albo nie do-trzymują słowa. (...) Mógłbym napi-sać instruktaż, jak sobie radzić z bu-cowatym klientem. (...)

Mówię, że jest tylko trzech dobrych malarzy w Polsce, m.in. ja. Albo tylko ja. To strasznie wk... środowisko i pokazuje, że wszyscy traktują siebie bardzo serio. Zero dystansu.

obrazy z miastami. Bo natychmiast wszystko sprzedają, już nie wyra-biam. Albo wpadnie zaprzyjaźnio-ny Wojtek Tuleya i coś mi ze ścian pościąga, żeby to wstawić do Galerii Art. Ja chowam, on wyciąga. (...) Ma oko do obrazów, zabiera najlepsze. Zrobił mi kilka wystaw z pięknymi ka-talogami. Potrafi przekonać ludzi do moich obrazów programowych, a to wcale nie jest łatwe. Inni galerzyści boją się tych prac i nie chcą nimi handlować. Wydają im się za trudne, aestetyczne (...). Dobrze, że ludzie

Łatwo ci zarzucić rutynę, choćby dlatego że namalowałeś setki wido-ków placu Zamkowego.

– Czyli zrobiłem to, co lubię i za co mi dobrze płacą! Pamiętaj, że mam dwa kanały twórczości – komercję i program. Pierwszy pozwala mi zaj-mować się drugim. Ale serio, wracając do rutyny... Co innego umie-jetność, łatwość malowania, a co innego rutyna. Co to jest rutyna? To jest np. powtarzanie pewnych gestów. Moja koleżanka jeszcze z czasów akademii, Lidia Serafin,

malowała po przekątnej. Nie umiała inaczej. Wszyscy mówili Lidce, żeby wzięła pędzel do drugiej ręki, żeby nie układała jej wciąż tak samo jak szpachli. (...)

Czy serie abstrakcji lub aktów były dla ciebie próbą odświeżenia podejścia do malarstwa? Przecież mógłbyś w kółko malować „Auto-stopy” albo „Sportowców”.

– No właśnie, mógłbym codziennie to robić, nic nie zmieniać, pielęgnować tę fantastyczną rutynę. Malowa-łem także dużo podobnych do siebie pejzaży. Abstrakcja to bardzo cieka-wa przygoda. Dorastałem do niej kilkadziesiąt lat. To jest szale-nie trudny kierunek, ale oczywiście wydaje się bardzo łatwy, niby każdy potrafi to malować.

A już na pewno komentować.

– Tak, najłatwiej zobaczyć w abs-trakcji coś. Tak jak złośliwcy widzieli w abstrakcjach Jacksona Pollocka risotto albo makaron. A abstrakcja polega na tym, że nie odnosi się do realiów, nie przypomina czegokol-wiek, bo wtedy przestaje już być abs-trakcją i nie spełnia swojej funkcji, która sięga do innych uczuć człowie-ka, innych receptorów. Do pokładów wrażliwości lub jej braku.

A odżegnywałeś się od abstrak-cji. W połowie lat 80. w wywiadzie udzielonym Elżbiecie Dzikowskiej powiedziałeś: „Ja nie zostanę nigdy abstrakcjonistą albo kolorystą, to byłoby samobójstwo. Zawsze będę tworzył w ramach realizmu (...)”.

– No to od kilkunastu lat popeł-niam powolne i piękne samobój-stwo. Po wielu latach tej pieprzonej narracji, której zawdzięczam życie i dorobek, tak mi się znudziło ma-larstwo realistyczne, tak miałem dość tych japo, że abstrakcja okaza-ła się wyzwoleniem. I jednocześnie wyzwaniem, bo cały czas każe być czujnym, obraz cały czas mówi ci: „Jeszcze” albo „Sprawdź” (...).

Fragmenty książki
Małgorzaty Czyńskiej,
Dwurnik. Robotnik sztuki,
Marginesy, Warszawa 2023



Te mamy nas potrzebują

Ми потрібні цим мамам



www.pmm.org.pl

 Polska Misja
Medyczna

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie

KURTYNA W GÓRĘ

Stuhr gra Stanisławskiego

Stanisławski przychodzi do Stalina, żeby ocalić trzech artystów: Meyerholda, Bułhakowa i Erdmana. Zapłatą ma być prywatna lekcja metody aktorskiej udzielona Stalinowi. Dla Jerzego Stuhr'a rola Stanisławskiego w świetnym dramacie Tadeusza Słobodzianka to podsumowanie drogi aktorskiej, a przede wszystkim pedagogicznej. Zapowiada on, że to już ostatnia jego rola. Spektakl jest triumfem dojrzałego aktorstwa, demonstrowanego m.in. w lekcjach mowy ciała udzielanych tyranowi.

Stuhr'a wspiera cała obsada: Jacek Braciak jako niejednoznaczny Stalin, Łukasz Garlicki jako sprzedajny krytyk i Paweł Ciołkosz w roli sekretarza satrapy. Powstało przedstawienie zwarte, precyzyjnie zbudowane, które rozpoczyna się w chwili, gdy pierwszy widz wchodzi na widownię. Z pewnością zauważa drobną, skuloną postać mężczyzny siedzącego na krzeselku tuż przy proscenium. To Jerzy Stuhr, trudny do rozpoznania, niemal nieobecny, zagubiony, jakby uszło z niego powietrze. A właściwie to Stanisławski grany przez Stuhr'a, który przygotowuje publiczność na spotkanie z gasnącym Mistrzem, podejmującym kolejną grę. Jak w teatrze. Jak w życiu.

Tomasz Miłkowski



Tadeusz Słobodzianek, „Geniusz”,
reżyseria Jerzy Stuhr, Teatr Polonia,
premiera 22 lutego 2024



Aleksander Fredro, „Zemsta. Dell'arte”,
reżyseria Matteo Spiazzi,
Teatr Gry i Ludzie w Katowicach,
premiera 27 września 2023

Zemsta po włosku

W związku z rokiem fredrowskim w repertuarach krajowych scen nastąpił prawdziwy renesans dzieł hrabiego. Wśród licznych inscenizacji „Zemsty” trudno jednak odnaleźć propozycję naprawdę oryginalną. Do wyjątków należy spektakl katowickiego Teatru Gry i Ludzie. Włoski reżyser Matteo Spiazzi wystawił sztukę Fredry w konwencji komedii dell'arte. Ten prosty w gruncie rzeczy zabieg okazał się zaskakująco udany. Opowieść o miłosnej intrydze i sąsiedzkich swarach, stanowiąca bezlitosną satyrę na sarmackie obyczaje, dobrze współgra z rytmem i poetyką włoskiej komedii ludowej wraz z jej charakterystycznymi figurami. Zwaśnionych Starców odgrywają tu Cześnik (Karol Gaj) z Rejentową (Anna Stępień), pyszałkowatego Kapitana Papkin (Michał Piotrowski), a sprytną Kolombinę odnaleźć można w postaci Podstoliny (Anna Kandziora) i Klary (Katarzyna Dudek). Siłą widowiska prócz dobrego zespołowego aktorstwa jest warstwa wizualna. Prostą scenografię (Maciej Nogiec), którą tworzy wysoka, szara ściana, pełna zmyślnie rozmieszczonych drzwi, przełamują efektowne kostiumy (projektu Anny Kandziora) oraz maski (odpowiada za nie Roberto Maria Macchi) i peruki (Matteo Corsi).

Michał Centkowski

MIĘDZY OKŁADKAMI

NA POWAŻNIE

Robert Thorogood
Klub miłośników zbrodni

tłum. Ewa Horodyska

Znak koncept, Kraków 2024

Cosy crime, dosłownie przytulna zbrodnia – absolutny oksymoron. A jednak, gdy podążamy za panną Marple, inspektorem Jurym Marthy Grimes albo przyjaciółmi z osiedla dla seniorów u Richarda Osmana, skupiamy się na zagadce, jaką stanowi morderstwo – na ogół niejedno – a nie na jego drastyczności. Miła dla oczu duszy jest też sceneria, ze szczególnym uwzględnieniem angielskiej prowincji. U Brytyjczyka Thorogooda mamy rezydencje nad Tamizą, w której letnimi wieczorami główna bohaterka zażywa dyskretnych kąpeli w stroju Ewy. Jak tu się rzucić, usłyszawszy odgłosy sugerujące zabójstwo, na ratunek lub w pogoń za sprawcą... Trzeba się zdać na intelekt, a ten u 77-latkę układającej krzyżówki jest w doskonałej kondycji. Judith zyska zresztą wsparcie lokalnej pastorek i wyprowadzaczki psów. Sympatyczne trio, sporo humoru, ale i przewrotności.

Aleksandra Pańko

Halka bez góralskich
tańców

Dwuaktowa opera „Halka” pokazuje arogancję świata biznesu wobec osób z kręgu subkultury młodzieżowej. Pstrokaty hipis ze swoją dziewczyną nie mają wstępu na elegancki bankiet. Więcej do powiedzenia mają ochroniarze. Uczucia niepoparte pieniędzmi czeka wzdarga. To już druga, całkiem współczesniejsza opera „narodowa”, po wiedeńskiej inscenizacji z 2019 r. Czy to przedstawienie też wyjedzie w świat?

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Moniuszko, „Halka”, wersja wileńska, kierownictwo muzyczne
Dawid Runtz, reżyseria Wojciech Adamczyk, Polska Opera Królewska,
premiera 17 lutego 2024



Kolumnę przygotowała
Agata Gogotkiewicz

Protokół chiński, czyli kto usłyszy głos zza szyby

Najbardziej przejmująca była historia matki,
której nie wpuszczono do umierającej córeczki

Anna J. Dudek

Twoja córka urodziła się na początku pandemii, ale nie została z nią rozdzielona. Skąd więc pomysł na „Głos zza szyby”, film o noworodkach – głównie wcześniakach – w trakcie pandemii koronawirusa zabranych rodzicom, którzy często nawet nie mogli ich zobaczyć?

– Moja córeczka rzeczywiście urodziła się na początku pandemii, ale zanim zamknięto granice. Mimo wszystko kluczowe jest tutaj miejsce – urodziłam ją w Wielkiej Brytanii. Tutaj, w przeciwieństwie do Polski, cały czas dbano o kontakt matek, w ogóle rodziców, z dziećmi. Mała była w inkubatorze przez pięć dni po porodzie, ale miałam do niej dostęp, codziennie z nią byłam. Mogłabym z nią być również, gdyby był już lockdown. Nikt siłą nie wypisałby mnie ze szpitala bez dziecka. Nie miałam pojęcia, co się dzieło w Polsce, ale po kilku miesiącach dotarły do mnie informacje, że matki często nie miały możliwości bycia z nowo narodzonymi dziećmi.

Współczułaś?

– Patrzyłam na moją córeczkę, wyobrażałam sobie, co przechodziłabym ja i co czułaby ona, gdybyśmy nie mogły być razem. Nie mogłam uwierzyć, że to możliwe, trudno mi było sobie wyobrazić ból tych matek i nie rozumiałam, dlaczego nikt o tym nie mówi głośno. Zaczynając pracę nad filmem, nie zdawałam sobie sprawy ani ze skali zjawiska, ani z tego, jak długa i samotna będzie to dla mnie droga.

Ile rodzin zostało w ten sposób rozdzielonych, kiedy szpitale sparaliżowane były covidem?

– Tak naprawdę nikt tego nie policzył, bo tego tematu – cierpienia



GLORIA KURNIK

– autorka filmu dokumentalnego „Głos zza szyby” o matkach rozdzielonych z noworodkami w pandemii

kobiet i dzieci – po prostu nie było w przestrzeni publicznej. Na pewno tysiące matek i dzieci, być może dziesiątki tysięcy. Po prostu nie ma danych na ten temat. W filmie wypowiedziała się Joanna Pietrusiewicz, szefowa Fundacji Rodzić po Ludzku, która mówi wprost, że w pewnym momencie pandemii to były wszystkie dzieci w szpitalach: chore noworodki, wcześniaki, pacjenci pediatrii. Teoretycznie aktualizowano zalecenia, ale wszystko zależało od decyzji dyrektora konkretnej placówki. Mógł pozwolić albo nie.

Te procedury dotyczyły wyłącznie szczególnych przypadków, chorych dzieci?

– Do tego wszystkiego wiele zdrowych mam i ich zdrowych dzieci zostało rozdzielonych z powodu obowiązującego w Polsce tzw. protokołu

chińskiego, który miał ograniczyć kontakt mam zakażonych koronawirusem z ich noworodkami. W wielu miejscach wystarczyło podejrzenie koronawirusa, a dziecko zabierano. Ale trzeba podkreślić, że były też pojedyncze szpitale, które do tego się nie zastosowały.

Co to takiego ów protokół chiński?

– Polska naśladowała procedury, które wprowadzono w Chinach po wybuchu pandemii. Czyli jeśli było podejrzenie koronawirusa u matki – a pamiętajmy, że na początku pandemii na wyniki testu trzeba było czekać 24 lub nawet 48 godzin – bez dyskusji robiono cesarskie cięcie, nawet jeśli nie było ku temu wskazań medycznych. Po cesarce od razu zabierano matce dziecko, oboje osobno czekali na wyniki testów. W dodatku nie pozwalano kobietom, które miały podejrzenie wirusa, karmić piersią. Były też szpitale, które rutynowo testowały wszystkie rodzące i nawet jeśli te kobiety nie miały żadnych objawów, i nie miały pojęcia, że miały koronawirusa, w przypadku pozytywnego wyniku dzieci były im zabierane.

Jeśli chodzi o dzieci w szpitalach, o których wspominałam na początku, również wcześniaki, w pewnym sensie też podążyliśmy za Chinami – choć początkowo nie byliśmy tu aż tak odosobnieni na świecie. Zamknęliśmy oddziały jak twierdze, głównie przed rodzicami. Ale nie było to już częścią protokołu chińskiego, który odnosił się do mam chorych na covid.

Ale zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia były inne.

– WHO uważała, że nie ma potrzeby izolowania mam zakażonych od ich nowo narodzonych dzieci czy robienia cięć cesarskich tylko ze względu na zakażenie koronawirusem. Proponowała



jedynie, aby karmienie piersią odbywało się przy zachowaniu pewnych środków ochronnych, jak maseczki. Według ekspertów potencjalne ryzyko związane z koronawirusem jest mniejsze niż ryzyko szkód, w tym traumy rozdzielania, które można wyrządzić i matce, i dziecku, stosując protokół chiński. Eksperci WHO uważali, że mimo wszystko najważniejszy jest kontakt matki z dzieckiem.

To, o czym mówisz, wpisuje się w zjawisko przemocy okoloporodowej w Polsce, które wynika z wieloletniego nawyku ignorowania praw kobiet, w tym rodzących, które teoretycznie są chronione.

– Z tego, że „Głos zza szyby” jest tak naprawdę częścią większej opowieści o przemocy wobec kobiet, zdałam sobie sprawę w trakcie zdjęć i rozmów zarówno z bohaterkami mojego dokumentu, jak i ekspertkami oraz ekspertami. To, co tak wiele szpitali zafundowało dzieciom i matkom, nie wydarzyło się w próżni, ale było efektem działania systemu naczyń połączonych.

W Polsce poród jest nadmiernie zmedykalizowany – wykonuje się tu o wiele za dużo cesarek, co wynika często z rekomendacji lekarzy, ale także ze strachu kobiet przed porodem naturalnym. Doświadczenia kobiet na porodówkach wciąż są traumatyczne. W pandemii wszystkie te praktyki, powiedziałabym nawet patologie, zostały zintensyfikowane. W filmie jedna z mam opowiada, że chociaż u niej nie było wskazań do cesarki, zdecydowano za nią.

W dodatku musiała czekać, aż lekarz będzie ciął inne kobiety, żeby ciachnąć wszystkie za jednym zamachem. Nie opłacało mu się przywdziewać kombinezonu dla jednej. Muszę podkreślić, że Polska była jednym z niewielu krajów, w których stosowano takie praktyki, sprzeczne z zaleceniami i wytycznymi WHO.

Która z historii bohaterek była dla ciebie najtrudniejsza?

– Bohaterkę zaczynałam szukać dość nieśmiało. Kiedy opublikowałam posty w mediach społecznościowych i nie było odzewu, uznałam, że może jednak skala nie jest aż taka duża. Ale postanowiłam to sprawdzić, czytałam posty kobiet na różnych grupach i odzywałam się do nich. Niewiele odpowiedziało, niewiele chciało rozmawiać. Myślałam, że to było dla nich zbyt trudne. Pewnego dnia skontaktowała się ze mną kobieta, której córeczka umarła. Nie była dzieckiem covidowej mamy, nie była wcześniakiem. Miała wadę serca. Kiedy zaczęły się zakazy odwiedzin, ta dziewczynka miała sześć miesięcy. Mama nie mogła do niej przyjść przez trzy tygodnie. Nie wpuszczono jej, kiedy ta malutka dziewczynka umierała. Wtedy pomyślałam, że ten film musi powstać, nawet jeśli będę jedyną osobą, która go obejrzy. Dla niej. Dla tej matki, która nie mogła być przy dziecku, kiedy umierało. Ta matka powiedziała mi, że opowie swoją historię. Tylko raz. Nie zgodziła się na nagranie. Była tylko – i aż – potworna opowieść. Na więcej nie miała siły.

W jaki sposób te szpitalne praktyki wpływały na ojców?

– Bohaterkami są kobiety, bo to one były izolowane, samotne, przeżarte, ale cierpieli też ojcowie. Całe rodziny, bo przecież więź z dzieckiem buduje się od początku, dlatego tak ważne jest kangurowanie, kontakt skóra do skóry, czas z dzieckiem. Mężowie, partnerzy w ogóle nie byli wpuszczani do szpitali. Czekali na zewnątrz. Kiedy już później w wielu miejscach zostały umożliwione kilkunastominutowe odwiedziny, np. raz na tydzień, bywało, że jeśli dziecko zostawało w szpitalu – mówimy głównie o wcześniakach – ojcowie odstępowali swoje „wizytacje” matkom. Mówili: ty już masz więź z dzieckiem, idź. Oboje rodzice nigdy nie mogli być przy dziecku jednocześnie. Poznałam też historie ojców, którzy w ogóle do dzieci nie chcieli wchodzić, nawet zobaczyć, bo bali się, że natychmiast się przywiążą. Bali się cierpienia z powodu rozłąki. Tata dziecka, które spędziło w szpitalu pół roku, nie widział syna ani razu przez ten czas. Najgorsze jest to, że nikt nie wyciągnął wniosków i jestem pewna, że gdyby wirus uderzył jeszcze raz, byłoby tak samo.

Wkrótce pokazujesz film na festiwalu. Wiążeś z nim jakieś nadzieje?

– Mam jedną nadzieję – że to się już nie powtórzy. Że już nikt z powodu odgórnych, nietrafionych decyzji, nie będzie musiał tak cierpieć. Ale nic niestety nie zmieni się bez zmiany prawa. Przy okazji chcę też podkreślić, że to nie jest film wyłącznie o tym, co się działo w pandemii. To obraz tego, jak wygląda sytuacja kobiet na polskich porodówkach oraz tego, jak ogromny jest rozdźwięk między standardami światowymi i polskimi. Chciałabym, żeby zaczęła się dyskusja na ten temat. Do tej pory ten bolesny temat jest spychany, nikt się nim nie interesuje. A bez mobilizacji społeczeństwa nic się niestety nie zmieni. Mogę więc tylko mieć nadzieję, że w końcu te historie poruszą sumienia, dorośniemy do rozmów o tym, stanimy murem za mamami i zmienimy prawo. Wtedy już nikt nie będzie musiał przez to przechodzić. ■



Maciej Cmoch

Trzy drzewa rosnące na przeciwległym brzegu zdawały się inne niż pozostałe. Wyglądały trupio. Trupio blade drzewne zjawy. Kostropate i ogołocone z liści. Co prawda, z racji zaawansowanej jesieni, wszystkie inne też były bezlistne, ale te wyglądały wyjątkowo martwo – nawet jak na listopad. Na trupich drzewach przesiadywały kormorany. W nocy na nich spały, a w dzień odpoczywały po łowach. Było ich ok. 30 i koczowały na tym odcinku rzeki od lata. Upatrzyły sobie te trzy drzewa i kilka miesięcy wystarczyło, by swoimi żrącymi odchodami zamieniły je w białe upiory, pozostawiając w krajobrazie wyraźny ślad swojej obecności. Coś jak podpis: „Tu byliśmy – kormorany”.

W bużańskim nurcie ptaki łapały ryby, sprawnie i wytrwale nurkując. Raz widziałem, jak kormoran wyciągnął sumę. Ryba zdawała się niewiele mniejsza od ptaka, ale ten bez problemu ją połknął. Innym razem stałem się świadkiem polowania zbiorowego. Stado kormoranów płynęło tyralierą w górę rzeki i co chwilę któryś z ptaków nurkował. Wyciągnąwszy jakąś sztukę, musiał prędko uchodzić z nią na bok, bo reszta grupy od razu do niego doskakiwała, chcąc odebrać połów. (...)

Od wędkarzy słyszałem, że to jeden z odcinków Bugu, gdzie można

Nocą na ryby wyruszają wydry. Łapią je pod wodą, gdzie pod względem zwinności i szybkości nie ustępują swoim ofiarom.

spotkać najwięcej ryb. Może dlatego kormorany upatrzyły sobie to miejsce? A skąd przyleciały? Z Mazur, gdzie znajdują się ich główne siedziby. Tam na jeziornych wyspach ptaki te tworzą wielkie kolonie, gwarne ptasie miasta, gdzie stoją całe kępy martwych drzew dźwigających na swych białych konarach czapy gniazd z patyków.

Bug musi być niezwykle atrakcyjny dla tych rybożerców, skoro ptaki opuściły krainę tysiąca jezior i postanowiły łowić na meandrycznej rzece płynącej przez rolniczą nizinę. (...) Jesienią widziałem też nad Bugiem rybołowia. Krążył leniwie nad zakolem rzeki, unosząc się na swoich smukłych, niemal mechanicznych skrzydłach. Bug był dla niego jedynie przystankiem w podróży na zimowisko. Podczas moich jesiennych wizyt nad tym rybnym odcinkiem obserwowałem również czaple – siwe i białe – cierpliwie czekające nad brzegiem na zdobycz. Czekali na nią także wędkarze. Z racji maskujących strojów i nieruchomej pozycji czasem trudno ich było dostrzec z daleka. Pod osłoną nocy polowały zaś wydry. Wiem to, bo nieraz odnajdywałem ich odciski w błocie tropy. Wszyscy – w dzień i w nocy – dybali na ryby. I zdaje się, że dla nikogo ich nie brakowało.

Na ryby

W Bugu i jego starorzeczach występuje nawet ponad 50 gatunków ryb

W Bugu (i jego starorzeczach) występuje ponad 40 (a według innych szacunków nawet ponad 50) gatunków ryb. Wędkarze łowią najczęściej leszcze, płocie, szczupaki i karpie. Nierzadko wyciągają też krąpie, sandacze, okonie oraz sumy. Różnorodność ryb wynika z różnorodności środowiska nieuregulowanej rzeki. Spójrzmy choćby na takie starorzecza połączone z Bugiem – dla niektórych gatunków stanowią one dobre tarliska, dla innych miejsca podchowu narybku czy kryjówki dorosłych osobników. Podobne funkcje pełnią dolne odcinki dopływów. Główny nurt Bugu jest wartki i nieprzewidywalny. Przerzuca się raz na jeden brzeg, raz na drugi. Formuje ławice piasku i nieustannie je przesuwają. Dno jest niestabilne. Ale tam, w samym sercu rzeki, w jej wartkich odmętach również kryją się ryby. Siedzą w wyżłobionych siłą wody dołach poniżej piaszczystych przykos.

Ryby są podstawą rzecznych ekosystemów. To dzięki nim mogą je zamieszkiwać przeróżne inne stworzenia – od małych zimorodków po wielkie i smukłe czaple czy majestatyczne bieliki. Każdy szuka czegoś innego. Zimorodki łapią rybki małe, o długości wynoszącej średnio 7,5 cm: płotki, uklejkę, okonki, szczupaczki. Ptak często ogłusza złapaną rybę, uderzając ją kilka razy o konar, aby mu nie fikała w gardle. Zimorodek zanurza się zazwyczaj na głębokość nieprzekraczającą 25 cm, ale to

wystarcza, aby całe jego ciało zniknęło na moment pod powierzchnią. Uderza z pluskiem, robiąc ze swojego korpusu i masywnego dzioba pocisk – podwodną torpedę. Zimorodek jest mocny i dziarski, a jednocześnie mały i błyszczący jak klejnocik, latająca nadwodna biżuteria. Angielska nazwa *kingfisher* (królewski rybak?) dobrze do niego pasuje.

Za rybami nurkują też nurogęsi opływowe jak bolidy. Tak je czasem w myślach nazywam, kiedy widzę, jak nisko i szybko suną nad wodą. Na dziobach mają coś na kształt rzędu ząbków, które umożliwiają im pewne chwytanie śliskich ryb. Większe ofiary połykają na powierzchni, mniejsze zaś od razu pod wodą. Zdarza się, że podobnie jak kormorany polują zbiorowo, zwłaszcza na zimowiskach. Nietypowa kaczka z tej nurogęsi – lęgnie się w dziuplach, norach lub pod wykrotami. Dlatego w czas lęgów zasiedla naturalne i zalesione odcinki rzek.

Spośród łowców ryb chyba najbardziej rzucają się w oczy czaple, gdy nieruchomo stoją nad brzegiem lub leżą na łukowato wygiętych skrzydłach ze zwiniecią w kształt litery S szyją. (...) Czaple są świetnie przystosowane do łapania ryb. Wystrzałem długiej szyi i kłapięciem potężnego dzioba potrafią w ułamku sekundy pochwycić ofiarę. Złapana ryba często jest tak duża, że ptak z trudem ją połyka.

Czaple siwe tworzą tzw. czaplińce, czyli kolonie lęgowe. Swoje ptasie miasteczka sytuują niedaleko żerowisk – w sosnowych czy też olchowych zagajnikach. Czaple białe – w przeciwieństwie do siwych – nie lęgną się nad Bugiem (a przynajmniej ja nic o ich lęgowiskach nie wiem). Mimo to można je dosyć często spotkać nad rzeką, niekiedy nawet częściej niż ich siwe kuzynki. Znanie polskie lęgowiska czapli białych znajdują się m.in. w dolinie Biebrzy. Tam też stwierdzono pierwszy przypadek gniazdowania tego gatunku na terenie Polski – a było to w 1997 r., choć już w latach 1994-1996 obserwowano tam kręcące się w okresie lęgowym ptaki. To zatem stosunkowo świeży nabytek naszej krajowej awifauny, wciąż

zwiększający liczebność i zasięg. Czaple białe, choć mieszkają w Polsce od lat i jest ich tu coraz więcej, wciąż kojarzą mi się z egzotycznymi krainami. (...)

Czaple przypominają duchy także wtedy, gdy kroczą spokojnie wśród porannej mgły, a woda i powietrze zlewają się w nieprzenikloną wilgotną substancję, przystaniającą daleki widok. Było tak pewnego dnia, kiedy jeszcze przed wschodem wyruszyłem na rzekę pompowanym kajakiem. Wypłynąłem zza wyspy i zaraz się do niej przytuliłem, bo na pobliskiej płyciźnie dojrzałem duchy. Smukłe i spokojne, ledwo odcinające

będzie u nas tak pospolita jak jej większa kuzynka. Pierwsze lęgi w kraju już odnotowano.

Rybożercami są także rybitwy – rzeczne i białoczelne – gniazdujące na piaszczystych wyspach w nurcie rzeki. Rybitwa białoczelna jest malutka, więc i jej ofiary to raczej nieduże ryby, zwykle mające długość ok. 5-6 cm. Wypatrując ryb, lata na wysokości kilku metrów, a przed samym gwałtownym atakiem często wisi przez moment w powietrzu, prędko wachlując skrzydełkami. Podobnie poluje większa rybitwa rzeczna. Ryby, które chwytą, również są większe – mają długość do 9 cm.



się od tła. Postanowiłem wtopić się w bujną roślinność kępy, poczekać, popatrzeć i fotografować. Na wschodzie powoli pęczniała ciepła tuna. Czaple swoim zwyczajem cierpliwie czatowały na ryby lub powoli, wręcz dostojnie kroczyły po wodzie. Nagle na płyciźnie wylądował nowy duch, a raczej duszek. Czapla o białym upierzeniu, ale znacznie mniejsza od pozostałych. I zamiast stać spokojnie jak pozostałe, zaczęła nerwowo ganiać po płyciźnie. Łapała ryby w biegu.

To była czapla nadobna, gatunek bardzo rzadko pojawiający się w Polsce. Miałem więc tamtego dnia dużo szczęścia. Czapla nadobna, podobnie jak biała, rozszerza swój zasięg w Europie, więc być może w przyszłości

Raz widziałem, jak kormoran wyciągnął sumę. Ryba zdawała się niewiele mniejsza od ptaka, ale ten bez problemu ją połknął.

Nocą na ryby wyruszają wydry. Łapią je pod wodą, gdzie pod względem zwinności i szybkości nie ustępują swoim ofiarom. Łowiąc, postępują nie tylko wzrokiem, lecz także doskonale rozwiniętym zmysłem dotyku. Pomagają im włosy czuciowe na pysku oraz unerwione zakończenia nosa i opuszek łap. Dzięki temu mogą schwytać ofiarę nawet w mętnej i ciemnej nurcie – choć oczywiście im czystsza woda, tym lepiej. Wydry pływają, wiosłując tylnymi łapami, a także wykonując falisty ruchy całym ciałem. Łapią szczupaki, płocie i okonie.

► A co o tych wszystkich rybożercach sądzą wędkarze? Czy nie przeszkadza im, że muszą dzielić rzekę z wydrami, czaplami i innymi stworzeniami? Z moich rozmów wynika, że większość wędkujących rozumie złożoność rzecznych ekosystemów oraz fakt, że ryby są podstawą dobrego funkcjonowania tych środowisk, muszą być więc dostępne dla wszystkich zainteresowanych nimi zwierząt.

Ryby są podstawą rzecznych ekosystemów. To dzięki nim mogą je zamieszkiwać inne stworzenia – od małych zimorodków po wielkie czaple czy bieliki.

Wędkarze nie tolerują za to kłusowników. Sami płacą składki, są kontrolowani, więc nie podoba im się, gdy ktoś przyjeżdża, zabiera ponad miarę i wbrew przepisom.

Czasem nawet sytuacja staje się niebezpieczna. Pewien wędkarz opowiadał mi, jak w nocy na jego łowiisko przyjechali kłusownicy. Siedział spokojnie w swoim samochodzie, gdy jeden z kłusowników zaczął szaleńczo jeździć na motorze crosso- wym wokół auta, obryzgując je piachem i błotem. Komunikował w ten sposób, że lepiej by było dla wędkarza, aby ten pozostał w środku.

Reszta szajki przeprawiła się w tym czasie łódką na drugi brzeg, przeciągając sieci. Trudno odgadnąć, ile nakradli, ale na pewno nie mało, skoro opłacało im się zorganizować taką akcję. (...)

Teraz ryb pilnuje Państwowa Straż Rybacka, czyli umundurowana i uzbrojona formacja utworzona w 1985 r. Czasem widuję jej przedstawicieli, jak swoim wielkim pick-upem przemierzają nadrzecz-

ne drożyny. Nie są jednak w stanie patrolować wszystkich obszarów naraz, co oczywiście wykorzystują kłusownicy.

Ale wróćmy nad Bug. I cofnijmy się nieco w czasie, by zobaczyć, jak łapano tam ryby w XIX i na początku XX w. (...) Czołna służące do połowu były robione przez samych rybaków. Każdy dłuwał łódkę dla siebie, dostosowując ją do swojej wagi i osobistych upodobań. Nie było więc dwóch takich samych czołen. Drzewo, którym najczęściej była wierzba, obrabiano zwykle przez tydzień. Potem, gdy do użycia weszły piły

łańcuchowe i elektryczne narzędzia strugarskie, tworzenie czołna można było znacznie przyspieszyć. Rybactwo bużańskie zanikło ostatecznie pod koniec XX w. Wtedy swoją działalność na Bugu zakończył ostatni rybak sieciowy, który przeniósł się na Zalew Zegrzyński. Teraz już nikt nie wydaje pozwoleń na sieć. Można tylko wędkować. Za to przed II wojną światową handel rybami wprost kwitł. Złapane sztuki sprzedawano kupcom żydowskim, a ci rozprowadzali towar w swoich sklepach lub na targach. (...)

Najwięcej roboty na podlaskim Bugu było ponoć w sierpniu, tuż przed prawosławnym świętem Przemienienia Pańskiego obchodzonym na górze Grabarce. Uwijali się wtedy zarówno rybacy zawodowi, jak i kłusownicy, bo trzeba było zapewnić sąsiadom i przybyłym pielgrzymom odpowiednią ilość stawy. Na świątecznych stołach nie mogło zabraknąć bużańskich ryb. (...)

W odbudowywaniu populacji po klęskach swój udział mają ludzie. I prawidłowo, bo to oni są najczęstszymi sprawcami tych nieszczęśliwych wędkarce jednak wciąż narzekają, że zarybia się zbyt mało. Chcieliby mieć w Bugu jak najwięcej potencjalnej zdobyczy. Zastrzyk ryb jest dla rzeki istotny, ale moim zdaniem o wiele istotniejsze, by ta zachowała dziki charakter, meandrowała, wylewała i bez skrępowania formowała ogrom różnorodnych mikrosiedlisk. Bo cóż z tego, że będziemy wlewać do wody całe skrzynie ryb, jeżeli nie znajdą one tam pożywienia ani kryjówek? Bez odpowiednich, czyli jak najmniej przekształconych przez nas siedlisk, ryb wciąż będzie za mało. I nie zobaczymy już nad Bugiem ani wędkarzy, ani konkurujących z nimi kormoranów. Wprawdzie kłusownicy też znikną – ale to marna pociecha.

Fragmenty książki Macieja Cmocha, *Bug. Opowieści o rzece, łęgach, piachach, łąkach, starorzeczach i mokradłach, a także o życiu zwierząt i ludzi w meandry dzikiej rzeki zapłątanych*, Paśny Buriat, Kielce 2024



Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



TROPEM MARCA POLO



Równe 700 lat temu zmarł Marco Polo, jeden z pierwszych przedstawicieli Zachodu, którzy dotarli do Państwa Środka. Legendarny jedwabny szlak kusił mnie od zawsze tajemniczością, pobudzając wyobraźnię romantyczno-awanturczymi obrazami karawan wielbłądów i nieznanymi krainami. Nic dziwnego, że znalazł się w moich programach już na początku podróżniczej kariery. Pokusa nieprzetartych szlaków, tęsknota za tym, co było niedostępne i już nigdy nie wróci, zrobiły swoje. Wkrótce przekonałem się, że upływający czas odcisnął niszczące piętno na świadkach historii. Zespoły świątynne, miasta garnizonowe, buddyjskie stupy zostały pochłonięte przez pustynię lub nie przetrwały wojen, grabieży, zjawisk atmosferycznych czy różnych zaniedbań. W miejscu wydeptanych ścieżek karawanowych powstały asfaltowe drogi, a dwugarbne wielbłądy zostały zastąpione przez tiry z nawigacją satelitarną. Na szczęście zachowało się jeszcze wiele żywych śladów tamtej epoki. Antyczne ruiny, które dotrwały do naszych dni, ocaliły swój czar i świadectwo wielkości dawnych kultur. ▶

Jacek PałkiewiczTM

Złoty bez granic i niemożliwy,
ze moją historią można zejść do
arcydzielnego świata, który stał się moim
własnym obłędem i uprzywilejowaniem.
Niczego nie dostaję w środku.

palkiewicz.com

Byłem marzeniem własnego sukcesu,
osobliwie kochałem samotność mojej
egzystencji. Twierdziłem, że życie dopie
każdemu tylko, ile sam ma odwagi
sobie wziąć, a ja nie zamierzam
rozrywać z niczym, co mi się należy.

Swój kraj

JACEK PAŁKIEWICZ – reporter,
eksplorator, odkrywca źródła
Amazonki, twórca survivalu
w Europie; www.palkiewicz.com



3



4



6



9

1. Marco Polo.
2. Pustynia Takla Makan (Chiny).
3. Xi'an, tu zaczął się jedwabny szlak.
4. Stambuł.
5. Bazar orientalny.
6. Nomadzi.
7. Biszkek, stolica Kirgistanu.
8. Autor opowiada chińskiemu przywódcy o swoim projekcie.
9. Gdzieś w Afganistanie.
10. Wenecja.

FOT. SHUTTERSTOCK



5



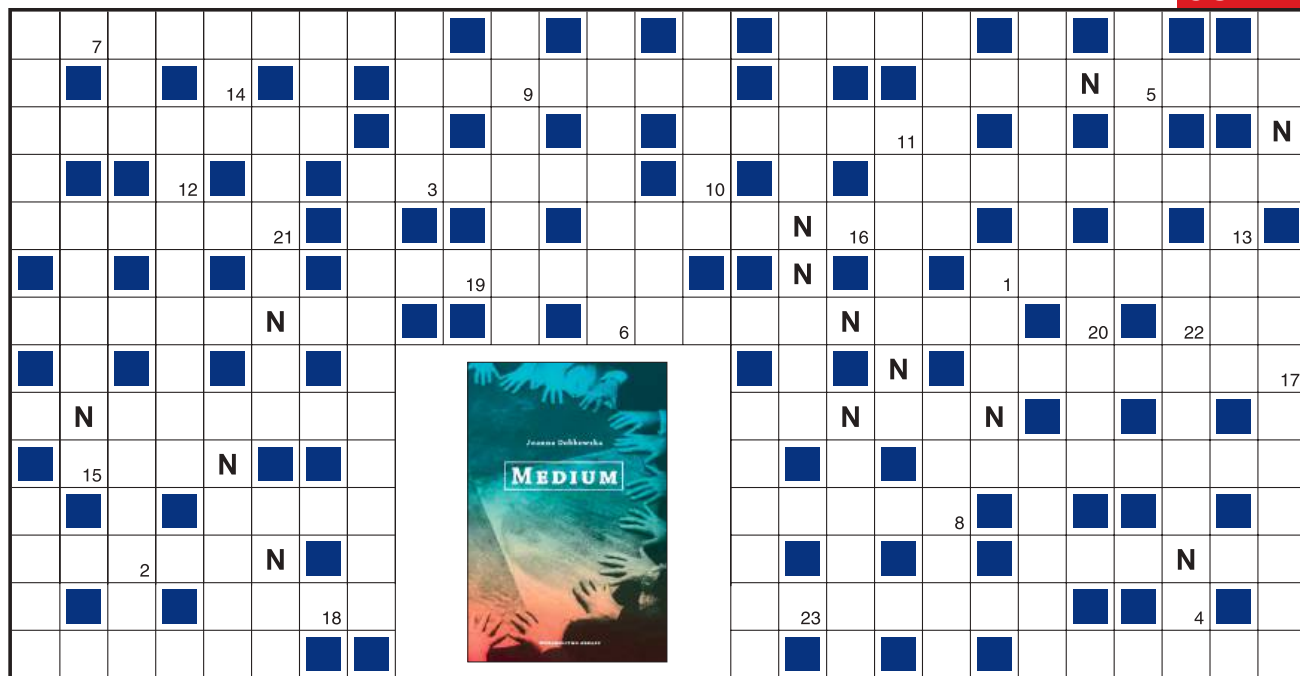
7



8



10



1 2 3 4 5

6 7 8 9 10

11 12 13 14 15

16 17 18

19 20 21 22 23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- imię obecnej prezydentowej
- tam wykupisz receptę
- i drzewo iglaste, i roślina doniczkowa
- ...eleganciarum
- w dawnych kocach gaśniczych
- dla Chorwata już nie stolica

- ustrojone drzewko
- wymowy, uzdrawiania, jasnowidzenia
- ...społeczny – świat to społeczna dżungla
- karosze z domieszką białej sierści
- spoczywa na ławecie
- matka rodzaju ludzkiego
- kobiecie strój do biura

- błyszcząca polewa na torcie
- najniższa jednostka samorządu terytorialnego
- rozliczenie bezgotówkowe z włoska
- imię scenografa Dobieckiego
- ministra Leszczyzna lub aktorka Kuna
- ...Oracz, patron chłopów
- z japońskiego śmierć z przepracowania
- jakość, zwykle wysoka
- pół prawdy to całe...
- rafotwórczy polip
- plażowe zabudowane siedzenie
- czerwony... to pożar
- chlebowy do picia

- do obuoczej obserwacji odległych obiektów
- główka z siarką
- jego dwutlenek to braunsztyń
- Miki lub Minnie
- martwa... – kompozycja plastyczna
- skraj, margines
- pachnie nim powietrze po burzy
- domu lub wielmożna
- poza łóżeczkiem niewiele w nim zmieścisz
- próba dla silnej woli
- przyczyna czegoś
- wypiek w kształcie ósemki
- oznaka, symptom
- wieszczka delficka
- jednostka kąta płaskiego
- brydżowa odpowiedź na kontrę
- wynik dodawania

- pływanie na desce z angielska
- obok szablisty i florecisty
- Jerzy Pawłowski nie jako szermierz
- zespół specjalistów, antykrzysowy
- wstępny etap zamarzania rzeki
- przygotowuje sportowca
- cios, raz, atak
- gumowe krążki do weków
- kosa jako fryzura
- Kubilaj dla Czyngis-chana
- siostra, mniszka
- woń słaba lub nieprzyjemna
- zgniłe jajo
- nieprawidłowe ustawienie galek oczu
- kielkuje w ziemi
- łakomczuch, obżartuch
- ponury... czyli śmierć z kosą

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1160”. Do rozlosowania książki „Medium” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 marca 2024 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1157” z nr. 8: Dla wielu co nowe, to lepsze. Nagrody otrzymują: Witold Joniewicz z Warszawy, Wojciech Kołaciński z Kalisza, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

Właśnie leci Gabinecik

Jeden z doświadczonych dyplomatów podsunął nam możliwe wytłumaczenie rekordowej liczby wiceministrów w MSZ. Otóż inna jest waga jednego z siedmiu niż np. jednego z czterech, prawda? Poza tym, to też warto mieć w tyle głowy, w sytuacji mnogości wiceministrów i departamentów rośnie rola gabinetu ministra. I będzie rosta – tak zresztą działał Radosław Sikorski za swoich poprzednich rządów w MSZ.

Jak więc to teraz wygląda? U Zbigniewa Raua szefową gabinetu ministra była Elżbieta Bocheńska. Miała dobre umocowanie, gdyż była z Łodzi i była żoną Tobiasza Bocheńskiego, wojewody łódzkiego, potem mazowieckiego, dziś kandydata PiS na prezydenta Warszawy. Bocheńska opuściła stanowisko razem z Rauem i wspiera męża w kampanii. Tym mocniej, że to jej ambicje dominują i popychają go do przodu. Ci, którzy pracowali z nią w MSZ, to potwierdzają.

A kto ją zastąpił? Trudne pytanie, bo wciąż nie ma dyrektora gabinetu ministra, za to jest trójka wicedyrektorów. A w tej grupie pełni obowiązki szefa Mirosław Broiło. KSAP-owiec, absolwent z roku 1996. Dodajmy, że razem z nim kończyły KSAP m.in. Elżbieta Biełkowska i Anna Jarucka... Są na wspólnym zdjęciu.

Broiło znalazł w MSZ swoją ścieżkę kariery. W roku 2004 był dyrektorem Departamentu Unii Europejskiej, a ostatnio, w czasach PiS, zastępcą stałego przedstawiciela RP przy ONZ w Genewie.

A pozostała dwójka zastępców? Małgorzata Kopeć była pracownikiem administracyjnym, potem przeszła do pionu konsularnego, jeszcze niedawno pracowała w konsulacie w Mediolanie.

Z kolei Łukasz Pawłowski to w MSZ człowiek nowy, przyszedł tu razem z ministrem. On sam przedstawia się jako „publicysta, doktor socjologii, doradca polityczny”. Jedni pamiętają go z „Kultury Liberalnej”, drudzy z OKO.press, a jeszcze inni z „Podkastu amerykańskiego”. Chętnie o Ameryce pisywał i opowiadał, trumpistom na pewno to by się nie spodobało. Zerknijcie na X (dawniej Twitter), jak tam dyrektor z MSZ sobie poczynił...

Ale dzięki takiemu transferowi kadrowemu minister Sikorski ma obok siebie człowieka z gotowym zestawem argumentów i polemicznych strzałów. Coś za coś, prawda?

Obok tych, którzy przy ministrze się ulokowali, są jeszcze ci, którzy chcieliby się tam znaleźć. Chodzą, zabiegają, stukają... Kolejka chętnych ciągnie się do Koszykowej.

Na tej fali oczekiwania niektórzy próbują budować swoją pozycję – np. Paweł Kowal, szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Już to stanowisko daje mu dużo władzy, ale chciałby więcej. Miało zatem miejsce jakiś czas temu spotkanie Kowala i konwentu ambasadorów, czyli grupy zrzeszającej dyplomatów z czasów pierwszego Sikorskiego, a nawet wcześniejszych... Tak wygląda wiara w synergii, bo na wsparcie liczy on, ale i oni.

Z kolei Tomasz Orłowski, były ambasador we Francji, któremu wrócono wielką karierę u Sikorskiego, lecz to się nie spełniło, znalazł się jako ekspert w sejmowej komisji wizowej. W życiu ani pracą konsularną, ani wizami się nie zajmował... Ale PR i byciem tam, gdzie reflektory – jak najbardziej. Taki jest ten wybór.

Attaché

Dostawa świeżego pieczywa. Al-Darb al-Ahmar, stara dzielnica Kairu, 6 marca 2024 r.



PENETRACJE



Press **WOJCIECH CZUCHNOWSKI,** DZIENNIKARZ ROKU 2023

Właściwie spełniły się wszystkie groźby, które padły w rozmowie szefa KNF z Leszkiem Czarneckim. Nikt na to nie zwraca dziś uwagi. Ubolewam, że dziennikarze – pisząc o odbieraniu kolejnych firm Czarneckiemu – nie pamiętają o politycznym kontekście tej sprawy. Widzą to za to media na świecie, które dostrzegają koincydencję między tym, że Leszek Czarnecki odmówił wypłacania haraczu, i tym, co potem go spotkało. Natomiast ścigany jest za coś, czego nie zrobił, czyli za aferę Get-Backu, w którą został z premedytacją i cynicznie wmontowany przez Zbigniewa Ziobrę. PiS pasowało, żeby ktoś inny, a nie ta partia i wyznaczeni przez nią urzędnicy, odpowiadał za największą aferę finansową w czasie trwania tej władzy. Rozmawiałem z Leszkiem Czarneckim kilkakrotnie przy robieniu materiału. Nie wiem, czy jest to człowiek, który będzie w stanie kiedyś wrócić do normalnego życia. Został przez tę sytuację przeorany, tak jak wielu ludzi, którzy dostali się w tryby politycznego odwetu PiS.

TYGODNIK **ANGORA**

DARIUSZ KORNELUK, KANDYDAT NA STANOWISKO PROKURATORA GENERALNEGO

W ostatnim czasie prowadziłem sprawę dziennikarza, który w mediach społecznościowych siał nienawiść wobec osób, które przekraczały granicę. Kierowałem apele, by Straż Graniczna używała siły fizycznej. Postawiłem mu zarzut, to przecież mowa nienawiści, ale następnego dnia już sprawy nie miałem. Szybko umorzono ją w prokuraturze okręgowej, a po kilku tygodniach pan prezydent w innej sprawie, analogicznej, ułaskawił tego dziennikarza (Rafała Ziemkiewicza).

STYL

KATARZYNA HERMAN, AKTORKA

Uważam, że jestem w kwiecie wieku. Mówię sobie, że starość to wciąż młodość, tylko trochę później. Słucham mądrych kobiet. Ale odniosłam wrażenie, że my – obiektywnie silne kobiety – ciągle musimy sobie przypominać o naszym poczuciu siły. Choć nie jesteśmy „puchem marnym” i bliżej nam raczej do tego, co powiedziała Szymborska: „Nie znam się na śrubkach, ale zbuduję most”. Gdy robię remont, odkrywam, że to umiem. Doceniam, że dzielnie sobie poradziłam. Ale muszę czasem sobie powtarzać: dam radę, nie zginę. Daję i nie ginę. To sprawia, że jestem szczęśliwa.

VIVA!

ŁUKASZ SIMLAT, AKTOR

Zdarzało mi się pracować 24 godziny na dobę i nawet nocować w szkole. Dzisiaj młodzi mają inne podejście, są asertywni. My, z naszego pokolenia, tego nie mamy. W imię aktorstwa damy się zarznąć i dojechać. I to jest taka rzecz, z której muszę się wyleczyć. Muszę przestawić swoje myślenie, bo nie jest tak, jak mnie uczono: „Panie Simlat, aktor nie choruje, aktor umiera”. Uczono mnie, że niezależnie od tego, w jakim stanie jestem, mam wyjść na scenę i grać spektakl. Pamiętam, jak mnie dopadł covid. Następnego dnia po zakończonej kwarantannie miałem się stawić na planie. To był listopad, a ja nasmarowany żelem antypalnym miałem polewać się wodą, wbiegać w ogień i wynosić człowieka. I tak zapewne kilkanaście razy, bo przecież trzeba scenę nakręcić z różnych ujęć.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

1

K	A	T
---	---	---

+

S	E	P
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

2

Ł	Y	K
---	---	---

+

M	O	P
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--

Wyrazy z siedmiu liter

3

O	K	N	A
---	---	---	---

+

B	A	S
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

4

D	U	K	T
---	---	---	---

+

W	A	T
---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--

Wyrazy z ośmiu liter

5

B	R	A	T
---	---	---	---

+

Ł	U	N	Y
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

6

F	O	S	A
---	---	---	---

+

T	R	O	P
---	---	---	---

=

--	--	--	--	--	--	--	--

ROZWIĄZANIA: STĘPKA, APOSTROF, TRYBUNAŁ, DWUTAKI, KABANOS, PŁOMYK, KŁYK, OKNA, DUKT, FOSA, ŁUNY, WAT, TROP



Aby język giętki...

JERZY KOŹMIŃSKI O JOEM BIDENIE

Jako senator ze stanu Delaware był kluczową postacią debaty ratyfikacyjnej w sprawie poszerzenia NATO o Polskę, Czechy i Węgry.

PROF. JAROSŁAW FLIS

O NOTOWANIACH PARTII

PiS spadło z wysokiego konia, ale KO ciągle na niego nie wsiadła.

PROF. ANDRZEJ LEDER O PODZIAŁACH

Strach przed powrotem władzy liberałów był ogromny. I o tym liberalny w swojej większości rząd powinien pamiętać.

DOROTA GAWRYLUK O OJCU

Absolutnie antyklerykalny. Zapiętkę przeciwnik księży i lekarzy. A potem miał zięcia lekarza, czyli męża swojej siostry.

KINGA RUSIN

O KANALE ZERO KRZYSZTOFA STANOWSKIEGO

Podstarzałe chłopaczki mające problem z męskością.

SŁAWA PRZYBYLSKA O PRZEMIJANIU

Przemijanie to maleńki moment. Samo odejście to cudowne wyzwolenie, zakończenie naszej wędrówki.

BORYS SZYC O SOBIE

Zaczynam siódmy rok trzeźwości, siódmy rok mojego cudownego związku. Kocham i jestem kochany.

KAMILA URZĘDOWSKA O ROLI JAGNY

Znam te realia i tę dziewczynę. Wychowałam się we wsi Karłowice Wielkie pod Nysą. Jagna to samotna, wrażliwa dziewczyna, desperacko szukająca miłości.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząwa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, IBAN: PL

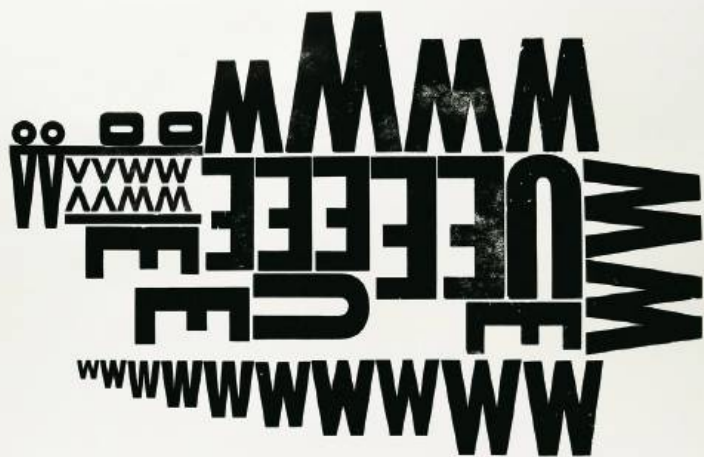
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

LemPress

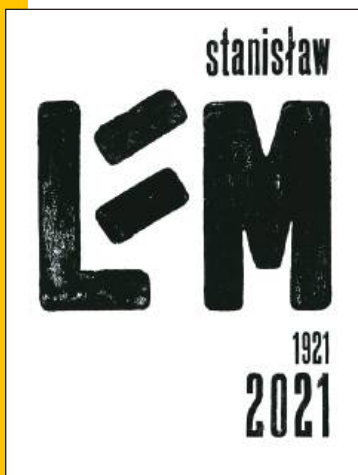
Wystawa projektów typograficznych



Mariusz Kuklik, Elektrosmok



Tomasz Ratajczak, FlyingFISH letterpress, Bielsko-Biała



Bogdan W. Bartkowski



Iwona Bolińska, Pracownia Starych Technik Drukarskich WBP w Olsztynie

Z okazji 100. rocznicy urodzin Stanisława Lema, pisarza science fiction, filozofa i krytyka, zrealizowany został międzynarodowy projekt typograficzny. Ma on zwrócić uwagę na wartości związane z drukiem tradycyjnym, przybliżyć historię zanikającego rzemiosła, jakim są techniki składu i druku ręcznego, oraz promować techniki letterpress (druku wypukłego), dające efekt nieporównywalny z powszechnym obecnie drukiem cyfrowym i offsetowym. Wykonane przez twórców z Polski, Niemiec, Holandii i Wielkiej Brytanii plakaty inspirowane są twórczością Lema. Artyści używali metalowych i drewnianych czcionek, a druk ręczny pozwolił na eksperymentalne zastosowanie słowa jako wizualnego przedstawienia ponadczasowych myśli Lema.

Willa Sixta
Bielsko-Biała, ul. Adama Mickiewicza 24, podziemie
do 3 kwietnia



Mizdruk, Eindhoven, Holandia

Pełna pasji, tęsknoty i pożądania
opowieść o zakazanej
miłości



MARLENE
BUROW

FELIX
KRAMER

P E W N E G O
D N I A
P O W I E M Y
S O B I E
W S Z Y S T K O

W KINACH OD 15 MARCA

AURORA

german
●●●films

HOMO TWIST



12.04 Warszawa / klub Proxima
13.04 Poznań / klub Tama
14.04 Wrocław / Zakłete Rewiry

ANTYRADIO

BILETY: LIVENATION.PL / TICKETMASTER.PL

LIVE NATION